

Harry Harrison

Planeta Śmierci

Dało się słyszeć łagodne westchnienie pneumatycznego przewodu komunikacyjnego i do małego korytka wypadła kapsułka. Rozległ się dźwięk dzwonka sygnałnego i ucichł. Jason dinAlt patrzył na niewinną kapsułkę jak na cykającą bombę zegarową.

Sprawa była podejrzana. Jason dinAlt poczuł ucisk w dołku. To nie był żaden rachunek za usługi hotelowe ani zwykłe upomnienie, ale zapieczętowana prywatna wiadomość. Jednakże nie znał nikogo na tej planecie, ponieważ przybył tu zaledwie przed ośmioma godzinami. A że nawet nazwisko miał nowe - datujące się od ostatniej przesiadki ze statku na statek - nie mógł otrzymać od nikogo żadnej wiadomości. Jednakże otrzymał.

Zerwawszy paznokciem kciuka pieczęć, zdjął przykrywkę. Miniaturowy magnetofon w kapsułce wielkości ołówka nadał zarejestrowanemu głosowi metaliczne brzmienie, które nie mówiło nic o właścicielu:

- Kerk Pyrrus chciałby się zobaczyć z Jasonem dinAltem. Czekam w hollu hotelowym.

Podejrzane, ale cóż... Niewykluczone, że sprawa jest całkiem niewinna. Może to jakiś komiwojażer albo człowiek biorący go za kogoś innego. Jednakowoż Jason odbezpieczył rewolwer i starannie ułożył za poduszką tapczanu. Trudno przewidzieć, jak się potoczą wypadki. Dał znać do recepcji, aby przysłano gościa na górę. Gdy drzwi się otworzyły, Jason siedział niedbale w rogu tapczanu, popijając z wysokiej szklanki.

Były zapaśnik - przemknęło mu przez myśl, gdy ujrzał w drzwiach gościa. Kerk Pyrrus był szpakowatym, wielkim jak góra mężczyzną, o ciele jakby wykutym z płaskich brył mięśni. Jego szary garnitur był tak tradycyjny w kroju, że przypominał niemal mundur. Na przedramieniu widniała przytroczona mocno i nosząca ślady zużycia pochwa pistoletu, z której wyzierał tępo otwór lufy.

- Jesteś dinAlt, gracz - rzekł nieznajomy bez ogródek. - Mam dla ciebie propozycję.

Jason patrzył na niego znad krawędzi szklanki, zastanawiając się, z kim ma do czynienia. Mogła to być albo policja, albo konkurencja - a on nie chciał mieć nic wspólnego ani z jednymi, ani z drugimi. Musiał wiedzieć znacznie więcej przed pójściem na jakiegokolwiek układy.

- Przykro mi, przyjacielu - Jason uśmiechnął się. - Trafiłeś pod zły adres. Rad bym ci służyć, ale moja gra zawsze przynosi większy pożytek kasynom niż mnie. Więc widzisz...

- Pomówmy szczerze - przerwał Kerk dudniącym w piersi głosem. - Jesteś dinAlt i jesteś również Bohel. Jeśli chcesz, abym powiedział więcej, mogę jeszcze wymienić Planetę Mahuata, Kasyno Mgławicowe i wiele, wiele innych. Mam propozycję, która przyniesie korzyść nam obu, więc lepiej jej wysłuchaj.

Żadna z wymienionych nazw nie spowodowała najmniejszej zmiany w uśmiechu Jasona. Ale był cały w pełnym czujności napięciu. Ten umięśniony nieznajomy znał rzeczy, których nie powinien znać. Pora była zmienić temat.

- Masz nie byle jaką broń przy sobie - rzekł Jason. - Ale ona mnie denerwuje. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś odłożył ten pistolet.

Kerk spojrzał gniewnie na swój pistolet, jakby go pierwszy raz zobaczył.

- Nie, nigdy go nie odpinam. - Sprawiał wrażenie lekko zirytowanego sugestią Jasona.

Okres próby minął. Jason musiał zdobyć przewagę nad przybyszem, jeśli miał wyjść żywy z tego impasu. Schylając się, aby odstawić szklankę na stolik, wsunął drugą rękę - niby od niechcenia - za poduszkę. I kiedy mówił: - Żądam jednak tego stanowczo. Czuję się zawsze trochę nieswojo w towarzystwie uzbrojonych ludzi - trzymał już dłoń na kolbie swego rewolweru. Nie przestając mówić, dla odwrócenia uwagi przeciwnika, wyciągnął broń. Gładko i zręcznie.

Równie dobrze mógłby to zrobić w takim tempie jak na zwolnionym filmie. Kerk Pyrrus stał jak martwy, gdy Jason wyciągał rewolwer i kierował lufę w jego stronę. Dopiero w ostatnim ułamku sekundy zaczął działać. Zrobił to tak błyskawicznie, że jego ruch był niewidoczny. Pistolet, który przed chwilą znajdował się w przytroczonej do przedramienia pochwie, był nagle wymierzony między oczy Jasona. Była to nieprzyjemna, ciężka broń, o nadzartej ogniem lufie, świadczącej o częstym używaniu.

Jason wiedział, że gdyby uniósł lufę swego rewolweru choćby o milimetr, byłoby po nim. Opuścił rękę ostrożnie, zły na siebie, że zamiast pomyśleć, próbował uciec się do przemocy. Kerk z taką samą łatwością, z jaką broń wyjął, schował ją z powrotem do pochwy.

- A teraz dość tego - rzekł. - Pomówmy o interesach. Jason sięgnął po szkapkę i pociągnął z niej spory łyk, opanowując irytację. Był świetnym strzelcem - wielokrotnie zawdzięczał temu życie - i oto pierwszy raz ktoś okazał się od niego szybszy. Przybysz zrobił to niedbale, od niechcenia, i to właśnie zirytowało Jasona.

- Nie jestem przygotowany do takich rozmów - odparł cierpko. - Przybyłem na Cassylię, aby wypocząć, zapomnieć o pracy.

- Nie oszukujmy się nawzajem, dinAlt - powiedział Kerk ze zniecierpliwieniem. - Nigdy, w całym swoim życiu, nie zajmowałeś się uczciwą pracą. Jesteś zawodowym graczem i właśnie dlatego postanowiłem cię odwiedzić.

Jason zdławił gniew i cisnął rewolwer w róg tapczanu, aby się ponownie nie pokusić o czyn samobójczy. Był święcie przekonany, że nikt na Cassylii go nie zna, i już się cieszył na wielką wygraną w kasynie. Ale tym zajmie się później. Ten typek o wyglądzie zapaśnika wydaje się bardzo dużo wiedzieć. Trzeba dać mu mówić i zobaczyć, do czego zmierza.

- Dobra, czego chcesz?

Kerk usiadł na krześle, które zatrzeszczało złowróźnie pod jego ciężarem i wyjął z kieszeni kopertę. Pogrzebał w niej chwilę i rzucił na stół plik lśniących galaktycznych banknotów wymieniających. Jason spojrział na nie i podniósł się z tapczanu.

- Co to... fałszywe banknoty? - spytał oglądając jeden z nich pod światło.

- Nie, prawdziwe - zapewnił Kerk. - Podjąłem je z banku. Dokładnie dwadzieścia siedem, czyli... dwadzieścia siedem milionów kredytów. Chcę, żebyś posłużył się nimi dziś wieczorem w kasynie. Abyś je postawił i wygrał.

Banknoty wyglądały na prawdziwe... zresztą można to zawsze sprawdzić. Jason przebiebrał

je w palcach w zamyśleniu, starając się przejrzeć swojego rozmówcę.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - powiedział. - Ale musisz sobie zdawać sprawę, że niczego nie mogę gwarantować. Owszem, grywam... ale nie zawsze wygrywam.

- Grywasz... i ilekroć chcesz, wygrywasz - odparł Kerk pośpiesznie. - Zbadaliśmy to gruntownie, zanim do ciebie przyszedłem.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że szachruję... - znowu postarał się usilnie opanować gniew. Irytując się niczego nie osiągnie. Tymczasem Kerk, ignorując rozdrażnienie Jasona, mówił dalej tym samym, spokojnym głosem:

- Może nie nazywasz tego szachrajstwem, szczerze mówiąc nie mnie to nie obchodzi. Dla mnie mógłbyś mieć pełne rękawy asów i na każdym palcu u nogi elektromagnes. Bylebyś wygrał. Nie jestem tutaj, aby cię umoralniać. Jak powiedziałem, mam dla ciebie propozycję. Ciężko pracowaliśmy na te pieniądze... ale potrzebujemy ich jeszcze więcej. Mówiąc dokładnie, potrzebujemy trzech miliardów kredytów. Taką sumę możemy jedynie wygrać, posługując się tymi dwudziestoma siedmioma milionami.

- A co ja będę miał z tego? - spytał Jason spokojnie, jakby ta cała fantastyczna propozycja rzeczywiście miała sens.

- Wszystko powyżej trzech miliardów. To cię powinno zadowolić. Nie ryzykujesz własnych pieniędzy, a możesz dostać tyle, że starczy ci do końca życia. Jeżeli wygrasz.

- A jeżeli przegram?

Kerk zastanowił się nad tym chwilę z niesmakiem.

- Tak, istnieje możliwość, że przegrasz. Nie brałem jej pod uwagę.

Pomyślał i zdecydował się:

- No cóż, że jest to ryzyko, które musimy podjąć. Choć myślę, że wtedy bym cię zabił. Tym, co oddali życie dla zdobycia tych dwudziestu siedmiu milionów, należy się przynajmniej to. - Wypowiedział te słowa spokojnie, bez złości, raczej jak przemyślaną decyzję niż groźbę.

Zerwawszy się na równe nogi, Jason napełnił ponownie swoją szklanke, a potem drugą, dla Kerka, który kiwnął mu w podziękowaniu głową. Nie mogąc usiedzieć spokojnie, Jason krążył po pokoju. Gniewała go ta cała propozycja, która miała w sobie coś ze zgubnej fascynacji. Był graczem i ta rozmowa była dla niego jak widok narkotyków dla narkomana.

Zatrzymał się nagle, bo zdał sobie sprawę, że już jakiś czas temu powziął decyzję. Wygra czy przegra - będzie żył czy zginie - jakże by mógł zrezygnować z szansy przystąpienia do gry z takimi pieniędzmi! Odwrócił się i wycelował palec w wielkiego mężczyznę na krześle.

- Zrobię to - rzekł. - Ty zapewne wiedziałeś o tym od pierwszej chwili. Jednakże muszę postawić swoje warunki. Muszę wiedzieć, kim jesteś i kim są ci tajemniczy oni, o których wciąż napomykasz. A także jakie jest źródło tych pieniędzy... czy są kradzione?

Kerk wysączył napój i odsunął od siebie szklanke.

- Kradzione? Nie, wręcz przeciwnie. To owoc dwuletniej pracy przy wydobywaniu i rafinowaniu rudy. Rudę tę wydobyliśmy na Pyrrusie, a sprzedaliśmy na Cassylii. Możesz to z łatwością sprawdzić. Sam ją sprzedałem. Jestem ambasadorem Pyrrusa na tej planecie. - Uśmiechnął się na myśl o tym. - Co wcale nie ma wielkiego znaczenia. Jestem również ambasadorem Pyrrusa na sześciu innych planetach. Bardzo to wygodne, jeśli się chce załatwiać jakieś interesy.

Jason przyjrzał się temu muskularnemu mężczyźnie z siwiejącymi włosami i w podniszczonym ubraniu o wojskowym kroju i wstrzymał uśmiech. Na planetach pogranicza działały się różne dziwne rzeczy i Kerk mógł mówić prawdę. Chociaż Jason nie słyszał nigdy o Pyrrusie, ale to nie miało znaczenia. W zamieszkanym wszechświecie było ponad trzydzieści tysięcy znanych planet.

- Sprawdzę, co mi powiedziałeś - rzekł. - Jeśli jest zgodne z prawdą, ubijemy interes. Wpadnij do mnie jutro...

- Nie - odparł Kerk. - Musisz wygrać te pieniądze dziś wieczorem. Wystawiłem już czek na te dwadzieścia siedem milionów. Sprawa rozniesie się aż po Plejady, jeśli do rana nie zdeponuję tych pieniędzy w banku, więc nie mamy czasu do stracenia.

Z każdą chwilą rzecz nabierała coraz bardziej fantastycznych kształtów i coraz bardziej intrygowała Jasona. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dosyć czasu, aby sprawdzić, czy Kerk nie kłamie.

- Zgoda - oświadczył. - Zrobimy to dziś wieczorem. Tylko chciałbym mieć jeden z tych banknotów do sprawdzenia.

Kerk wstał.

- Bierz wszystkie. Spotkamy się dopiero, jak wygrasz. Będę oczywiście w kasynie, ale udawaj, że mnie nie znasz. Lepiej, żeby tam nie wiedzieli, skąd pochodzą te pieniądze i ile ich masz.

I wyszedł po miazdzącym uścisku dłoni, który Jason odczuł jak ucisk szczęk imadła. Został sam z pieniędzmi. Rozłożywszy je w dłoni jak karty, patrzył na ich sepiowozłote barwy i starał się przekonać, że nie śni. Dwadzieścia siedem milionów kredytów. Cóż mogło go powstrzymać od tego, żeby wyjść z tymi pieniędzmi za drzwi i zniknąć? Nic, tylko własne poczucie honoru.

Kerk Pyrrus, człowiek o nazwisku, które brzmiało jak nazwa jego rodzimej planety, był największym głupcem we wszechświecie. Albo po prostu wiedział, co robi. Z odbytej rozmowy wynikało, że raczej to drugie.

- On wie, że zdecydowanie bardziej wolę grać tymi pieniędzmi, niż je ukraść - rzekł do siebie z kwaśną miną.

Wsunął rewolwer do pochwy pod pachą, włożył pieniądze do kieszeni i wyszedł.

Gdy Jason pokazał jeden z banknotów w kasie banku, robot kasjerski aż gwizdnął od elektronicznego wstrząsu i błyskiem odpowiedniej tabliczki skierował go do wiceprezesa

Waina. Wain był człowiekiem układnym, ale na widok pliku banknotów wybałuszyl oczy i zbladł.

- Pan... pragnie zdeponować te pieniądze u nas? - spytał głaszcząc je bezwiednie palcami.

- Nie dziś - odparł Jason. - Spłacono mi nimi zaciągnięty dług. Proszę z łaski swojej sprawdzić, czy nie są fałszywe, i rozmieniść. Chciałbym je mieć w banknotach po pięćset tysięcy.

Wychodząc z banku miał obie wewnętrzne kieszenie mocno wypchane. Pieniądze okazały się prawdziwe i Jason czuł się niczym chodząca wytwórnia papierów wartościowych. Pierwszy raz w życiu był nieswój mając przy sobie tak wielką sumę. Kiwnawszy ręką na przelatujące mimo helitaxi, udał się wprost do kasyna, gdzie mógł być bezpieczny. Do czasu.

Kasyno cassylijskie było domem gry pobliskiego skupiska systemów gwiazdnych. Jason oglądał je pierwszy raz, ale znał ten typ kasyn. Większą część życia spędził w podobnych kasynach innych światów. Wystrojem wnętrza różniło się oczywiście, ale cała reszta była taka sama. Na oko gry hazardowe i towarzyskie spotkania - a za tą osłonką wszelkie możliwe występki, na jakie kogo stać. Teoretycznie gra bez ograniczeń, ale w rzeczywistości do pewnego punktu. Kiedy kasyno zaczynało ponosić straty, uczciwa gra przestawała być uczciwa i szczęśliwy gracz musiał się dobrze mieć na baczności. Z takimi przeciwnościami Jason dinAlt borykał się niezliczoną ilość razy. Był czujny i w miarę spokojny.

Sala restauracyjna świeciła pustkami i kierownik sali szybko wyszedł na spotkanie nieznanego w elegancko skrojonym garniturze. Jason był szczupły i ciemnowłosy i poruszał się w sposób znamionujący pewność siebie. Nie sprawiał wrażenia zawodowego gracza, lecz kogoś, kto odziedziczył znaczny majątek. Kuchnia wyglądała na całkiem przyzwoitą, a piwnica okazała się wręcz znakomita. Czekaając na zupę, Jason odbył z kelnerem entuzjastyczną i nacechowaną znawstwem rozmowę na temat win, następnie zabrał się do jedzenia.

Jadł nie spiesząc się i wielka sala restauracyjna zdążyła się zapełnić, nim skończył. Obejrzenie programu rozrywkowego i wypalenie długiego cygara wypełniło resztę czasu. Gdy w końcu wszedł do salonów gry, było w nich rojno i gwarno.

Krążąc powoli między stołami, stawał tu i ówdzie po kilka tysięcy kredytów. Niewiele uwagi poświęcał samym grom, interesował się raczej ich atmosferą. Wyglądały na uczciwe i żadne z urządzeń do gry nie było spreparowane. Zdawał sobie jednak sprawę, że mogło to się bardzo szybko zmienić. Zwykle nie było jednak potrzebne; procent od gry wystarczał na zapewnienie zysku kasynu.

Raz kątem oka dostrzegł Kerka, ale nie zwracał na niego uwagi. Ambasador tracił w pokera niewielkie sumy i był jakby trochę zniecierpliwiony. Pewnie dlatego, że jego współnik jeszcze nie rozpoczął poważnej gry. Jason uśmiechnął się i poszedł wolno dalej.

W końcu usiadł przy stoliku do gry w kości, tak jak zwykle. Był to najlepszy sposób do zapewnienia sobie drobnych wygranych. A jeśli ją dziś odczuję, oczyszcze z forsy to kasyno. To właśnie była jego tajemnica, ta siła, która pozwalała mu stale wygrywać, a czasem nawet ograć kasyno i szybko się wynieść, zanim najęte zbiry zdążyły go złapać i ograbić.

Przyszła kolej na niego i zdobył ósemkę, parą czwórek. Stawki były niewysokie i Jason nie

wysilał się, unikał tylko siódemek. Potem spudłował i kości poszły dalej.

Siedząc tak i wplacając machinalnie drobne stawki, podczas gdy kości krążyły wokół stołu, myślał o tej sile. Śmieszne, że po tylu latach dociekań tak mało wiadomo o sile psi. Można ludzi troszkę podszkolić, rozwinąć w nich jej załączki - ale na tym koniec.

Dziś czuł ją w sobie, wiedział, że pieniądze, które ma w kieszeni, stanowią dodatkowy czynnik potęgujący w nim zdolność jej rozbudzenia. Z na wpół przymkniętymi oczyma wziął kości ze stołu i zaczął w duchu zestawiać z lubością wzorki kropek w zagłębieniach. Nagle kości jakby same wystrzeliły mu z ręki i ujrzał przed sobą siódemkę.

Od lat nie czuł w sobie tak wielkiej siły. Zawdzięczał ją sztywnemu plikowi banknotów wartości milionów kredytów. Miał w oczach jasny i ostro zarysowany obraz wszystkiego wokół siebie i kości były całkowicie w jego władzy. Wiedział z dokładnością, do jednej dziesiątej kredytu, ile pozostali gracze mają w portfelach i jakie karty trzymają w rękach ludzie siedzący przy stoliku za jego plecami.

Powoli, ostrożnie, podwyższał stawki.

Kości były mu całkowicie posłuszne - toczyły się i zatrzymywały jak tresowane psy. Jason nie spieszył się i skupił uwagę na psychice graczy i krupiera. Zajęło mu prawie dwie godziny, nim jego wygrana osiągnęła sumę siedmiuset tysięcy. Potem zauważył ledwo dostrzegalny znak krupiera, że ma przy stoliku gracza z dużą wygraną. Zaczekał więc, aż do stolika podejdzie człowiek o zimnym spojrzeniu, żeby się przyjrzeć grze, a wtedy chuchnął na kości, postawił całą wygraną, jaka leżała obok niego na stoliku, i... przegrał wszystko jednym rzutem. Przedstawiciel zarządu kasyna uśmiechnął się pogodnie, krupier odetchnął z ulgą, a Jason dostrzegł kątem oka, że Kerk zrobił się purpurowy.

Spocony, blade, z lekko drżącymi rękoma, Jason rozpiął marynarkę i wyjął jedną z dziesięciu kopert z nowymi banknotami. Rozerwawszy kopertę, położył na stole dwa banknoty.

- Możemy zagrać bez ograniczeń? - zapytał. - Chciałbym się trochę... odegrać!

Tym razem krupier z trudem pohamował uśmiech. Spojrzał przez stół na przedstawiciela zarządu, który kiwnął głową przyzwalająco. Znaleźli frajera, więc go oskubią. Przez cały wieczór grał pieniędzmi z portfela, teraz rozerwał zapieczętowaną kopertę, aby spróbować się odegrać. W dodatku koperta jest gruba, a pieniądze prawdopodobnie nie jego. Ale co to ich może obchodzić? Pieniądz nie zna pana. Gra potoczyła się dalej ku zadowoleniu przedstawicieli kasyna.

A Jason tego właśnie pragnął. Musi się dobrze dobrać im do skóry, zanim ktokolwiek zda sobie sprawę, że to oni mogą być przegrani. Wkrótce zacznie się ostra przeprawa i trzeba opóźnić ją jak najbardziej. Trudno będzie wygrać gładko - a siła psi może go szybko odstąpić. To się już zdarzało.

Grał teraz przeciwko kasynu, dwaj pozostali gracze byli wyraźnie podstawieni, i wokół stołu zbił się ciasny tłum. Po zmiennym początkowo okresie gry, Jason miał cały nieprzerwany ciąg udanych rzutów z pierwszej ręki i kupka złotych monet obok niego wciąż rosła. Ocenił z grubsza, że było w niej blisko miliard kredytów. Kości wciąż padały, jak chciał. Był zlany potem od stóp do głów. Stawiając cały stos żetonów na jeden rzut, sięgnął po kości. Krupier

okazał się jednak szybszy.

- Kasyno żąda nowych kości - rzekł bezbarwnym głosem. Jason wyprostował się i wytarł rękę, rad z chwilowej przerwy. Już trzeci raz zmieniano kości, pragnąc przełamać jego szczęśliwą passę. Był to przywilej kasyna. Zimmooki pracownik kasyna otworzył teczkę, tak jak to już przedtem czynił, i wyjął parę nowych kości. Zdarłszy z nich plastikową powłokę, cisnął je przez stół do Jasona. Upadły tworząc siódemkę i Jason uśmiechnął się.

Kiedy je wziął do ręki, uśmiech z wolna spłynął mu z twarzy. Kości były przezroczyste, starannie wykonane, równo wyważone i... szachrajskie.

Pigmentem kropek na pięciu ściankach każdej kostki był stop jakiegoś ciężkiego metalu, prawdopodobnie ołowiu. Szósta ścianka zawierała związek żelaza. Takie kości toczą się normalnie, póki nie natrafią na pole magnetyczne - co oznaczało, że cała powierzchnia stołu mogła być magnetyzowana. Jason nigdy by tego nie spostrzegł, gdyby nie „szósty zmysł”.

Potrząsając kośćmi, rozejrzał się po stole. Znalazł, czego szukał. Popielniczkę z magnezem w dnie, aby trzymała się metalowego stołu. Przestał potrząsać kośćmi, spojrzawszy na nie kpiąco i chwycił popielniczkę. Przyłożył kości do dna popielniczki.

Gdy uniósł popielniczkę do góry, z ust wszystkich zebranych wokół stołu wyrwał się okrzyk. Kości przywarły do dna popielniczki.

- To mają być kości do uczciwej gry? - spytał.

Mężczyzna, który je rzucił na stół, sięgnął szybko do tylnej kieszeni spodni. Tylko Jason widział, co się potem stało. Śledził tę rękę pilnie, sam miał palce na kolbie rewolweru. Gdy pracownik kasyna wsadził rękę do kieszeni, nagle z tłumu za jego plecami wysunęła się inna. Sądząc po kształcie, mogła to być dłoń tylko jednego znanego Jasonowi człowieka. Jej kciuk i palec wskazujący objęły przegub sięgającego po broń. Pracownik kasyna krzyknął i uniósł rękę z dłonią zwisającą bezwładnie jak pusta rękawiczka u pogruchotanego nadgarstka.

Mając taką ochronę, Jason mógł bez obawy grać dalej. - Poproszę o poprzednią parę - rzekł spokojnie.

Krupier, oszołomiony, podał mu wycofane z gry kości. Jason potrząsnął je szybko w dłoniach i rzucił. I oto, jeszcze nim dotknęły stołu, zdał sobie sprawę, że stracił nad nimi władzę - ulotna siła psi opuściła go.

Kości toczyły się i toczyły. Kiedy się zatrzymały, liczba oczek wynosiła siedem.

Zdobyte żetony utworzyły sumę blisko miliarda kredytów. Tyle by wygrali, gdyby teraz zakończył grę - ale brakowało jeszcze dużo do trzech miliardów, których Kerk potrzebował. No cóż, będzie się musiał zadowolić tym, co jest. Sięgając po złote żetony napotkał wzrok stojącego po drugiej stronie stołu Kerka. Dojrzał w nim zdecydowany zakaz.

- Grajmy dalej - powiedział więc ze znużeniem. - Ostatnia kolejka.

Chuchnął na kości, przetarł je o mankiet, utyskując w duchu, że musiał popaść w takie tarapaty. Miliardy kredytów zależały od tej pary kości. Była to suma, jaką wynosił roczny dochód niejednej planety. O dopuszczeniu do tak wysokich stawek decydował fakt, że władze

planetarne miały udział w zyskach kasyna. Jason długo potrząsał kośćmi, starając się odzyskać siłę, która go opuściła, w końcu rzucił.

Wszelka działalność w kasynie ustała i gracze stali na krzesłach i stołach, obserwując przebieg gry. Panowała kamienna cisza. Kości odbiły się od stołu z głośnym grzechotem i potoczyły się po suknie.

Piątka i jedynka. Sześć. Musiał więc jeszcze raz wyrzucić szóstkę, by wygrać. Zgarnawszy kości, Jason przemawiał do nich, mamrotał pradawne zaklęcia przynoszące szczęście i rzucił ponownie.

Musiał rzucić jeszcze pięć razy, nim wyszła szóstka.

Tłum powtórzył echem jego westchnienie ulgi i szybko podniósł się gwar. Jason rad by teraz odpoczął, odetchnął głęboko, ale wiedział, że nie może. Wygranie pieniędzy stanowiło tylko część zadania - pozostało jeszcze wynieść je z kasyna. Trzeba to było zrobić w sposób pozornie niedbały. Właśnie obok przechodził kelner z tacą z kieliszkami. Jason zatrzymał go i wsunął mu do kieszeni stukredytowy banknot.

- Pijcie, ja stawiam! - krzyknął zabierając kelnerowi tacę. Gratulujący mu wygranej szybko zabrali napełnione kieliszki i Jason zsywał na tacę żetony. Nie zmieściły się wszystkie, ale w tej samej chwili pojawił się Kerk z drugą tacą.

- Chętnie panu pomogę - rzekł - jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

Jason spojrział na niego i uśmiechnął się przyzwalająco. Dopiero teraz mógł mu się bliżej przyjrzeć. Kerk miał na sobie coś w rodzaju purpurowego, luźno skrojonego wieczorowego ubrania, które opinało się na sztucznie zrobionym brzuchu. Rękawy miało długie i obwisłe, więc Kerk wydawał się raczej otyły niż muskularny. Było to proste, ale skuteczne przebranie.

Niosąc ostrożnie załadowane żetonami tace, otoczeni tłumem podnieconych graczy, udali się do okienka kasjera. Zastali tam samego dyrektora, który miał na twarzy wymuszony uśmiech. Ale nawet ten uśmiech znikł, kiedy dyrektor policzył żetony.

- Czy mógłby pan przyjść rano? - spytał Jasona. - Obawiam się, że nie mamy pod ręką aż tylu pieniędzy.

- Co jest! - krzyknął Kerk. - Chcecie się wymigać od wypłacenia mi pieniędzy? Kiedy ja przegrałem, kazaliście mi od razu płacić... teraz płaciec wy!

Tłum gości, zawsze rad, kiedy kasyno przegrywa, zaszemrał z niezadowoleniem.

- Pójdę wam na rękę - zakończył sprawę Jason. - Dajcie mi całą gotówkę, jaką macie, a na resztę wystawcie czek. Dyrektor nie miał innego wyjścia. Pod baczny okiem rozentuzjarmowanego tłumu zapakował banknoty do koperty i wypisał czek. Jason sprawdził czek i włożył do wewnętrznej kieszeni. Z wielką kopertą pod pachą ruszył za Kerkiem ku wyjściu.

Ponieważ na sali byli goście, nikt nie próbował ich zatrzymać, ale gdy znaleźli się przy bocznym wyjściu, dwaj ludzie natychmiast zatarasowali im drogę.

- Chwileczkę - rzekł jeden z nich. Nie zdążył dokończyć tego, co miał do powiedzenia. Kerk wszedł między niego i jego towarzysza i obaj runęli jak powalone kręgle. Kerk i Jason znaleźli się na zewnątrz i szybko się oddalili.

- Na parking - powiedział Kerk. - Mam tam wóz.

Kiedy skręcili za róg, nagle wyjechał na nich samochód. Nim Jason zdążył wyjąć rewolwer spod pachy, Kerk znalazł się przed nim. Uniósł rękę i z rękawa wyskoczyła, rozdarłszy materiał, jego ciężka, groźna broń, lądując na płask w dłoni. Kierowca padł od jednego strzału i samochód nagle skręcił, uderzył w mur. Dwóch pozostałych zbirów zginęło wychodząc z wozu. Pistolety wypadły im z bezwładnych rąk.

Potem zbiegowie nie mieli już kłopotów. Kerk jechał, jak tylko mógł najszybciej, oddalając się od kasyna. Rozerwany rękaw łopotał w podmuchu powietrza, ukazując raz po raz groźną broń w przytroczonej do przedramienia pochwie.

- Jak będzie okazja - rzekł Jason - musisz mi pokazać, jak działa ta magiczna broń.

- Jak będzie okazja - odparł Kerk, skręcając w tunel do miasta.

Dom, przy którym się zatrzymali, był jedną z okazalszych rezydencji na Cassylii. Podczas jazdy Jason przeliczył pieniądze i oddzielił swój zysk. Było tego blisko szesnaście milionów kredytów. Wciąż wydawało mu się to wszystko jakieś nierealne. Kiedy samochód stanął, Jason oddał resztę pieniędzy Kerkowi.

- Masz swoje trzy miliardy. Nie myśl, że łatwo mi przyszły.

- Mogło być gorzej - padła jedyna odpowiedź.

Zapisany na taśmie magnetofonowej głos zazgrzytał w głośniku nad drzwiami:

„Pan Ellus udał się na spoczynek. Proszę przyjść rano. Wszystkie wizyty muszą być uprzednio...”

Słowa urwały się, gdy Kerk pchnął drzwi i zamek puścił. Kerk zrobił to niemal bez wysiłku, otwartą dłonią. Gdy wchodzili, Jason przyjrzał się resztkom poskręcane go metalu, które zwisały w miejscu, gdzie przedtem był zamek, i zadumał się nad swoim towarzyszem.

Siła - coś więcej niż siła fizyczna. On jest jak żywiol. Odnoszę wrażenie, że nic nie jest w stanie go zatrzymać.

Gniewało go to... a zarazem fascynowało. Nie chciał zakończyć tej sprawy, zanim nie dowie się czegoś więcej o Kerku i jego planecie. I owych tajemniczych ludziach, jacy oddali życie dla zdobycia pieniędzy, których użył w grze.

Pan Ellus był stary, łysiejący i zły, nie przyzwyczajony, by mu przerywano sen. Jego przybocznicy stanęli jak wryci, gdy Kerk rzucił pieniądze na stół.

- Czy statek jest załadowany, Ellus? Oto reszta należności. Ellus przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa, tylko przebierał w palcach banknoty.

- Statek... ależ tak, oczywiście. Zaczęliśmy ładować towar, gdy tylko dał nam pan zadatek. Niech mi pan wybaczy to moje zmieszanie, ale to wszystko jest takie niezwykle. Nigdy nie przeprowadzamy podobnych transakcji za gotówkę.

- Ja zwykle właśnie tak załatwiam interesy - odparł Kerk. - Unieważniłem daną uprzednio zaliczkę i to jest cała suma. A teraz proszę o pokwitowanie.

Ellus wypisał pokwitowanie i dopiero wtedy się opamiętał. Trzymając pokwitowanie w ręku patrzył z niepokojem na trzy miliardy rozłożone na stole.

- Wolnego... nie mogę teraz przyjąć tych pieniędzy. Musi pan przyjść rano do banku. Tak się normalnie załatwia sprawy - oznajmił stanowczo.

Kerk delikatnie wyjął pokwitowanie z jego dłoni.

- Dziękuję bardzo - powiedział. - Rano już mnie tu nie będzie, więc musimy się tym zadowolić. A jeśli boisz się o te pieniądze, proponuję, abyś postawił na nogi całą swoją straż fabryczną albo prywatną policję. Będziesz się czuł bezpieczniejszy.

Gdy wychodzili przez nieco uszkodzone drzwi, Ellus jak szalony wykręcał numery na tarczy ekranu. Nim jeszcze Jason zdołał otworzyć usta, Kerk odpowiedział na jego pytanie:

- Domyślałem się, że chciałbyś móc się nacieszyć pieniędzmi, które masz w kieszeni, więc kupiłem dwa bilety na statek międzyplanetarny. - Spojrzał na tarczę zegarka w samochodzie. Statek startuje za mniej więcej dwie godziny, mamy zatem mnóstwo czasu. Jestem głodny, poszukajmy jakiejś restauracji. Spodziewam się, że nie zostawiłeś u siebie w hotelu nic takiego, po co warto wracać. Byłoby to raczej trudne.

- Nic, za co warto byłoby zostać zabitym - odparł Jason. - Dokąd pójdziemy coś zjeść? Chciałbym ci zadać kilka pytań.

Pokrążyli trochę wokół, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi, i zjechali na poziom transportowych arterii przelotowych. Kerk wjechał w cień jakiejś rampy załadunkowej i tam zostawili samochód.

- Zawsze możemy postarać się o inny - rzekł - a na ten pewnie wzięli już namiar. Wróćmy teraz do arterii przelotowej, widziałem tam jakąś restaurację.

Cały parking zapełniały ciemne i ponure kształty środków transportu naziemnego. Przeszli obok wysokich na chłopa kół i weszli do ciepłej i hałaśliwej restauracji. Kierowcy i udający się na pierwszą zmianę robotnicy nie zwrócili na nich uwagi, kiedy usiedli w łoży w głębi sali i wykręcili na tarczy numery zamawianych dań.

Kerk uciął sobie spory kawał grubego befsztyka i włożył do ust.

- Pytaj, o co chcesz - powiedział Jasonowi. - Od razu lepiej się poczułem.

- Co jest na tym statku, który dziś zamówiłeś? Dla jakiego to ładunku ryzykowałem głowę?

- Sądziłem, że ryzykowałeś głowę dla pieniędzy - odparł Kerk cierpko. - Ale możesz być pewien, że w słusznej sprawie. Ten ładunek to ocalenie świata. Broń, amunicja, miny,

materiały wybuchowe i temu podobne.

Jason omal się nie udławił kęsem jadła, który miał w ustach.

- Przemyt broni! Co ty robisz? Finansujesz prywatną wojnę? I jak możesz mówić o ocaleniu czegokolwiek przy pomocy tak śmiertelnych środków? Nie próbuj we mnie wmawiać, że są one pokojowe. Kogo zabijacie?

Olbrzym stracił cały dobry humor - jego twarz przybrała znany już Jasonowi ponury wyraz.

- Tak, słowo „pokojowe” byłoby bardzo trafne. Bo wszystko czego pragniemy, to właśnie pokoju. Żebyśmy mogli żyć w pokoju. I nie zabijamy żadnego k o g o ś, tylko c o ś.

Jason gniewnym ruchem odsunął od siebie talerz.

- Mówisz zagadkami - rzekł. - W tym nie ma najmniejszego sensu.

- Jest - odparł Kerk. - Ale tylko na jednej planecie we wszechświecie. Powiedz, co wiesz o Pyrrusie.

- Absolutnie nic.

Przez chwilę Kerk siedział zatopiony w myślach. Potem znów zaczął mówić:

- Ludzie są na Pyrrusie obcym elementem... chociaż żyją tam już niemal trzysta lat. Średnia długość życia na naszej planecie wynosi szesnaście lat. Większość dorosłych żyje oczywiście znacznie dłużej, ale wysoka śmiertelność dzieci ogromnie obniża przeciętną. Jest ta planeta wszystkim, czym świat człowieczy być nie powinien. Panuje na niej grawitacja prawie dwukrotnie większa od ziemskiej. Dzienna temperatura może się wahać od arktycznej do tropikalnej. Klimat... no cóż, trzeba to przeżyć samemu, aby móc uwierzyć. Czegoś takiego nie widziałeś w całej galaktyce.

- Przerażasz mnie - zauważył Jason cierpko. - Co tam macie, metany czy związki chloru? Bywałem na podobnych planetach...

Kerk trzasnął pięścią w stół, aż podskoczyły talerze i zatrzeszczały nogi stołu.

- Reakcje laboratoryjne! - warknął. - Świetnie wyglądają w pracowni... ale co się dzieje, kiedy masz cały świat wypełniony takimi związkami? W skali czasu cała ich gwałtowność zostaje zamknięta w przyjemnych trwałych związkach. Taka atmosfera może być zabójcza dla kogoś, kto oddycha tlenem, ale sama w sobie jest nieszkodliwa jak słabe piwo. Jeden tylko zestaw związków czyni atmosferę planetarną nie do zniesienia. Mnóstwo H₂O, najbardziej uniwersalnego rozpuszczalnika, jaki istnieje, plus wolny tlen, który może działać na...

- Woda i tlen! - przerwał mu Jason. - Chyba masz na myśli ziemię albo taką planetę jak Cassylia! To śmieszne.

- Wcale nie. Ponieważ urodziłeś się w tego rodzaju środowisku, uważasz je za właściwe i naturalne. Jest dla ciebie rzeczą samą przez się zrozumiałą, że metale korodują, linie brzegów się zmieniają, a burze powodują zakłócenia w komunikacji. Są to normalne zdarzenia w światach, gdzie występuje tlen i woda. Na Pyrrusie wszystkie te zjawiska są nasilone do entej

potęgi. Oś planety jest nachylona pod kątem prawie czterdziestu dwóch stopni, co powoduje ogromne różnice temperatur pomiędzy porami roku. Jest to jedna z podstawowych przyczyn stałych zmian pokrywy lodowej. Stwarza to klimat, który, mówiąc najdelikatniej, jest bardzo spektakularny.

- Jeśli to wszystko - zauważył Jason - nie rozumiem po co...

- To wcale nie wszystko... to załedwie początek. Morza spełniają podwójnie destrukcyjną rolę. Dostarczają parę wodną, która się potem skrapla, i gigantyczne pływy. Dwa satelity Pyrrusa, Samas i Bessos, łączą okresowo swoje wpływy powodując powstanie trzydziestometrowych fal. A jeśli nie widziałeś, jak taka fala przyływu przelewa się przez krawędź krateru czynnego wulkanu, to nic nie widziałeś. Sprowadziły nas na tę planetę pierwiastki ciężkie... i właśnie te pierwiastki utrzymują Pyrrusa w wulkanicznym wrzeniu. W bezpośrednim sąsiedztwie gwiazdnym było co najmniej trzynaście supernowych. Ciężkie pierwiastki można oczywiście znaleźć na większości planet... ale także atmosfery, którymi nie sposób oddychać. Długoterminową eksploatację złóż można zrealizować tylko przez stworzenie samowystarczalnej kolonii. To wskazywało na Pyrrusa, gdzie pierwiastki radioaktywne są zamknięte w jądrze planety otoczonym skorupą pierwiastków lekkich. I chociaż z jednej strony stwarza to odpowiednią dla ludzi atmosferę, z drugiej powoduje nieustanną aktywność wulkaniczną, ponieważ płynna magma stara się siłą wydobyć na powierzchnię.

Jason po raz pierwszy słuchał w milczeniu. Próbował wyobrazić sobie, jak może wyglądać życie na planecie, która jest w stałej walce z sobą samą.

- Ale najlepsze pozostawiłem na koniec - rzekł Kerk z wisielczym humorem. - Teraz, gdy już masz pojęcie, jak wygląda nasze środowisko naturalne, pomyśl, jakie formy życia mogą w nim istnieć. Wątpię, czy jakikolwiek obcy gatunek mógłby w nim przetrwać choćby minutę. Rośliny i zwierzęta na Pyrrusie są bardzo odporne. Walczą z panującymi tam warunkami i sobą nawzajem. Setki tysięcy lat genetycznych eliminacji stworzyły coś, co przyprawiłoby nawet elektroniczny mózg o koszarne sny. Zwierzęta uzbrojone w łuski trujące, zaopatrzone w kły i szpony. Dotyczy to zarówno tego, co chodzi i lata, jak i tego, co tylko siedzi w ziemi i rośnie. Widziałeś kiedykolwiek uzębioną roślinkę, która... gryzie? Sądzę, że nawet nie chciałbyś zobaczyć. Bo musiałbyś przyjechać na naszą planetę, a to oznaczałoby twoją śmierć w ciągu załedwie kilku sekund po wyjściu ze statku. Nawet ja muszę odbyć kurs doszkalający przed wyjściem poza obręb zamkniętych budowli kosmodromu. Wciąż nie kończąca się walka o przetrwanie sprawia, że współzawodniczące z sobą formy życia nieustannie się zmieniają. Sama śmierć jest prosta, ale sposoby jej zadawania zbyt liczne, aby je można było wymienić.

Szerokie barki Kerka pochyliły się w przygnębieniu. Po jakimś czasie otrząsnął się z zamyślenia. Zająwszy się na powrót jedzeniem i maczając chleb w sosie, zaczął znowu mówić:

- Przypuszczam, że nie istnieje żaden logiczny powód, abyśmy tam trwali i prowadzili tę nie kończącą się wojnę. Lecz Pyrrus jest naszą ojczyzną. - Ostatni kawałek namoczonego w sosie chleba znikł i Kerk pokiwał widelcem w stronę Jasona. - Ciesz się, że jesteś z innego świata i nigdy nie będziesz musiał tego oglądać.

- Mylisz się - odrzekł Jason jak mógł najspokojniej. - Bo jadę z tobą.

- Nie bądź głupi - powiedział Kerk wykręcając na tarczy zamówienie na następny befsztyk. - Są dużo prostsze sposoby popełnienia samobójstwa. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś teraz milionerem? Z tym, co masz w kieszeni, mógłbyś spędzić resztę życia na jednej z wypoczynkowych planet. Pyrrus jest planetą śmierci, nie ośrodkiem turystycznym dla pragnących wypoczynku ludzi. Nie mogę pozwolić, abys tam ze mną pojechał.

Gracze, którzy tracą panowanie nad sobą, nie żyją długo. Jason był teraz zły. Przejawem tego był nienaturalny spokój, mówił powoli, z twarzą pozbawioną wyrazu:

- Nie mów mi, co wolno, a czego nie wolno, Kerku. Jesteś olbrzymi i bardzo szybki... ale to jeszcze nie czyni ciebie moim opiekunem. Możesz mi tylko nie pozwolić jechać twoim statkiem. Ale z łatwością dostanę się tam inaczej. I nie próbuj we mnie wmówić, że chcę tam jechać w celach turystycznych, gdy nie masz pojęcia, jakie są tego prawdziwe powody.

Jason nawet nie próbował wyjaśnić owych powodów, były zbyt osobiste i nawet dla niego samego niezbyt jasne. Im więcej podróżował, tym bardziej wszystko wydawało mu się takie samo. Stare, cywilizowane planety były bardzo do siebie podobne. Światy pogranicza przypominały swoją surowością prowizoryczne obozowiska w lesie. Nie znaczy to, że galaktyczne światy go nudziły. Tyle, że odkrył ich ograniczenia - nigdy natomiast nie odkrył własnych. Póki nie spotkał Kerka, nie znał człowieka, który by go w czymś przewyższał lub chociaż mu dorównywał. To było coś więcej niż zwykły egotyzm. Przemawiały za tym fakty. A teraz stanął przed faktem, że istnieje świat ludzi, którzy go przewyższają. Jason nie mógłby nigdy odzyskać spokoju, gdyby nie sprawdził tego naocznie. Choćby miał postradać w swych usiłowaniach życie.

Jednakże nie mógł powiedzieć tego wszystkiego Kerkowi. Istnieją inne powody, które ten lepiej zrozumie.

- Jesteś bardzo krótkowzroczny, zabraniając mi jechać na Pyrrusa - powiedział. - Nie wspomnę już nawet o wdzięczności, jaką jesteś mi winien za wygranie tych pieniędzy. A co zrobisz następnym razem? Skoro raz potrzebowałeś takiej ogromnej ilości środków śmiertelnych, zapewne kiedyś będziesz ich znowu potrzebował. Nie lepiej byłoby mieć pod ręką mnie, wypróbowanego i wiernego przyjaciela, niżli snuć jakieś nowe i być może niepewne projekty?

Kerk żuł w zamyśleniu nowy kęs befsztyka.

- To całkiem sensowne. Muszę przyznać, że nie pomyślałem o tym przedtem. My, Pyrrusanie, mamy tę wadę, że nie myślimy o przyszłości. Życie z dnia na dzień przysparza nam i tak aż za wiele kłopotów. Zajmujemy się więc doraźnymi sprawami i nie martwimy się, co będzie w przyszłości. Możesz ze mną jechać. Mam nadzieję, że będziesz jeszcze żył, kiedy staniesz się nam potrzebny. Jako ambasador Pyrrusa zapraszam cię oficjalnie na naszą planetę. Wszystkie wydatki pokrywamy my. Pod warunkiem, że będziesz bezwzględnie posłuszny wszystkim naszym zarządzeniom dotyczącym twego osobistego bezpieczeństwa.

- Przyjmuję ten warunek - rzekł Jason i sam sobie się dziwił, że tak ochoczo podpisał własny wyrok śmierci.

Kerk był właśnie w połowie trzeciego deseru, gdy jego zegarek zabrzączał cichutko. Natychmiast odłożył widelec i wstał.

- Pora iść - rzucił. - Teraz musimy działać zgodnie z ustalonym harmonogramem. - I kiedy Jason przygotowywał się do wyjścia, Kerk wsuwał monetę za monetą w otwór licznika, póki nie błysnął sygnał: „Zapłacone”. Potem wyszli na zewnątrz i ruszyli różnym krokiem.

Jason wcale się nie zdziwił, kiedy znaleźli się przy schodach ruchomych tuż za restauracją. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że od wyjścia z kasyna każdy ich ruch był szczegółowo zaplanowany. Niewątpliwie podniesiono alarm i szukano ich po całej planecie. Jednakże, jak dotąd, nie dostrzegli najmniejszego śladu pogoni. Nie pierwszy to raz Jason usiłował przechytrzyć władze - nigdy jednak nie robił tego pod czyimś kierunkiem. Bawiło go własne machinalne przyzwolenie na ten stan rzeczy. Był tyle lat samotnikiem, że znajdował jakąś przewrotną przyjemność w takim uzależnieniu się od kogoś innego.

- Prędej - warknął Kerk spojrzawszy na zegarek. Narzucił równe, mordercze tempo na ruchomych schodach. Pokonali w ten sposób pięć poziomów - nie napotkawszy nikogo - nim wreszcie Kerk ustąpił i uznał, że sama szybkość schodów wystarczy, by zdążyli na czas.

Jason chlubił się swoją kondycją fizyczną, ale ta nagła wspinaczka po nieprzespanej nocy sprawiła, że ciężko dyszał i był zlany potem. Oddychając normalnie i bez śladu potu na czole Kerk nie zdradzał oznak najmniejszego zmęczenia.

Byli na drugim poziomie komunikacji samochodowej, kiedy Kerk zszedł z wolno wznoszących się schodów i kiwnął na Jasona, aby uczynił to samo. Gdy wyszli na ulicę, jakiś samochód zatrzymał się nagle obok nich. Jason miał dość rozsądku, aby nie chwycić za rewolwer. Kierowca otworzył drzwi i wysiadł, a Kerk bez słowa podał mu jakąś karteczkę i siadł za kierownicą. Ledwie Jason znalazł się w środku, wóz ruszył. Całe to wydarzenie trwało niepełne trzy sekundy.

Jason widział kierowcę tylko przez mgnienie oka, ale to wystarczyło, by znając Kerka, rozpoznał w tym człowieku rdzennego Pyrrusanina.

- Daleś pokwitowanie Ellusa - rzekł.

- Oczywiście. To załatwia sprawę statku i ładunku. Zanim kasyno się połapie, że czek trafił do Ellusa, statek wystartuje i będzie daleko. Musimy więc teraz zatroszczyć się o siebie samych. Wytlumaczę ci cały plan szczegółowo, żeby nie było żadnych potknięć z twojej strony. Najpierw powiem ci wszystko, a jeśli będą jakieś niejasności, możesz mnie pytać, ale dopiero jak skończę.

Rozkazujący ton jego głosu był tak naturalny, że Jasonowi nie przyszło do głowy się sprzeciwiać. Śmieszyło go jednak to z góry założone przypuszczenie, że może czegoś nie rozumieć.

Kerk włączył się w ciąg pojazdów zdążających poza miasto, w stronę kosmodromu. Prowadził nie przestając mówić:

- Szukają nas w mieście, ale możemy sobie z tego nic nie robić. Jestem pewien, że Cassylianie nie będą chcieli się chwalić swoim niesportowym zachowaniem i nie posuną się do zamknięcia ruchu na trasie. Ale na kosmodromie będzie rojno od agentów. Wiedzą, że jeśli pieniądze opuszczą planetę, już ich nie odzyskają. Będą pewni, że mamy pieniądze przy sobie, kiedy zobaczą nas na kosmodromie. A zatem statek z amunicją odleci bez kłopotów.

- Chcesz powiedzieć, że celowo zwracamy na siebie uwagę, aby statek mógł spokojnie wystartować? - zapytał nieco zaskoczony Jason.

- Możesz to tak ująć. Ponieważ jednak my też musimy opuścić planetę, zrobimy z naszej ucieczki zasłonę dymną dla statku.

A teraz milcz, póki nie skończę. Jeśli mi przerwiesz jeszcze raz, wyrzucę cię z samochodu.

Jason wiedział, że nie są to czcze pogrożki. Słuchał pilnie i w milczeniu. Kerk powtórzył to, co już raz powiedział, a następnie ciągnął dalej:

- Wjazd dla pojazdów służbowych będzie zapewne otwarty, ponieważ jeździ tamtędy dużo wozów. I wielu agentów będzie po cywilnemu. Może nawet zdołamy się dostać na kosmodrom nie rozpoznani, w co wątpię. Ale to nieważne. Wjedziemy przez bramę służbową i pomkniemy na płytę startową. Na „Dumie Darkhanu”, na którą mamy bilety, włączą właśnie dwuminutową syrenę i będą odczepiali schodnię. Ledwo zdążymy zająć miejsca, statek wystartuje.

- Wszystko to bardzo piękne - zauważył Jason. - Ale co przez cały ten czas będą robiły straż?

- Będą strzelały do nas i siebie nawzajem. Korzystając z rozgardiaszu, wejdziemy na „Dumę Darkhanu”.

Odpowiedź nie zadowoliła Jasona, ale na razie dał spokój tej sprawie.

- Zgoda, powiedzmy, że znajdziemy się na statku. A co będzie, jeśli oni wstrzymają start do chwili, póki nas nie pochwyć w swoje łapy i nie postawią pod mur?

Kerk spojrzał na niego z pogardą.

- Mówiłem ci, że statek nazywa się „Duma Darkhanu”. Gdybyś przestudiował historię tego systemu, wiedziałbyś, jakie to ma znaczenie. Cassylia i Darkhan są siostrzanymi planetami i rywalizują między sobą we wszystkim. Przed niespełna dwoma stuleciami prowadziły wewnątrz systemową wojnę, która o mało nie doprowadziła do ich unicestwienia. Obecnie panuje między nimi zbrojny rozejm, którego żadna ze stron nie śmie naruszyć. Z chwilą gdy się znajdziemy na statku, będziemy na terytorium Darkhanu. Pomiędzy tymi planetami nie ma porozumienia o ekstradycji. Cassylianie bardzo chcieliby nas dostać w swoje ręce, ale nie aż tak, żeby ryzykować wszczęcie nowej wojny.

Na więcej wyjaśnień nie wystarczyło czasu. Kerk wydostał się ze sznura mknących pojazdów skręcając w bok na estakadę z napisem: „Tylko pojazdy służbowe”. Jason miał uczucie nagości, gdy mknęli w ostrym blasku światła portu ku strzeżonej bramie. Była zamknięta.

Z drugiej strony do bramy zbliżał się inny samochód i Kerk zwolnił. Jeden ze strażników porozmawiał chwilę z kierowcą tamtego wozu i machnął ręką do drugiego. Krata bramy zaczęła rozchyłać się do wewnątrz i Kerk nacisnął pedał gazu.

Teraz wszystko działo się równocześnie. Zawyla turbina, zapiszczały opony kół i samochód rozepchnął skrzydła bramy. Jason dostrzegł kątem oka rozdziawione usta strażników i już

skręcali z poślizgiem kół za róg jakiegoś budynku. Usłyszeli za plecami kilka strzałów, ale żaden nie okazał się celny.

Prowadząc wóz jedną ręką, Kerk sięgnął drugą pod deskę rozdzielczą i wyjął pistolet, który był bliźniaczą wersją morderczej broni przytroczonej do jego przedramienia.

- Weź lepiej ten zamiast swojego - poradził. - Rakietowo napędzane naboje wybuchowe. Rób wiele hałasu. Nie celuj w nikogo... tym zajmę się ja. Wał, w co się da, i trzymaj ich na odległość. O tak.

Strzelił przez boczne okno i podał pistolet Jasonowi, jeszcze nim nabój trafił do celu. Jakaś pusta ciężarówka wyleciała w powietrze z ogromnym hukiem, obrzucając sąsiednie samochody gradem odłamków. Kierowcy zaczęli uciekać w popłochu.

Potem zaczęła się obląkańcza jazda jak w koszmarnym śnie. Kerk jechał z wyraźną pogardą dla śmierci. Co chwila wyruszały za nimi w pościg inne samochody i gubiły się na zakrętach, które Kerk pokonywał na dwóch kołach. Przejechali takim slalomem prawie całą długość kosmodromu, znacząc swój szlak dymiącym chaosem.

Pozostawili pościg daleko w tyle i przed nimi widniała już tylko smukła wieżyca „Dumy Darkhanu”.

Statek międzyplanetarny był otoczony mocnymi zasiekami z drutu kolczastego, co świadczyło o pozycji, jaką tu posiadał ze względu na swe planetarne pochodzenie. Brama była zamknięta i strzeżona przez żołnierzy, którzy w oczekiwaniu na nadjeżdżający samochód stali z bronią gotową do strzału. Kerk nawet nie próbował się do nich zbliżyć. Wcisnął gaz do deski i skierował wóz na zasieki z drutu.

- Zakryj twarz! - krzyknął.

Zderzenie nastąpiło, zaledwie Jason zdążył zasłonić głowę rękami.

Zgrzytnął rozrywany metal, drut się napiął, owinął wokół samochodu, ale nie pękł. Siła zderzenia rzuciła Jasonem o wyściełaną deskę rozdzielczą. Widząc, jak Kerk wylamuje drzwi, zdał sobie sprawę, że to koniec jazdy. Kerk musiał dostrzec zmętniały wzrok Jasona, bez słowa dźwignął go i rzucił na maskę rozbitego samochodu.

- Przełaź przez przegięty drut i gnaj do statku! - krzyknął.

Aby nie było żadnych wątpliwości, o co mu chodzi, Kerk natychmiast puścił się biegiem na złamanie karku. Jasonowi nie chciało się wierzyć, by ktoś ważący tyle co ten Pyrrusanin, mógł biec tak szybko. Poruszał się raczej jak szarżujący czołg niż jak człowiek. Jason otrząsnął się z zamroczenia i pognął za nim. Jednakże zdołał pokonać zaledwie połowę drogi, gdy Kerk znalazł się już przy schodni. Była odczepiona i pracownicy przestali ją odtaczać, gdy olbrzym wbiegł na jej stopnie.

Znalazłszy się na szczycie odwrócił się i zaczął strzelać do żołnierzy, którzy nacierali przez otwartą bramę. Atakujący padli na ziemię, podczołgali się i odpowiedzieli ogniem na jego ogień. Tylko kilka strzałów skierowano w stronę biegnącego Jasona.

Jason widział to wszystko jak w zwolnionym filmie. Stojący na szczycie schodni Kerk

spokojnie odpowiadał na ogień, którym zasypywali go żołnierze. Mógł w jednej chwili znaleźć schronienie we wnętrzu statku, nie czynił tego jednak chcąc osłonić Jasona.

- Dzięki - wydusił z trudem Jason, wskakując na ostatnie stopnie schodni, po czym przesadził odstęp dzielący schodnię od statku i padł na podłogę.

- Nie ma za co - odparł Kerk wskakując za nim i wymachując pistoletem, aby ochłodzić lufę.

Stojący poza zasięgiem ognia z zielni oficer o surowej twarzy mierzył ich wyrokiem od stóp do głów.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - warknął.

Kerk dotknął poślinionym palcem lufy i schował pistolet do pochwy.

- Jesteśmy lojalnymi obywatelami innego systemu i nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. Te cassylijskie dzikusy nie zasługują na towarzystwo ludzi cywilizowanych. Udajemy się na planetę Darkhan... oto nasze bilety... i jesteśmy teraz, jak wnoszę, na jej suwerennym terytorium. - Ostatnie słowa wypowiedział pod adresem cassylijskiego oficera, który wdrapał się na szczyt schodni i właśnie unosił rewolwer do góry.

Trudno go było za to winić. Widział, że ci tak pilnie poszukiwani złoczyńcy mu się wymykają. W dodatku na pokładzie darkhańskiego statku. Poniósł go gniew, więc chwycił za rewolwer.

- Wychodźcie stąd dranie! Nie uciekniecie tak łatwo. Wychodzić wolno i z podniesionymi do góry rękami, bo będę strzelał... Czas jakby się zatrzymał i chwila wlokła się w nieskończoność.

Rewolwer był wymierzony w Kerka i Jasona, z których żaden nawet nie próbował sięgnąć po broń.

Lufa drgnęła lekko, gdy oficer statku darkhańskiego się poruszył, a potem znów została wymierzona w dwóch zbiegów. Oficer darkhański zrobił tylko jeden krok, ale to wystarczyło, by się znalazł przy czerwonej skrzynce wpuszczonej w ścianę śluzy. Szybkim ruchem otworzył skrzynkę i przytknął palec do umieszczonego w niej guzika. Odsłonił w uśmiechu wszystkie zęby. Podjął decyzję, a pomogła mu w tym arogancja cassylijskiego oficera.

- Niechaj tu, na terytorium Darkhanu, padnie choćby jeden strzał, a przycisnę guzik! - krzyknął. - A ty wiesz, co to oznacza... każdy wasz statek jest zaopatrzony w podobne urządzenia. Spróbuj tylko strzelić na tym statku, a naciśnę guzik. Wszystkie bezpieczniki stosu atomowego zostaną zwolnione - i połowa waszego zasranego miasta wyleci w powietrze. - Uśmiech zastygł mu na twarzy i nie było cienia wątpliwości, że spełni swoją groźbę. - No, strzelaj! Z przyjemnością naciśnę ten guzik.

Syrena startowa już wyła i napis: „Zamknąć śluzę” zaczął pulsującym światłem wyrażać gniewne ponaglenia z mostku kapitańskiego. Czterej mężczyźni patrzyli na ciebie jak aktorzy w ponurym dramacie.

Po chwili oficer cassylijski tłumiąc bezsilny gniew obrócił się na pięcie i zeskoczył na

schodnię.

- Wszyscy pasażerowie na miejsca. Start za czterdzieści pięć sekund. Opuścić służę - zakomenderował oficer darkhańskiego statku, zamykając czerwoną skrzynkę. Ledwie zdążyli paść na fotele akceleracyjne, gdy „Duma Darkhanu” wzbiła się w powietrze.

Gdy tylko statek znalazł się na orbicie, kapitan kazał sprowadzić Jasona i Kerka. Kerk zabrał głos i opowiedział wszystko szczerze o wydarzeniach minionej nocy. Jedyne, co zataił, to, że Jason był zawodowym graczem. Pyrrusanin nakreślił piękny obraz dwóch obdarzonych szczęściem nieznanym, których złe siły Cassylii chciały pozbawić uczciwej wygranej. Wszystko to świetnie przystawało do z dawna wyrobionego sądu kapitana o Cassylii. W końcu więc pogratulował swojemu oficerowi słuszności zachowania i zabrał się do pisania długiego raportu dla swoich władz. Życzył obu mężczyznom wszystkiego najlepszego i poprosił, aby czuli się na jego statku jak u siebie.

Była to krótka podróż. Jason ledwie zdążył się zdrzemnąć, a już wylądowali na Darkhanie. Ponieważ nie mieli bagażu, pierwsi przeszli przez komorę celną. Wyszli z niej w samą porę, żeby zobaczyć jak inny statek ląduje w odległym szybie. Kerk zatrzymał się, aby mu się przyjrzeć, i Jason pobiegł wzrokiem śladem jego spojrzenia. Statek był szary, pokieroszowany. Miał przysadziste kształty frachtowca - ale był uzbrojony w liczne wielkokalibrowe działa jak krążownik.

- Twój, oczywiście - zauważył Jason.

Kerk skinął głową i ruszył w stronę statku. Kiedy podeszli, jedna ze śluz się otworzyła, ale nikt nie wyszedł im na spotkanie. Wysunęły się natomiast zdalnie sterowane schodki. Kerk wspiął się po nich, a Jason podążył za nim nachmurzony. Odniósł wrażenie, że ta bezceremonialność jest w tym wypadku nieco przesadzona.

Ale Jason zaczynał się oswajać z pyrryjskimi zwyczajami. Przyjęcie ambasadora na statku było takie, jak oczekiwał. To znaczy nie było żadnego. Kerk sam zamknął służę, po czym zabrzmiała syrena startowa i usiedli na fotelach. Ryknęły główne silniki odrzutowe i przyspieszenie spłaszczyło Jasona.

Nie ustało jak zwykle po chwili. Wzrastało natomiast coraz bardziej, wyciskając powietrze z płuc i oślepiając. Zaczął krzyczeć, ale nie słyszał własnego głosu poprzez rozdzierający uszy ryk. Szczęściem zemdlął.

Kiedy odzyskał przytomność, statek znajdował się w zerowym punkcie grawitacji. Jason miał oczy zamknięte i czekał, aż ból ustąpi. Nagle usłyszał głos Kerka stojącego koło fotela:

- Moja wina, Meto. Powinienem być powiedzieć, że mamy jednogięowca na pokładzie. Może byś wtedy trochę złagodziła ten swój gruchocący kości start.

- Nie wygląda na to, że bardzo mu zaszkodził... ale co on tutaj robi?

Jason stwierdził ze zdziwieniem, że ten drugi głos był dziewczęcy. Nie zainteresowało go to jednak aż tak, aby otworzyć bolące oczy.

- Jedzie na Pyrrusa. Próbowałem mu to odradzić, ale na próżno. Źle się stało, bo wolałbym lepiej mu się przysłużyć. To właśnie on zdobył dla nas te pieniądze.

- Och, to straszne - odparła dziewczyna. Jason zastanawiał się, co jest takie s t r a s z n e. Otepiały, nie mógł tego pojąć. Byłoby znacznie lepiej, gdyby został na Darkhanie - ciągnęła dziewczyna. - Jest bardzo przystojny. Okropna szkoda, że musi umrzeć.

Tego już było Jasonowi za wiele. Rozwarł najpierw jedno oko, potem drugie. Głos należał do dziewczyny mniej więcej dwudziestoletniej, która stała koła fotela patrząc na Jasona. Była piękna.

Jason otworzył szerzej oczy; gdy zdał sobie sprawę, jak bardzo piękna. Miała ten rodzaj urody, jakiego nigdy nie widział na żadnej z planet w centrum galaktyki. Wszystkie kobiety, które znał, były anemiczne, o płaskich piersiach, a ich ziemiste twarze pokryte były makijażem. Spowodowane to było różnymi, rozwijającymi się całe wieki słabościami, ponieważ postęp medycyny sprawiał, że przy życiu utrzymywało się coraz to więcej zwykle skazanych na zagładę osobników.

Ta dziewczyna była ich skrajnym przeciwieństwem. Stanowiła produkt warunków życiowych na Pyrrusie. Ogromna siła grawitacji, która stworzyła wypukłe mięśnie u mężczyzn, nadała wielką moc mięśniom, które spinają kobiece figury. Dziewczyna miała prężną postać bogini, skórę opaloną i idealnie klasyczne rysy. Jej włosy, ucięte krótko, okalały główkę jak złota korona. Jedyne niekobiecy akcent w jej postaci stanowiła przytroczona do przedramienia pochwa pistoletu.

Ujrzawszy otwarte oczy Jasona, dziewczyna uśmiechnęła się. Jej zęby, tak jak oczekiwał, były równe i błyszcząły bielą.

- Jestem Meta, pilot tego statku. A ty musisz być... - Jason dinAlt. To był parszywy start, Meto.

- Strasznie przepraszam - roześmiała się. - Ale jeśli ktoś się urodził na dwugieowej planecie, jest trochę uodporniony na przyspieszenie. Poza tym to oszczędność paliwa, gdy krzywa współdziałania...

Kerk chrząknął znacząco.

- Chodź, Meto, obejrzymy ładunek. Są tam nowości, które na pewno zdołają uzupełnić braki na obwodzie.

- Świetnie - odparła, niemal klasnąwszy w dłonie z radości. - Czytałam specyfikacje, są wprost cudowne.

Jak mała dziewczynka ciesząca się nową sukienką. Albo pudełkiem czekoladek. Ale to nie czekoladki, tylko bomby i miotacze płomieni. Jason uśmiechnął się cierpko do swoich myśli, podnosząc się z jękiem z fotela. Pyrrusanie odeszli, więc powłókł się obolały za nimi.

Minęło dużo czasu, nim odkrył drogę do ładowni. Statek był wielki i najwyraźniej bez załogi. W końcu Jason znalazł jakiegoś mężczyznę śpiącego w jednej z jasno oświetlonych kabin. Rozpoznał w nim człowieka, który podstawił im samochód na Cassyli. Człowiek ten, jeszcze przed chwilą pogrążony w głębokim śnie, otworzył oczy, kiedy tylko Jason pojawił się w drzwiach. Był zupełnie przytomny.

- Jak się idzie do ładowni? - spytał Jason.

Mężczyzna wytłumaczył mu, zamknął oczy i nim Jason zdążył podziękować, zapadł z powrotem w sen.

W ładowni Kerk i Meta zdążyli już otworzyć kilka skrzyń i cieszyli się ich morderczą zawartością. Meta, obejmując ramionami zbiornik ciśnieniowy, zwróciła się do wchodzącego Jasona:

- Spójrz tylko na to. Ten proszek w środku... mógłbyś go jeść jak piasek, a nawet coś bardziej nieszkodliwego. A powoduje natychmiastową śmierć wszystkich form życia roślinnego... - Urwała nagle, jakby zdając sobie sprawę, że Jason nie podzielił jej zachwytu. - Przepraszam. Na chwilę zapomniałam, że nie jesteś Pyrrusaninem. Nie możesz więc tego zrozumieć, prawda?

Nim zdążył odpowiedzieć, z głośnika padło jej imię.

- Pora zmiany kursu - wyjaśniła. - Chodź ze mną na mostek, bo muszę przeprowadzić wyliczenia. Porozmawiamy sobie. Tak mało wiem o innych planetach poza Pyrrusem, że chcę ci zadać milion pytań.

Jason poszedł za nią na mostek, gdzie zwolniwszy oficera dyżurnego zaczęła obliczać współrzędne kursu międzyorbitalnego. Wyglądała obco wśród całej tej aparatury - mocna, lecz gibka figurka w jednoczęściowym kombinezonie okrętowym. Trudno było jednak nie przyznać, że wypełniała swoje obowiązki sprawnie.

- Meto, czy nie jesteś trochę za młoda, jak na pilota statku międzygwiazdowego?

- Za młoda? - chwilę pomyślała. - Nie mam pojęcia, w jakim wieku powinni być piloci. Pilotuję już coś ze trzy lata, a sama mam prawie dwadzieścia. Czyżbym zaczęła wcześniej niż inni?

Jason rozdziawił usta - potem się roześmiał.

- Przypuszczam, że to zależy, z jakiej kto pochodzi planety. Są miejsca, gdzie miałabyś kłopoty z uzyskaniem licencji. Ale z pewnością na Pyrrusie jest inaczej. Według ich standardów musisz już być starszą panią.

- Nie żartuj - rzekła Meta pogodnie, wpisując jakąś liczbę do kalkulatora. - Widywałam starsze panie na innych planetach. Są pomarszczone i mają siwe włosy. Nie wiem, po ile mają lat, pytałam jedną, ale nie chciała mi powiedzieć. Jestem pewna, że muszą być starsze niż ktokolwiek na Pyrrusie. Nikt u nas nie wygląda tak staro.

- Mówiąc „starsza”, miałem na myśli co innego. - Jason szukał właściwego słowa. - Nie stara, ale dorosła, dojrzała.

- Każdy jest dorosły - odparła. - Przynajmniej zaraz po wyjściu z ochronki. A wychodzi się po ukończeniu sześciu lat. Moje pierwsze dziecko jest już dorosłe, a drugie też by było tylko że nie żyje. Więc ja też muszę być dorosła.

To w jej odczuciu najwyraźniej rozstrzygało całą sprawę. Jason miał mętlik w głowie od

tych obcych pojęć, którymi się posługiwała.

Meta wystukała ostatnią współrzędną i z otworu zaczęła się wysuwać perforowana taśma kursu. Znowu zwróciła się do Jasona:

- Cieszę się, że jesteś na pokładzie, choć szczerze żałuję, że jedziesz na Pyrrusa. Ale będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby porozmawiać, a jest wiele rzeczy, których chciałabym się dowiedzieć. O innych planetach. I czemu niektórzy postępują tak, jak postępują. Inaczej niż ludzie z mojej rodzimej planety, gdzie się po prostu wie, dlaczego coś robią. - Chwilę patrzyła skrzywiona na taśmę kursową, po czym znów zainteresowała się Jasonem. - Jak wygląda twoja rodzima planeta?

Zaczęły mu się jedno po drugim cisnąć na usta kłamstwa, które zwykle opowiadał ludziom, ale je powstrzymał. Po co wysilać się na kłamstwa wobec dziewczyny, której naprawdę wszystko jedno, czy on jest chłopem czy panem. Dla niej w całej galaktyce były tylko dwa rodzaje ludzi. Pyrrusanie i cała reszta. Po raz pierwszy od ucieczki z Porgorstosaand zaczął mówić prawdę o swoim pochodzeniu.

- Moja rodzima planeta? To jedna z najbardziej zatechłych, najnudniejszych ślepych uliczek wszechświata. Wprost trudno uwierzyć w ten destrukcyjny rozkład planety, która jest głównie rolnicza, kastowa i całkowicie zadowolona ze swojej własnej nudnej egzystencji. Tam nie tylko nic się nie zmienia... tam nikt n i e c h c e żadnych zmian. Mój ojciec był rolnikiem, więc i ja powinienem być zostać rolnikiem... gdybym posłuchał rad ludzi lepszych ode mnie. Było nie do pomyślenia, a także surowo wzbronione, bym został kimkolwiek innym. I wszystko, czego pragnąłem, było sprzeczne z prawem. Miałem piętnaście lat, nim nauczyłem się czytać - z książki skradzionej ze szkoły warstwy uprzywilejowanej. Potem już nie miałem odwrotu. Zanim umknąłem na gapę jednym frachtowcem z obcej planety, gdy ukończyłem dziewiętnaście lat, popełniłem chyba wszystkie możliwe wykroczenia. Na całe szczęście. Ucieczka z domu była dla mnie jakby ucieczką z więzienia.

Słyszając to Meta pokręciła głową.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że może istnieć takie miejsce. Ale jestem przekonana, że nie mogłabym go polubić.

- Na pewno nie. - Jason uśmiechnął się. - Znalazłszy się więc w kosmosie, bez żadnych prawomysłnych talentów i umiejętności, zajmowałem się różnymi rzeczami od przypadku do przypadku. W tym wieku technologii byłem całkowicie nieprzystosowany. Och, na pewno dałbym sobie świetnie radę w wojsku, ale nie lubię wykonywać cudzych rozkazów. Ilekroć natomiast brałem udział w grach hazardowych, zawsze szło mi nieźle, toteż z czasem zająłem się wyłącznie nimi. Ludzie są wszędzie tacy sami, więc bez względu na to, gdzie jestem, zawsze świetnie sobie radę.

- Wiem, co masz na myśli, mówiąc, że ludzie są tacy sami, ale są również tacy i n n i - powiedziała. - Bardzo niejasno się wyrażam, prawda? Chodzi mi o to, że u siebie wiem, co ludzie robią, i wiem zarazem dlaczego. Na innych planetach oczywiście postępują bardzo podobnie, jak sam powiedziałaś, ale mam straszny kłopot ze zrozumieniem czemu. Lubię na przykład próbować dań miejscowej kuchni, gdy zatrzymujemy się na jakiejś planecie, i jeśli mam na to czas, zawsze to zrobię. Koło każdego kosmodromu są w pobliżu bary i restauracje, więc je odwiedzam. I zawsze wtedy mam kłopoty z mężczyznami. Chcą mnie częstować napojami, trzymać za rękę.

- No cóż, samotna dziewczyna w portowych lokalach musi wzbudzać zainteresowanie.

- Och, wiem o tym - odparła. - Nie rozumiem tylko, dlaczego nie słuchają, kiedy im mówię, że nie jestem zainteresowana i żeby mnie zostawili w spokoju. Zwykle śmieją się tylko i przysiadają się do mnie. Ale stwierdziłam, że jest na to bardzo skuteczny sposób. Mówię po prostu takiemu, że jak nie odejdzie, to mu złamię rękę.

- I to go odstrasza? - spytał Jason.

- Nie, jasne, że nie. Ale jak mu złamię rękę, to odchodzi. A wtedy inni też przestają się naprzykrzać. Wszystko to bywa bardzo kłopotliwe i jedzenie jest zwykle okropne.

Jason nie roześmiał się. Zwłaszcza gdy zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna naprawdę potrafiłaby złamać rękę każdemu portowemu opryszkowi w galaktyce. Stanowiła dziwną mieszaninę siły i naiwności, jak jeszcze nikt ze znanych mu dotąd ludzi. Znowu uświadomił sobie, że musi odwiedzić planetę, na której rodzą się tacy jak ona i Kerk.

- Opowiedz mi o Pyrrusie - poprosił. - Czemu oboje z Kerkiem z góry zakładacie, że padnę trupem, jak tylko tam wyląduję? Jak ta planeta wygląda?

Jej twarz stała się lodowata.

- Nie mogę. Sam będziesz musiał się o tym przekonać. To jedno wiem po zwiedzeniu innych światów. Pyrrus jest czymś, czego wy, ludzie galaktyki, nigdy nie doświadczyliście. Nie chcecie wierzyć, póki nie stanie się za późno. Czy obiecasz mi coś?

- Nie - odpowiedział. - Przynajmniej, zanim się nie dowiem, co to jest.

- Nie opuszczaj statku, jak wylądujemy. Tu będziesz bezpieczny, a ja za kilka tygodni polecę znowu z jakimś ładunkiem. - Niczego takiego ci nie obiecuję. Wyjadę, kiedy będę chciał.

- Jason wiedział, że za jej słowami musi się coś kryć, ale gniewała go ta jej z góry zakładana wyższość.

Meta w milczeniu dokończyła obliczeń. Na mostku zapanowała atmosfera napięcia, która obojgu odebrała ochotę do rozmowy.

Dopiero następnego dnia podróży zobaczył ją ponownie, i to zupełnie przypadkowo. Stała pod kopułą astrogacyjną i patrzyła w roziskrzoną czerń nieba. Tym razem nie pełniła służby i była ubrana nie w kombinezon, lecz w przewiewny, obcisły i lekko połyskujący szlafrok.

Uśmiechnęła się do niego.

- Gwiazdy są takie cudowne. Chodź, zobacz.

Jason stanął tuż przy niej i spojrzał w niebo. Znał dobrze te z grubsza geometryczne wzory na niebie, które go zawsze tak bardzo pociągały. Tym razem były jeszcze bardziej fascynujące. Sprawiała to niepokojąca obecność Mety w mrocznej ciszy pod kopułą. Zadarta w górę głowa dziewczyny niemal wspierała się o jego ramię. Jej włosy, których zapach chłonał z

lubością, zasłaniały część nieba.

Niemal bez zastanowienia objął ją i poczuł pod cienkim szlafrokiem ciepłe, jędrne ciało. Nie oburzyła się na to, a nawet przykryła jego dłonie swymi.

- Uśmiechasz się - powiedziała. - Więc też lubisz gwiazdy. - Bardzo - odparł. - Ale nie dlatego się uśmiecham. Przypomniało mi się, co opowiadałaś. Czy złamiesz mi rękę, Meto?

- Za nic w świecie - odrzekła z ogromną powagą, a potem też się uśmiechnęła. - Lubię cię bardzo, chociaż nie jesteś Pyrrusaninem. A ostatnio czułam się taka samotna...

Spojrzała na niego i wtedy ją pocałował. Odwzajemniła mu ten pocałunek z namiętnością, w której nie było wstydu ani fałszywej skromności.

- Moja kajuta jest tu obok, w korytarzu - powiedziała.

Odtąd stale przebywali razem. Gdy Meta pełniła dyżur, przynosił jej na mostek posiłki i rozmawiali. Jason niewiele dowiedział się jednak o jej świecie - na zasadzie niemego porozumienia nie poruszali tego tematu. Opowiadał jej o licznych planetach, które zwiedził, i ludziach, jakich poznał. Meta była chłonną słuchaczką i czas szybko im mijał. Cieszyli się wzajem swoją bliskością i była to dla nich wspaniała podróż.

Potem się skończyła.

Na statku znajdowało się czternaście osób, mimo to Jason nigdy nie widział ich więcej jak dwie, trzy naraz. Pełnili swoje obowiązki według ściśle ustalonego harmonogramu. Poza służbą Pyrrusanie zajmowali się własnymi sprawami i byli całkowicie samowystarczalni. Dopiero gdy statek wszedł na nową orbitę i z głośników padło słowo: „Odprawa”, zebrali się wszyscy.

Kerk wydał polecenia w związku z lądowaniem, po czym zadano kilka pytań. Wszystkie dotyczyły spraw technicznych i Jason nie starał się ich zrozumieć. Uwagę jego przyciągało natomiast samo zachowanie Pyrrusan. Mówili i poruszali się teraz znacznie szybciej. Byli jak żołnierze szykujący się do bitwy.

Po raz pierwszy uderzyło Jasona ich wzajemne podobieństwo. Nie żeby wyglądali tak samo, czy też to samo robili. Powodem tego uderzającego podobieństwa był sposób ich poruszania się i reagowania. Stali się jak wielkie, skradające się koty. Chodzili szybko, pełni napięcia i jakby stale gotowi do skoku, a ich oczy wciąż były rozbiegane.

Jason spróbował porozmawiać z Metą po odprawie, ale zrobiła się dla niego niemal obca. Odpowiadała monosylabami i nie patrzyła mu w oczy. Ledwie zdawała się go dostrzegać. Właściwie nie miał jej nic do powiedzenia, więc ruszyła w dalszą drogę. Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, ale się rozmyślił. Porozmawia kiedy indziej.

Kerk był jedynym człowiekiem, który zwrócił na niego uwagę - ale też tylko po to, aby mu kazać usiąść na fotelu akcelerycyjnym.

Lądowania Mety były nieporównanie gorsze od jej startów. Przynajmniej gdy lądowała na Pyrrusie. Zaczęło się od, szeregu nagłych przyspieszeń. W pewnym momencie nastąpił swobodny spadek, który wydawał się nieskończony. Rozległ się głośny łomot czegoś o kadłub

statku, wstrząsający całą jego konstrukcją. Wyglądało to raczej na jakąś bitwę niż lądowanie i Jason zastanawiał się, ile w tym wrażeniu może być prawdy.

Kiedy statek wreszcie wylądował, Jason nawet o tym nie wiedział. Dwugieowość planety odczuwał jak przeciążenie wywołane hamowaniem. Dopiero opadające wycie silników przekonało go, że już wylądowali. Rozpięcie pasów i wyprostowanie się przyszło mu z trudem.

Podwójna grawitacja nie wydawała się taka straszna. Początkowo. Chodzenie wymagało takiego samego wysiłku, jak noszenie na ramionach kogoś o takim samym ciężarze. Gdy Jason podniósł rękę, żeby otworzyć drzwi, była w dwójnasób ciężka. Powłócząc wolno nogami skierował się do głównej śluzy.

Wszyscy już tam stali i dwaj ludzie wytaczali z przyległego pomieszczenia przezroczyste bębny. Sądząc z ich wagi i odgłosów, jakie wydawały, gdy uderzały o siebie, były wykonane z przezroczystego metalu. Jason nie miał pojęcia, jakie mogło być ich przeznaczenie. Były próżne, metrowej średnicy, nieco wyższe od człowieka. Jeden koniec miały zamknięty, drugi zaopatrzone w pokrywę na zawiasach i zawór śrubowy. Dopiero gdy Kerk odkręcił koło zaworu i otworzył klapę jednego z nich, Jason zrozumiał, do czego służą.

- Właż - rzekł Kerk. - Musisz się w tym zamknąć, jeśli chcesz wydostać się ze statku.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odparł Jason. - Nie mam ochoty robić z siebie pośmiewiska, lądując na waszej planecie jak parówka w plastikowej folii.

- Nie bądź głupi - warknął Kerk. - My wszyscy wydostajemy się w tych bębnach. Za długo przebywaliśmy poza planetą, żeby móc ryzykować wyjście bez przejścia kursu reorientacji.

Jason poczuł się trochę głupio widząc, jak inni wślizgują się do przezroczystych bębnow. Wybrał najbliższy, wsunął się do wewnątrz i zamknął za sobą klapę. Kiedy przekręcił koło zaworu umieszczone w środku, klapa ścisnęła miękką uszczelkę. Po chwili zawartość CO₂ w szczelnym cylindrze wzrosła i umieszczony w spodzie regenerador powietrza zaczął pracować z pomrukiem.

Kerk wszedł do swojego bębna ostatni. Sprawdził przedtem zawory we wszystkich innych i wyłączył blokadę samoczynnego zamka drzwi komory powietrznej. Kiedy automat zaczął pracować, szybko zamknął się w swoim bębnie. Zarówno wewnątrz, jak zewnątrz zamki z wolna otworzyły się i przez strugi padającego deszczu napłynęło do wnętrza szare światło.

Jason poczuł się rozczarowany. Wszystkie te przygotowania wydały mu się zupełnie niepotrzebne. Minęły długie minuty niecierpliwego oczekiwania, nim przyjechała ciężarówka z dźwiękiem. Pyrryjski kierowca załadował bębny na ciężarówkę jak zwyczajny bagaż. Jason miał pecha, bo znalazł się na samym dole stosu, toteż nie mógł widzieć absolutnie nic, kiedy jechali.

Dopiero gdy bębny z ludźmi zostały złożone w pomieszczeniu o metalowych ścianach, Jason zobaczył pierwszy okaz pyrryjskiej fauny.

Kierowca ciężarówki właśnie zamykał grube zewnętrzne drzwi pomieszczenia, gdy coś wpadło z zewnątrz i uderzyło o ścianę w głębi. Ruch ten zwrócił uwagę Jasona; chciał zobaczyć, co to jest, i w tej samej chwili owe coś skoczyło ku jego twarzy.

Zapominając o metalowej ścianie cylindra Jason uskokzył w bok. Stwór uderzył w przezroczysty metal i przywarł do niego. Jason miał doskonałą okazję przyjrzeć się napastnikowi dokładnie.

Był niewiarygodnie odrażający. Niczym istota zwiastująca śmierć. Paszcza przecinająca łeb na dwie części, rzędy zębów, żłobkowanych i spiczastych. Twarde jak skóra skrzydła zakończone szponami, łapy z jeszcze dłuższymi szponami, które szarpały metalową ścianę.

Jasona ogarnęło przerażenie, gdy zobaczył, że te szpony zarysowują przezroczysty metal. W miejscach zetknięcia ze śliną stwora metal mętniał i łuszczył się pod wielkimi zębiskami.

Tłumaczył sobie, iż są to przecież tylko zadrapania na grubych ściankach cylindra. Jednakże ślepy nedorzeczny strach kazał Jasonowi skulić się w przeciwległym końcu bębna. Kurczył się w sobie, rozpaczliwie szukał ucieczki.

Dopiero, gdy latający stwór zaczął się roztopiać, Jason zdał sobie sprawę z przeznaczenia pomieszczenia, w którym znajdowały się bębny z ludźmi. Ze wszystkich stron naraz trysnęły strugi parującego płynu, który pokrył bębny. Kłapnąwszy po raz ostatni zębami, pyrryjskie zwierzę zostało zmyte i uniesione ciecżą. Ciecz spłynęła przez otwory w podłodze i nastąpiło drugie i trzecie płukanie.

Kiedy wypompowano roztwór, Jason starał się ochłonać. Dziwił się sam sobie. Nie pojmował, jak znajdujące się poza metalową ścianką hermetycznie zamkniętego bębna zwierzę - nawet najstraszliwsze - mogło w nim wywołać taki lęk. Jego reakcja była niewspółmierna do przyczyny. Choć stwór został już uśmiercony i zabrany z pola widzenia, Jason musiał użyć całej siły woli, by opanować rozdygotane nerwy i zacząć normalnie oddychać.

Obok przeszła Meta i wówczas zdał sobie sprawę, że proces sterylizacji został ukończony. Otworzył pokrywę cylindra i wydostał się na zewnątrz. Meta i reszta towarzyszy podróży już zdążyli odejść i został tylko jakiś nieznajomy z jastrzębim nosem.

- Jestem Brucco, kierownik Ośrodka Adaptacyjnego. Kerk powiedział mi, kim jesteś. Bardzo mi przykro, że przyjechałeś. Chodź ze mną, potrzebne mi próbki twojej krwi.

- Teraz się czuję jak u siebie w domu - odparł Jason. Niech żyje stara pyrryjska gościnność.
- Brucco tylko chrząknął i ruszył przodem. Jason podążył za nim pustym korytarzem do sterylnego laboratorium.

Podwójna grawitacja była rzeczą męczącą, stałym ciężarem dla zbolałych mięśni. Gdy Brucco badał próbkę krwi, Jason odpoczywał. Zdążył zapaść w niespokojną drzemkę, nim Brucco wrócił z tacą z flaszeczkami i igłami do zastrzyków.

- Zdumiewające - obwieścił. - Nie masz we krwi ani jednego przeciwciała, które mogłoby się przydać na naszej planecie. Mam tu całą grupę antygenów, po których przeleżysz jak kłoda przez co najmniej dzień. Zdejmij koszulę.

- Często to robisz? - spytał Jason. - Często szpikujesz tymi rzeczami gości z obcych planet, aby mogli zażywać rozkoszy przebywania w waszym świecie?

Jason odniósł wrażenie, że igła, którą wbił mu Brucco, otarła się o kość.

- Bardzo rzadko. Ostatni raz przed wielu laty. Przyjechało do nas sześciu naukowców z jakiegoś instytutu, którzy dobrze zapłacili, żeby móc studiować miejscowe formy życia. Nie sprzeciwialiśmy się. Zawsze odczuwamy brak waluty galaktycznej.

Jasonowi już się zaczynało kręcić w głowie od zastrzyków. - Ilu z nich przeżyło? - wymamrotał niewyraźnie.

- Jeden. Zdążyliśmy go w porę stąd wyprawić. Kazaliśmy im oczywiście zapłacić z góry.

Jason początkowo wziął słowa Pyrrusanina za żart. Potem przypomniał sobie, że Pyrrusanie mają w ogóle bardzo małe poczucie humoru. Jeśli choć połowa z tego, co Kerk i Meta mówili, jest prawdą, to przeżycie jednej osoby na sześć nie było wcale taką złą proporcją.

W sąsiednim pokoju stało łóżko i Brucco pomógł mu się położyć. Jason czuł się odurzony i prawdopodobnie tak było w istocie. Zapadł w głęboki sen pełen snień.

Lęk i nienawiść. Zmieszane pół na pół, oblewały go rozgrzanymi do czerwoności falami. Jeśli to był sen, chętnie wyrzekłby się snu na zawsze. Jeśli nie był, wolałby skonać. Próbował mu się opierać, ale tylko grzął coraz bardziej. Ten lęk nie miał początku ani końca i nie było przed nim ucieczki.

Kiedy Jason się ocknął, nie pamiętał żadnych szczegółów koszmarne snu. Pozostał tylko lęk. Był zlany potem i bolały go wszystkie mięśnie. To pewnie z powodu tych wszystkich zastrzyków, zdecydował w końcu, zastrzyków i tej brutalnej grawitacji. Wy tłumaczenie nie pozbawiło go jednak posmaku lęku.

Brucco wetknął głowę w drzwi i przyjrzał się Jasonowi od stóp do głów.

- Myślałem, że już nie żyjesz - powiedział. - Spaleś okrągłą dobę. Nie ruszaj się. Przyniosę coś, co cię postawi na nogi. Owe coś przybrało formę jeszcze jednego zastrzyku i szklanki podejrzanie wyglądającego płynu. Płyn ugasił pragnienie Jasona, ale boleśnie uświadomił doskwierający głód.

- Chce ci się jeść? - spytał Brucco. - Mogę się o to założyć. Przyspieszyłem twój metabolizm, żebyś szybciej rozbudował tkankę mięśniową. Jedyne sposoby, żeby uporać się z tą grawitacją. Będziesz miał spory apetyt przez jakiś czas.

Brucco jadł razem z nim i Jason miał okazję zadać mu kilka pytań.

- Kiedy wreszcie będę mógł rozejrzeć się po waszej fascynującej planecie? Bo jak dotychczas moja podróż jest równie ciekawa, jak pobyt w celi więziennej.

- Uspokój się i jedz. Pewnie minie wiele miesięcy, zanim będziesz mógł wyjść na zewnątrz. Jeżeli w ogóle...

Jason aż otworzył usta ze zdziwienia i zaraz je zamknął. - Mógłbyś mi, z łaski swojej, powiedzieć dlaczego?

- Oczywiście. Będziesz musiał przejść to samo przeszkolenie, co nasze dzieci. Im to

zajmuje sześć lat. Jest to oczywiście pierwsze sześć lat ich życia. Można by więc sądzić, że ty, człowiek dorosły, nauczysz się szybciej. Ale one za to mają przewagę dziedzicznych zdolności. Mogę powiedzieć jedno: wyjdiesz poza te hermetycznie zamknięte budynki, jak będziesz gotów.

Mówiąc to Brucco skończył jeść i siedział teraz patrząc z rosnącą odrazą na nagie ręce Jasona.

- Pierwsze, w co chcemy cię zaopatrzyć, to broń - powiedział. - Mdli mnie, gdy widzę kogoś bez broni.

Brucco oczywiście miał stale przy sobie pistolet, nawet w obrębie hermetycznie zamkniętych budynków.

- Każdy pistolet jest specjalnie dopasowany do właściciela i byłby całkowicie nieprzydatny komuś innemu - rzekł Brucco. Pokażę ci czemu. - Zaprowadził Jasona do zbrojowni pełnej śmiertelnej broni. - Włóż w to rękę, a ja zrobię pomiary.

Była to pudełkowata maszyna z kolbą pistoletu z boku. Jason uchwycił kolbę i oparł łokieć o metalową pętlę. Brucco umocował wskaźniki do jego przedramienia i spisał z nich dane. Odczytując liczby z powstałej listy, wybrał różne części z pojemników i szybko złożył je w automatyczną pochwę i pistolet. Mając pochwę przypiętą do przedramienia i pistolet w dłoni Jason zauważył po raz pierwszy, że są one połączone giętym kabelkiem. Kolba idealnie pasowała do jego dłoni.

- Oto sekret automatycznej pochwy - powiedział Brucco dotykając giętkiego przewodu. - Ten przewód jest nadzwyczaj giętki, kiedy posługujesz się bronią. Lecz jeśli zechcesz, by powróciła do pochwy... - Brucco poruszył coś i kabelek stał się sztywnym prętem, który wyrwał Jasonowi pistolet z dłoni i zawiesił w powietrzu.

- A teraz powrót. - Kablopręt furknął i wciągnął pistolet do pochwy. - Czynność wyjmowania broni jest oczywiście odwrotnością tej.

- Wspaniałe urządzenie - podziwiał Jason. - Tylko jak trzeba się do tego zabierać? Gwizdnąć czy co, żeby pistolet wyskoczył?

- Nie, broń nie jest sterowana akustycznie - odparł Brucco z całą powagą. - Rzecz jest o wiele precyzyjniejsza. Czekaj. Wyciągnij lewą rękę i zakrzyw palec, jakbyś naciskał cyngiel. Widzisz, jaki jest układ ścięgien na przegubie? Otóż na twoim prawym przegubie znajdują się bardzo czułe aktywatory. Ignorują każdy inny układ ścięgien, z wyjątkiem jednego: ręki gotowej do przyjęcia broni. Po pewnym czasie mechanizm staje się całkowicie zautomatyzowany. Gdy tylko zechcesz mieć pistolet w ręku, już go masz. Gdy nie, wraca do pochwy.

Jason wykonał prawą dłonią ruch chwytania za kolbę i zakrzywił palec wskazujący. Poczul nagle silne uderzenie w dłoń i głośny huk. Pistolet był w dłoni - część palców zdrętwiała - a z lufy wił się dymek.

- W magazynku są oczywiście ślepe naboje, dopóki nie nauczysz się w pełni panować nad bronią. Pistolety są ZAWSZE nabite. Nie mają bezpieczników. Zauważ brak osłony języczka spustowego. Przy składaniu się do strzału umożliwia to zgięcie palca nieco bardziej, a wtedy

pistolet oddaje strzał w momencie zetknięcia się z dłonią.

Była to bez wątpienia najbardziej mordercza broń, jaką Jason kiedykolwiek trzymał w ręku, i najtrudniejsza do opanowania. Starając się zapomnieć o bólu w mięśniach, wywołanym wysoką grawitacją, usiłował nauczyć się władać tym piekielnym urządzeniem. Pistolet miał doprowadzającą do szału tendencję do znikania w pochwie dokładnie w chwili, gdy Jason chciał pociągnąć za cyngiel. Jeszcze gorsze było wyskakiwanie pistoletu z pochwy, nim Jason zdążył się do tego w pełni przygotować. Broń przyjmowała pozycję, w której powinna się znajdować dłoń. Jeżeli palce nie były odpowiednio ułożone, pistolet je obijał. Jason zakończył ćwiczenia, kiedy cała dłoń stanowiła jeden wielki siniak.

Całkowite opanowanie broni miało przyjść dopiero z czasem, ale Jason już teraz rozumiał, czemu Pyrrusanie nigdy nie odpinali pistoletów. Byłoby to jak usunięcie części ciała. Ruch pistoletu z pochwy do dłoni był tak szybki, że aż niedostrzegalny. Na pewno szybszy od impulsu nerwowego, który układał dłoń w przygotowaną do ujęcia broni pozycję. Zupełnie jakby się miało piorun w koniuszku palca. Wystarczyło wycelować palec i „bam” - następowała eksplozja.

Brucco nie towarzyszył Jasonowi podczas tych ćwiczeń. Kiedy ból ręki był już nie do wytrzymania, Jason przerwał ćwiczenia i udał się w stronę swojego pokoju. Skręcając za róg korytarza, dostrzegł oddalającą się szybko znajomą postać.

- Meto! Zaczekaj chwilę! Chcę z tobą pogadać!

Odwróciła się ze zniecierpliwieniem, gdy człapał ku niej starając się iść jak najszybciej w tej podwójnej grawitacji. Wydała mu się jakaś zupełnie inna niż ta dziewczyna, którą znał na statku. Miała na nogach ciężkie buty po kolana, a jej ciało okrywał gruby, niezgrabny kombinezon z jakiejś metalicznej tkaniny. Szczupła kibić ginęła pod pasem z różnymi pojemnikami. Nawet twarz miała wyraz chłodnej rezerwy.

- Stęskniłem się za tobą - powiedział. - Nie wiedziałem, że jesteś w tym samym budynku. - Chciał wziąć ją za rękę, ale cofnęła ją.

- Czego chcesz?- zapytała.

- Czego chcę! - powtórzył jak echo z ledwie skrywanym gniewem. - Jestem Jason, nie pamiętasz mnie? Jesteśmy przyjaciółmi. Chyba przyjaciele mogą ze sobą rozmawiać, nie mając do siebie żadnego interesu.

- To, co było na statku, nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje na Pyrrusie. - Mówiąc to ruszyła przed siebie zniecierpliwiona. - Skończyłam okres rekondycyjny i muszę wracać do pracy. Ty zostaniesz tutaj, w hermetycznie zamkniętych pomieszczeniach, więc się już nie zobaczymy.

- Wracaj do dzieci... czy to chciałaś powiedzieć? I nie próbuj uciekać, mamy parę spraw do załatwienia...

Jason popełnił błąd wyciągając rękę, żeby ją zatrzymać. Właściwie nie wiedział, co się potem stało. Stwierdził tylko, że leży rozciągnięty jak kłoda na ziemi. Ramię miał paskudnie stłuczone, a Meta znikła właśnie w głębi korytarza.

Kulejąc, szedł w stronę swojego pokoju i kłął pod nosem. Padł na twarde jak głaz łóżko i próbował sobie przypomnieć, co go na tę planetę sprowadziło. Następnie zastanawiał się, czy był to dostateczny powód, aby znosić nieustanne katusze podwójnej grawitacji, przepelnione lękiem sny, które ta grawitacja powoduje, i wrodzoną wzdargę tych ludzi dla przybyszów z zewnątrz. Szybko pohamował tę rosnącą skłonność do uzalania się nad samym sobą. Według pyrryjskich standardów był istotnie słaby i bezradny. Jeżeli chciał, aby zmienili o nim zdanie, musiał nad sobą popracować.

Powalony zmęczeniem zapadł w sen, zakłócany tylko przeraźliwą grozą koszmarnych przywidzeń.

Rano obudził się z paskudnym bólem głowy i wrażeniem, że w ogóle nie spał. Przyjąwszy starannie odmierzone środki pobudzające, które dał mu Brucco, znów zaczął się zastanawiać nad czynnikami sprawiającymi, że miewa takie koszarne sny.

- Jedz szybko - rzekł mu Brucco, kiedy spotkali się w jadalni. - Już nie mogę poświęcać czasu na indywidualne nauczanie. Teraz wstąpisz do normalnej klasy i będziesz przerabiał obowiązujący materiał. Przychodź do mnie tylko wtedy, gdy będziesz miał jakiś specjalny problem, z jakim instruktorzy i trenerzy nie będą mogli sobie poradzić.

Klasy, jak Jason powinien oczekiwać, składały się z małych dzieci o surowych twarzach. Mocno zbudowane i pełne powagi były nieodrodnymi Pyrrusanami. Były to jednak mimo wszystko dzieci, które uważały, że to bardzo śmieszne, iż mają w swoim gronie człowieka dorosłego. Czerwony jak burak Jason, wciśnięty między szkolną ławkę a pulpit, wcale nie uważał tego za zabawne.

Jednak podobieństwo do normalnej szkoły kończyło się na wyglądzie klasy. Przede wszystkim każde dziecko - choćby najmniejsze - było uzbrojone w pistolet. I wszystkie wykładane przedmioty dotyczyły umiejętności przetrwania. Przy tego rodzaju programie mógł istnieć tylko jeden stopień przyswojenia materiału - stuprocentowy, i uczniowie tak długo powtarzali lekcję, póki nie opanowali jej celująco. Nie było żadnych innych przedmiotów. Przypuszczalnie pojawiały się one później, gdy dzieci miały już szkołę przetrwania za sobą i mogły poruszać się po planecie samodzielnie. Było to logiczne i trzeźwe podejście do sprawy. Słowa „logiczne” i „trzeźwe” mogły się właściwie odnosić do wszystkich poczynań Pyrrusan.

Prawie całe przedpołudnie było poświęcone nauce posługiwania się tak zwanym medycznym pakietem osobistym, który nosiło się u pasa. Był to analizator infekcji i toksyn, który należało przycisnąć do skaleczenia. Jeśli analizator wykrył substancje toksyczne, wówczas automatycznie wstrzykiwał odpowiednie antidotum. Urządzenie było proste w działaniu, lecz niewiarygodnie skomplikowane w budowie. Ponieważ zaś każdy Pyrrusanin sam obsługiwał swój sprzęt, w razie awarii mógł winić tylko siebie. Musiał znać budowę wszystkich urządzeń i umieć je reperować. Jason radził sobie z tym lepiej niż uczące się z nim dzieci, ale ten wysiłek go wyczerpał.

Po południu zetknął się po raz pierwszy z maszyną trenującą. Jego instruktorem był dwunastoletni chłopiec, który, mimo bez namiętnego głosu, nie potrafił ukryć pogardy dla mięczaka z innego świata.

- Wszystkie maszyny trenujące są fizycznymi duplikatami rzeczywistej powierzchni naszej planety, stale korygowanymi w miarę zmian zachodzących w formach życia. Jediną różnicę pomiędzy nimi stanowi stopień śmierteczności. Pierwsza maszyna, którą się posłużysz, jest

oczywiście maszyną do wprawiania niemowląt...

- Jakże mi miło - wymamrotał Jason. - Czuję się ogromnie pochlebiany. - Instruktor ciągnął dalej nie zważając na jego mamrotanie:

- ...wpuszczamy do niej niemowlęta, gdy tylko nauczą się raczkować. Jest bardzo realistyczna, choć całkowicie zdezaktywizowana.

Słowa: „maszyna trenująca” były złym określeniem, co to znaczy, Jason zdał sobie z tego sprawę, kiedy weszli przez grube drzwi. Znaleźli się na skrawku świata zewnętrznego odtworzonego w ogromnym pomieszczeniu. Nie musiał się bardzo wysilać, aby zapamiętać o malowanym suficie i sztucznym słońcu i wyobrazić sobie, że oto wreszcie jest na zewnątrz hermetycznego kompleksu. Sceneria wydawała się dość spokojna, aczkolwiek chmury gromadzące się nad horyzontem świadczyły o nadciągającej gwałtownej pyrryjskiej burzy.

- Musisz chodzić i przyglądać się wszystkiemu - pouczył Jasona instruktor. - Ilekroć dotkniesz czegoś ręką, zaraz o tym coś usłyszysz. O tak...

Chłopiec schylił się i dotknął palcem źdźbła trawy porastającej miękkim dywanem ziemię. Natychmiast z ukrytych głośników zawarczał głos:

- Trawa trująca. Trzeba zawsze chodzić w butach.

Jason przykląkł i przyjrzał się trawie. Źdźbło było zakończone twardym lśniącem haczykiem. Stwierdził ze zdumieniem, że każde źdźbło jest takie samo. Ten miękki zielony trawnik okazał się dywanem śmierci. Podnosząc się z kolan dostrzegł coś pod szerokolistną rośliną. Skulone, pokryte łuską zwierzę o wąskim pyszczku zakończonym długim kolcem.

- A cóż to takiego w moim ogrodzie? - spytał. - Ładne zwierzątka dajecie swoim dzieciom do zabawy. - Jason odwrócił się i zorientował, że mówi w próżnię - instruktora nie było. Wzruszył ramionami i poklepał łuszczaste szkaradztwo.

- Diabłoróg - ozwał się skądś bezosobowy głos. - Buty i odzież nie stanowią osłony. Zabij.

Ostry huk roztrzaskał ciszę, gdy z pistoletu Jasona padł strzał. Sztuczny diabłoróg reagujący na huk ślepego naboju przewrócił się na bok.

Jednak się czegoś uczyć - rzekł do siebie Jason i myśl ta go uradowała. Słowa: „zabij” używał Brucco, kiedy go uczył posługiwania się bronią. Bodziec w postaci tego rozkazu zadziałał na podświadomość. Jason zdał sobie sprawę, że chciał strzelić, dopiero gdy strzelił. Nabrał większego szacunku dla techniki szkoleniowej Pyrrusan.

Spędził bardzo nieprzyjemne popołudnie w tym dziecięcym ogrodzie grozy. Śmierć wyzierała ze wszystkiego. I za każdym razem bezosobowy głos udzielał mu surowych rad. A wszystko, aby mógł zadawać śmierć, zamiast jej ulec. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że gwałtowna śmierć spaść może na człowieka w tak wielu odrażających formach. WSZYSTKO tu było dla człowieka zgubne - od najmniejszego insekta do największej rośliny.

Ta wspólnota celu wydawała się z gruntu nienaturalna. Czemu ta planeta jest tak wroga człowiekowi? Postanowił spytać o to Brucca. Tymczasem próbował znaleźć bodaj jedną formę życia, która by na niego nie czyhała. Nie udało mu się. Po długich poszukiwaniach

znalazł jedną jedyną rzecz, której dotknięcie nie spowodowało żadnych ostrzeżeń z głośnika. Okazał się nią odłam skalny na łące trującej trawy. Jason usiadł na nim z przyjaznym uczuciem i podciągnął w górę stopy. Oaza spokoju. Minęło kilka minut odpoczynku dla strudzonych grawitacją mięśni.

- ZGNIŁOGRZYB! NIE DOTYKAĆ!

Głos zabrzmiał ze zdwojoną mocą i Jason skoczył jak oparzony. W ręku miał pistolet, który obracał się to tu, to tam, szukając celu. Dopiero pochyliwszy się i zbadawszy bliżej skałę, na której siedział, Jason pojął, o co chodzi. Dostrzegł na niej łuszczaste szare plamy, których nie było, gdy siadał.

- Och wy, podstępne diabelstwa! - wrzasnął na maszynę. Musiałyście wystraszyć z tej skały немало dzieci, które już myślały, że znalazły chwilę wytchnienia! - Oburzała go złośliwość tej metody szkolenia, a jednocześnie czuł dla niej szacunek. Pyrrusanie uczyli się niemal od zarania życia, że nie ma bezpieczeństwa na tej planecie - z wyjątkiem tego, które sami sobie stworzyli.

Ucząc się o Pyrrusie, mógł również poznać lepiej samych Pyrrusan.

Szkolne dni przeciągnęły się w całe tygodnie odcięcia od świata zewnętrznego. Jason zaczął niemal odczuwać dumę z nabytych umiejętności przestawiania ze śmiercią na co dzień. Nauczył się poznawać wszystkie zwierzęta i rośliny w żłobku i otrzymał promocję do maszyny trenującej, gdzie zwierzęta przypuszczały na niego łagodne ataki. Opędzał się od nich z nużącą regularnością strzałami z pistoletu. Stałe, codzienne lekcje zaczęły go również nużyć.

Aczkolwiek podwójna grawitacja wciąż dawała mu się we znaki, mięśnie czyniły wszelkie wysiłki, aby się do niej przystosować. Po codziennych lekcjach już nie padał od razu na łóżko. Tylko koszmary się nasiliły. W końcu napomknął o nich Brucco'owi, który przygotowywał mu napój nasenny, usuwający ich skutki. Sny pozostały nadal, ale po przebudzeniu ledwie o nich pamiętał.

Po opanowaniu wszystkich sztuczek, dzięki którym Pyrrusanie utrzymywali się przy życiu, Jason przeszedł do najbardziej realistycznej maszyny trenującej, która różniła się zaledwie o włos od pyrryjskiej rzeczywistości. Różnica ta była tylko jakościowa. Jad owadów wywoływał jedynie obrzmienie i ból, a nie natychmiastową śmierć. Zwierzęta zadawały rany i skaleczenia, ale nie rozszarpały człowieka na strzępy. Nikt nie mógł stracić życia w tej maszynie trenującej, ale mógł się znaleźć od tego o krok.

Jason błąkał się po rozległej dżungli z grupką pięciolatków. Było coś śmiesznego, a zarazem smutnego, w ich niedziecinnej zawziętości. Chociaż potrafiły nadal śmiać się w domu jak dzieci, zdawały sobie sprawę, że przebywanie na zewnątrz to nie przelewki. Dla nich utrzymanie się przy życiu wiązało się ze społeczną akceptacją i celowością. W ten sposób społeczeństwo pyrryjskie było społeczeństwem czarno-białym. Aby dowieść sobie i swojemu światu, że się jest coś wartym, trzeba było jedynie pozostać żywym. Miało to ogromne znaczenie dla utrzymania gatunku, ale wywierało bardzo ujemny wpływ na osobowość. Dzieci przekształcały się w zabójców o jednakowych twarzach, którzy zawsze gotowi byli zadawać śmierć.

Niektóre z nich ukończyły już szkołę i wyszły na świat zewnętrzny, a ich miejsce zajęły

inne. Jason obserwował ten proces przez czas jakiś, aż zdał sobie sprawę, że wszyscy uczniowie z jego pierwotnej grupy już odeszli. Tego samego dnia odszukał kierownika Ośrodka Adaptacyjnego.

- Brucco - zwrócił się do niego - jak długo zamierzasz mnie jeszcze trzymać w tej przedszkolnej strzelnicy?

- Nikt cię tutaj nie „trzyma” - odparł Brucco tym swoim wiecznym poirytowanym tonem. - Zostaniesz tu tak długo, póki nie będziesz się kwalifikował do wyjścia.

- Co, mam niejasne przeczucie, nie stanie się nigdy. Umiem z zawiązanymi oczyma rozebrać i złożyć każdy z tych waszych cholernych instrumentów. Świetnie strzelam z tej pukawki. Gdyby mi kazano, mógłbym się i napisać książkę pod tytułem „Fauna i flora planety Pyrrus oraz sposoby jej unicestwienia”. Być może nie spisuję się tak znakomicie jak moi pięcioletni koledzy, ale odnoszę wrażenie, że już lepiej nie potrafię. Czy to prawda?

Brucco, aż się związał, żeby wykręcić się od odpowiedzi, ale nie zdołał.

- Sądzę... to znaczy... wiesz, że się nie urodziłem tutaj i...

- Daj spokój - przerwał mu Jason z rozbawieniem. - Taki poważny stary Pyrrusanin jak ty nie powinien próbować kłamać przedstawicielowi słabszej rasy, bo to jej specjalność. O tym, że zawsze będę niemrawy przy tej grawitacji i że mam jeszcze inne wrodzone obciążenia, nie trzeba nawet mówić. Sam to przyznaję. Teraz mówimy o czymś innym. Pytanie brzmi: Czy osiągnę większą sprawność ćwicząc dalej, czy też już osiągnąłem SZCZYT swoich możliwości?

Brucco aż się spocił.

- Z czasem nastąpi oczywiście poprawa...

- Ty chytry diable! - Jason pokiwał mu palcem. - Tak czy nie,, chodzi o TERAZ. Czy ćwicząc mogę osiągnąć większą sprawność?

- Nie - odparł Brucco zakłopotany. Jason poddał jego słowa analizie jak karty przy pokerze.

- Zastanówmy się. Nie poprawię się już, a jednak wciąż tu tkwię. To nie przypadek. A więc na pewno dostałeś rozkaz, aby mnie tutaj trzymać. A z tego, co wiem o tej planecie, choć wiem bardzo mało, wnoszę, że to Kerk kazał mnie tu trzymać. Mam rację?

- On to zrobił dla twojego dobra - tłumaczył Brucco. Chciał cię zachować przy życiu.

- Wydało się - rzekł Jason. - Więc zapomnijmy teraz o tym. Nie przyjechałem tutaj, żeby strzelać z waszymi dziećmi do robotów. A więc z łaski swojej wskaż mi, którędy się stąd wychodzi. A może najpierw musi się odbyć ceremonia wręczenia świadectw? Przemówienia, wręczanie pamiątkowych znaczków, przejście pod skrzyżowanymi szablami...

- Nic podobnego! - warknął Brucco. - Nie rozumiem, jak człowiek dorosły może wciąż pleść takie głupstwa. Niczego takiego oczywiście nie ma. Tylko trochę ostatnich ćwiczeń samoobrony w częściowej komorze treningowej. Jest to obręb ośrodka, który łączy się ze światem zewnętrznym - właściwie jest jego częścią - i tylko najgwałtowniejsze formy życia są

z niego wyłączone. A czasem nawet niektórym z nich udaje się tam wtargnąć. - Kiedy tam idę? - zapytał krótko Jason.

- Jutro rano, wyśpij się dobrze. To ci się przyda.

Ukończeniu szkoły towarzyszyła jednak niewielka ceremonia. Kiedy nazajutrz Jason wszedł do biura, Brucco pchnął w jego stronę przez blat biurka ciężki magazynek.

- To są ostre naboje - powiedział. - Na pewno będą ci potrzebne. Odtąd twój pistolet będzie zawsze nabity. - Podeszli do masywnych drzwi służby, jedynych zaryglowanych drzwi, jakie Jason widział w całym ośrodku. Gdy Brucco je odmykał i odsuwał rygle, podszedł do nich kulejąc ośmioletni chłopiec z poważną twarzą i zabandażowaną nogą.

- To jest Grif - przedstawił go kierownik. - Będzie ci odtąd stale towarzyszył.

- Moja straż przyboczna? - spytał Jason patrząc z góry na krępego chłopca, który ledwie sięgał mu do pasa.

- Możesz go tak nazwać. - Brucco otworzył drzwi na oścież. - Grif miał starcie z ptakiem-piłą, więc przez jakiś czas nie nadaje się jeszcze do pracy. Sam przyznałeś, że nigdy nie będziesz mógł się równać z rodowitym Pyrrusaninem, więc powinieneś być rad, że ktoś będzie cię trochę osłaniał.

- Oto cały Brucco, zawsze znajdzie jakieś miłe słowo - powiedział Jason. Schylił się i podał chłopcu rękę. Nawet ośmiolatki miały druzgocący uścisk dłoni.

Weszli obaj do służby i Brucco zamknął za nimi wewnętrzne drzwi. Gdy tylko zostały zaryglowane, drzwi zewnętrzne otworzyły się automatycznie. Ledwie się uchyliły, a już pistolet Grifa dwa razy wypalił. Po chwili wyszli na powierzchnię Pyrrusa przestępując dymiące zwłoki jakiegoś zwierzęcia. Bardzo symboliczne - pomyślał Jason. Dręczyło go, że nie tylko nie pomyślał o tym, aby popatrzeć, czy nic nie próbuje wtargnąć do służby, ale że nie może także zidentyfikować zwierzęcia po zwęglonych szczątkach. Rozglądał się pilnie wokół, łudząc się, że następnym razem zdoła strzelić pierwszy.

Ale się tylko łudził. Te kilka zwierząt, które im weszły w drogę, chłopiec dostrzegał zawsze pierwszy. Po godzinie Jason był już tak zirytowany, że unicestwił wystrzałem jakiś paskudnie wyglądający krzak ciernisty. Miał nadzieję, że ujdzie to uwagi Grifa. Stało się jednak inaczej.

- Ta roślina nie była blisko. Głupio tracić porządne naboje na rośliny - zauważył chłopiec.

Dzień minął bez większych przeżyć. Jason czuł się znudzony, choć przemókł od częstych deszczów. Jeżeli Grif umiał prowadzić rozmowę, to w każdym razie nie zdradził się z tą umiejętnością.

Wszelkie próby Jasona, aby nawiązać z nim rozmowę, zawiodły. Nazajutrz było podobnie. Trzeciego dnia zjawił się Brucco i przyjrzał się Jasonowi od stóp do głów.

- Mówię to niechętnie, ale sądzę, że już nigdy nie będziesz bardziej gotów do wyjścia na zewnątrz jak teraz. Zmieniaj codziennie filtry przeciwwirusowe w nosie. Zawsze sprawdzaj, czy masz całe buty i czy metaliczna tkanina kombinezonu nie jest gdzieś przerwana. Medpakiety wymienia się raz na tydzień.

- I wycieraj nos, i noś kalosze. Jeszcze coś? - spytał Jason. Brucco chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Nic takiego, czego do tej pory nie powinieneś doskonale wiedzieć. Bądź czujny. I... powodzenia. ~- Zakończył te słowa miażdżącym uściskiem dłoni, którego Jason wcale się nie spodziewał. Gdy tylko odretwienie palców przeszło, Jason i Grif wyszli przez wielką wejściową śluzę na zewnątrz.

Przy całym swym realizmie sale treningowe nie przygotowały go do przebywania na powierzchni Pyrrusa. Posiadały oczywiście jakie takie podobieństwo do rzeczywistości. Chrząst trujących traw pod stopami i mylący lot żądłopióra w ostatniej chwili, nim Grif go nie ustrzelił. Było to jednak ledwie dostrzegalne wśród szalejących żywiołów.

Padła rześysta deszcz, a właściwie całe płachty wody, które, miotane ostrymi podmuchami, zalewały twarz Jasona. Ocierając oczy ledwie rozróżniał dwa stożkowate kształty wulkanów na widnokręgu, rzygające chmurami dymu i ognia. Piekło to odbijało się ponurą czerwienią na chmurach, które przemykały kłębiastymi zwalami ponad ich głowami.

Coś stuknęło w hełm Jasona i odbiwszy się plasnęło o ziemię. Schylił się i podniósł kulkę gradu wielkości kciuka. Grad załomotał boleśnie o jego plecy i szyję i Jason wyprostował się szybko.

Burza skończyła się tak samo nagle, jak się zaczęła. Zaświeciło słońce, topiąc swoim żarem grad i podnosząc spiralne pasemka pary znad mokrej nawierzchni. Jason zaczął się pocić w swoim opancerzonym kombinezonie. Nim jednak minęli następną przecznicę, znów się rozpadało i znów trząsł się z zimna.

Grif posuwał się mozolnie naprzód równym krokiem, obojętny zarówno na tę pogodę, jak i wulkany, które grzmiały na widnokręgu i trzęsły ziemią pod ich stopami. Jason usiłował ignorować tę niedogodność i dotrzymywał tempa chłopcu.

Spacer był przygnębiający. Ciężkie, przysadziste budynki majaczyły szaro poprzez deszcz, przy czym ponad połowa z nich leżała w gruzach. Szli traktuem biegnącym środkiem ulicy. Raz po raz mijały ich to z tej, to z tamtej strony pojazdy pancerne. To centralne położenie chodnika dziwiło Jasona, póki Grif nie ustrzelił jakiegoś zwierzaka, który wypadł nagle na nich z gruzów zrujnowanego domu. Dawało szansę odparcia podobnych ataków. Nagle Jason poczuł się bardzo znużony.

- Czy na tej planecie istnieje coś takiego, jak taksówka? - spytał.

Grif tylko wytrzeszczył oczy i skrzywił się. Najwyraźniej nie słyszał nawet takiego słowa. Szli więc mozolnie dalej i chłopiec wstrzymywał krok, aby człapiący ciężko Jason mógł za nim nadążyć. W ciągu pół godziny obejrzeliby wszystko, co chciał zobaczyć.

- Słuchaj, Grif, to twoje miasto jest najwyraźniej podupadłe. Mam nadzieję, że inne są w lepszym stanie.

- Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc, że jest podupadłe. Ale nie ma innych miast. Jest kilka obozów górniczych, które muszą się znajdować poza obwodem. Ale innych miast nie ma.

Zdziwiło to Jasona. Zawsze wyobrażał sobie, że ta planeta ma więcej niż jedno miasto. Nagle zdał sobie sprawę, że bardzo mało wie o Pyrrusie. Od chwili wylądowania poświęcił wszystkie swoje siły nauce samoobrony. Chciałby zapytać o mnóstwo rzeczy... ale nie tego zrędnego ośmiolatka, który stanowił jego straż przyboczną, a kogoś innego. Był taki ktoś, kto mógłby najlepiej odpowiedzieć na jego pytania.

- Znasz Kerka? - spytał chłopca. - Jest waszym ambasadorem wysyłanym w różne strony, choć jego nazwisko...

- Pewnie, że znam, każdy zna Kerka. Ale on jest zajęty, nie powinieneś go niepokoić.

Jason pokiwał mu palcem.

- Możesz sobie być strażnikiem mego ciała. Ale strażnikiem mojej duszy jeszcze nie jesteś. Teraz ja pójdę zapolować na grube ryby, a ty sobie poluj na swoje potwory. Zgoda?

Schronili się pod dach przed nagłą burzą gradu wielkości pięści. Potem Grif poprowadził Jasona ze źle ukrywaną niechęcią do jednej z większych, centralnie położonych budowli. Było tu więcej ludzi niż gdziekolwiek i niektórzy z nich nawet przypatrywali się chwilę obcemu przybyszowi, po czym wracali do swoich zajęć. Jason musiał się wgramolić na dwie kondygnacje schodów, zanim znaleźli się u drzwi z napisem: KOORDYNACJA I ZAOPATRZENIE.

- Tu jest Kerk? - spytał.

- Oczywiście - odparł chłopiec. - On jest tutaj szefem.

- Świetnie. Teraz napij się czegoś zimnego albo zjedz lunch i przyjdź tu do mnie za parę godzin. Mam wrażenie, że Kerk potrafi cię w pełni zastąpić w czuwaniu nade mną.

Chłopiec stał przez chwilę niepewny, co ma zrobić, a potem odwrócił się i odszedł. Jason raz jeszcze otarł z czoła pot i wsunął się w drzwi.

W biurze siedziało kilku ludzi. Żaden z nich nie spojrział nawet na Jasona ani nie zapytał, w jakiej przyszedł sprawie. Wszystko na Pyrrusie miało swój cel. Skoro Jason przyszedł, musiał mieć zatem po temu powody. Nikomu nie przyszłoby do głowy zapytać, czego chce. Przyzwyczajony do panującej na tysiącu światów biurokracji, Jason stał kilka chwil w oczekiwaniu, nim w końcu zrozumiał, co ma robić. W przeciwległej ścianie były drugie drzwi. Podeszedł do nich powłócząc nogami i otworzył.

Kerk podniósł głowę znad zasłanego papierzykami i księgami biurka.

- Właśnie myślałem, kiedy się pokażesz - rzekł.

- Zrobiłbym to dużo wcześniej, gdybyś mi nie przeszkodził - odparł Jason padając ze znużeniem na krzesło. - Wreszcie mi zaświtało, że mogę spędzić resztę życia w tym waszym krwiożerczym złołku, jeżeli sam nie wezmę sprawy w ręce. I oto jestem.

- Gotów powrócić do „cywilizowanych” światów? Przypatrzyłeś się Pyrrusowi?

- Wcale nie - odpowiedział Jason. - I nie chcę wysłuchiwać od wszystkich, że powinienem wyjechać. Zaczynam podejrzewać, że ty i reszta Pyrrusan chcecie coś ukryć.

Kerk uśmiechnął się na te słowa.

- Cóż moglibyśmy chcieć ukryć? Wątpię, czy na jakiegokolwiek innej planecie istnieje prostsza i bardziej ukierunkowana egzystencja. - Jeżeli to prawda, z pewnością nie masz nic przeciwko temu, żeby mi odpowiedzieć na kilka pytań odnośnie Pyrrusa, prawda? Kerk zaczął protestować, a potem się roześmiał.

- Świetnie to rozegrałeś. Znając cię tak długo, powinienem być mądrzejszy i nie wdawać się z tobą w dyskusje. Co chcesz wiedzieć?

Jason spróbował umościć się wygodniej na twardym krześle, ale po kilku próbach zrezygnował.

- Jaka jest liczba ludności waszej planety? - spytał. Kerk wahał się chwilę, a potem odparł:

- Około trzydziestu tysięcy. Niewiele, jak na tak długo zamieszkaną planetę, ale powody są oczywiste.

- Dobra, ludność trzydzieści tysięcy - powiedział Jason. A jak wygląda opanowanie powierzchni waszej planety? Zdumiało mnie odkrycie, że to miasto wewnątrz swych obronnych murów - obwodu - jest jedyne na całej planecie. Nie bierzmy pod uwagę obozów górniczych, gdyż są one najwyraźniej tylko rozszerzeniem tego miasta. Czy zatem teraz panujecie nad większą, czy mniejszą częścią powierzchni planety niż wasi przodkowie w przeszłości?

Kerk wziął z biurka stalową rurkę, która służyła mu za przycisk do papierów, i w zamyśleniu obracał ją w palcach. Gruba stal wyginała się pod jego dotykiem jak guma, gdy starał się skupić nad odpowiedzią.

- Trudno tak od razu stwierdzić. Muszą być jakieś zapisy odnośnie tej sprawy, choć nie mam pojęcia, gdzie ich szukać. To zależy od wielu czynników...

- Zapomnijmy więc na razie o tym - rzekł Jason. - Mam inne pytanie, które jest istotniejsze. Czy nie sądzisz, że liczba ludności Pyrrusa stale, rok po roku, maleje?

Rozległ się ostry brzęk rurki odbitej od ściany. Kerk stał nad Jasonem z rękami wyciągniętymi, niemal na jego gardle, z twarzą czerwoną i gniewną.

- Nigdy więcej tego nie mów! - ryknął. - Żebym tego nigdy więcej od ciebie nie słyszał!

Jason siedział, jak mógł najspokojniej. Mówił powoli i dobierał i ostrożnie słowa. Jego życie wisiało na włosku.

- Nie złość się, Kerku. Nie miałem na myśli nic złego. Jestem po twojej stronie. Mówię o tym z tobą, ponieważ jesteś znacznie bardziej bywały we wszechświecie od reszty Pyrrusan, którzy nigdy nie opuszczali tej planety. Przywykłeś do dyskusji. Wiesz, że słowa to tylko symbole. Możemy rozmawiać spokojnie, bez popadania w gniew z powodu czyichś słów...

Kerk z wolna opuścił ręce i cofnął się. Potem odwrócił się i nalał sobie szklanek wody z butelki na biurku. Pijąc stał zwrócony plecami do Jasona.

Zaledwie odrobina potu, który Jason otarł ze swej twarzy, była wywołana gorącem, jakie panowało w pokoju.

- Przepraszam, uniosłem się - rzekł Kerk padając ciężko na krzesło. - Nieczęsto się to zdarza. Ostatnio dużo pracowałem, muszę mieć nadszarpnięte nerwy. - Nie wspomniał nawet o tym, co powiedział Jason.

- Każdemu się zdarza - odparł Jason. - Nie będę nawet próbował opisywać stanu swoich nerwów, gdy tylko znalazłem się na tej planecie. W końcu muszę przyznać, że wszystko, co mi mówiłeś o Pyrrusie, jest prawdą. To rzeczywiście jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w naszym systemie. I tylko rdzenni Pyrrusanie mogą się tu utrzymać przy życiu. Po przeszkoleniu mogę się poruszać, zresztą dość niezdarnie, po planecie, lecz wiem, że nigdy nie dałbym sobie rady pozostawiony sam sobie. Zapewne wiesz, że mam strażnika przybocznego w osobie ośmioletniego chłopca. Daje to dobry pogląd na mój tutejszy status.

Kerk stłumił gniew, zdołał odzyskać panowanie nad sobą. Zmrużył oczy, zamyślony.

- Jestem zaskoczony, że to mówisz. Nie sądziłem, że kiedyś usłyszę z twoich ust, iż ktoś może być w czymkolwiek od ciebie lepszy. Czy po to tu przyjechałeś? Żeby udowodnić, że jesteś równie dobry, jak każdy rodowity Pyrrusanin?

- Punkt dla ciebie - powiedział Jason. - Nie sądziłem, że to jest aż tak widoczne. Przyznaję, że to był zapewne główny powód mojego przyjazdu. To i ciekawość.

Idąc za biegiem własnych myśli Kerk zdumiał się, do czego go doprowadziły.

- Przyjechałeś tu, by dowieść, że nie jesteś gorszy od rdzennych Pyrrusan. A mimo to przyznajesz, że byle ośmiolatek potrafi cię prześcignąć. To całkiem nie pasuje do tego, co o tobie wiem. Jeśli dajesz jedną ręką, to musisz odbierać drugą. W jaki sposób możesz odczuwać swoją naturalną wyższość? - Powiedział to beztrąsko, jednak w jego słowach czuło się napięcie.

Jason długo myślał, zanim odpowiedział.

- Powiem ci - rzekł wreszcie. - Ale nie ukreć mi za to głowy. Stawiam na to, że twój cywilizowany umysł potrafi zapanować nad odruchami. Ponieważ muszę mówić, co jest tabu na Pyrrusie. W oczach twojego ludu jestem cherlakiem, gdyż przybywam z zaświatów. Musisz sobie jednak zdać sprawę, że to jest również moją siłą. Potrafię dostrzegać rzeczy, które dla was stały się przez długie przestawanie z nimi niedostrzegalne. Znasz tę starą sprawę z niemożnością dostrzeżenia lasu, bo drzewa zasłaniają.

Kerk kiwnął głową i Jason ciągnął dalej:

- Rozszerzmy tę analogię: kiedy tu wylądowałem, z początku widziałem tylko las. Dla mnie pewne fakty są oczywiste. Uważam, że wy znacie je również, tylko staracie się usilnie stłamsić myśli o nich. To ukryte myśli, które są tabu. Wyjawię ci najważniejszą z tych ukrytych myśli w nadziei, że się potrafisz do tego stopnia opanować, aby mnie nie zabić.

Wielkie dłonie Kerka zacisnęły się na poręczach fotela - jedyna widoczna oznaka, że usłyszał.

Jason mówił cicho, ale jego słowa przenikały swobodnie i gładko jak lancet zagłębiający się w mózg.

- Sądzę, że ludzie przegrywają wojnę na Pyrrusie. Po setkach lat osiedlenia jest to jedyne miasto na planecie... w dodatku na wpół w gruzach. Jakby niegdyś miało dwakroć tyle ludności. Ten kawał, któryśmy wycięli, by zdobyć ładunek broni i amunicji, był w końcu jedynie kawałem. Mógł się nie udać. A gdyby się nie udał, co wówczas stałoby się z miastem? Wy tutaj chodźcie po kruszącej się krawędzi krateru wulkanu i nie chcecie tego przyznać.

Każdy mięsień ciała Kerka był napięty, twarz poznaczona kropelkami potu. Najłżejsze przeciągnięcie struny mogło doprowadzić do wybuchu, a Jason wołałby tego uniknąć.

- Nie jest mi przyjemnie mówić ci te rzeczy. Wspominam o nich tylko dlatego, że z pewnością o nich wiesz. Nie możesz stawić czoła faktom, bo wówczas musiałbyś przyznać, że cała ta walka i zabijanie do niczego nie prowadzą. Jeżeli liczba ludności Pyrrusa stale spada, to walka jest jedynie szczególnie krwawą formą samobójstwa. Moglibyście opuścić planetę, ale to byłoby przyznaniem się do klęski. A jestem pewien, że Pyrrusanie woleliby umrzeć, niż ulec.

Gdy Kerk na wpół uniósł się z fotela, Jason wstał również wykrzykując to, co miał do powiedzenia, przez opar gniewu swojego rozmówcy.

- Ja chcę wam pomóc, rozumiesz? Wyzbij się hipokryzji, ona cię niszczy. Jesteś już teraz na straconej pozycji. To nie jest prawdziwa wojna, tylko zgubne leczenie symptomów. Jak odcinanie jeden po drugim zrakowaciałych palców. Jedynym rezultatem musi być całkowita klęska. Sam sobie nie pozwalasz tego uzmysłwić. I dlatego właśnie wołałbyś mnie zabić, niż wysłuchać tego, co niewypowiedziane.

Teraz Kerk stał nad Jasonem, chyląc się nad nim jak wieża śmierci, która za chwilę ma runąć. Powstrzymywała go tylko siła słów Jasona.

- Musisz stawić czoło rzeczywistości. Ty widzisz tylko wieczystą wojnę. A musisz zdawać sobie sprawę, że możesz usunąć przyczyny tej wojny i raz na zawsze ją zakończyć.

Sens wypowiedzi dotarł do świadomości Kerka i wstrząs, jaki to wywołało, rozproszył jego gniew. Opadł z powrotem na fotel i na jego twarzy odmalowało się rozbawienie.

- O co ci, u diabła, chodzi? Mówisz jak jakiś cholerny „karczownik”!

Jason nie pytał, co może znaczyć to słowo, ale zanotował je sobie w pamięci.

- Gadasz bzdury - ciągnął Kerk. - To jest wrogi świat, który należy zwalczyć. Przyczyną są oczywiste fakty egzystencji.

- Nie, nie są - obstawał przy swoim Jason. - Zastanów się chwilę. Po każdym pobycie poza tą planetą musisz odbyć kurs uzupełniający. Dowiedzieć się, co podczas twojej nieobecności zmieniło się na gorsze. A więc to postęp liniowy. Jeśli w miarę upływu czasu, czyli sięgając w przyszłość, sytuacja stale się pogarsza, to sięgając w przeszłość musi się stale polepszać.

Może się zatem okazać prawdziwe - choć nie wiem, czy fakty poprą tę moją teorię - że jeśli sięgnąć dość daleko w przeszłość, dojdzie się do punktu, w którym ludzkość i Pyrrus wcale nie były w stanie wojny.

Kerk siedział teraz jak oniemiały i słuchał, a Jason raził go ciosami nieugiętej logiki.

- Są świadectwa na poparcie tej teorii. Musisz przyznać, że choć nie nadaję się do pyrryjskiego życia, jestem na pewno dobrze z nim obeznany. A cała flora i fauna pyrryjska ma jedną cechę wspólną. Niefunkcjonalność. ŻADNA broń z jej niezmiernego arsenału nie jest zwrócona przeciw niej samej. Jej toksyny wydają się nieskuteczne wobec pyrryjskich form życia. Są tylko zdolne do zadawania śmierci gatunkowi homo sapiens. A taki stan rzeczy jest fizycznie niemożliwy. W ciągu trzystu lat pobytu na planecie formy życia nie mogły w sposób naturalny ulec tego rodzaju przemianom.

- Ale przecież uległy! - ryknął Kerk.

- Święta racja - zauważył Jason spokojnie. - A skoro uległy, musiało to nastąpić wskutek działania jakiegoś czynnika. Nie mam pojęcia jakiego. Coś jednak spowodowało, że formy życia na Pyrrusie wydały ludziom wojnę i chciałbym móc odkryć, co to takiego. Jaka była dominująca forma życia na planecie, gdy wasi przodkowie tu wylądowali?

- Nie mam pojęcia - odparł Kerk. - Czy chcesz zasugerować, że na Pyrrusie są poza ludźmi inne istoty myślące? Istoty ukierunkowujące planetę do zwalczania nas?

- Nie ja to sugeruję, tylko ty. Znaczy, że zaczynasz pojmować. Nie mam pojęcia, co spowodowało zmianę, ale bardzo bym się chciał dowiedzieć. A potem zobaczyć, czy nie da się powrócić do poprzedniego stanu. Oczywiście niczego nie mogę obiecywać. Ale zgodzisz się, że rzecz zasługuje na zbadanie.

Uderzając pięścią w otwartą dłoń i chodząc tam i z powrotem po pokoju krokiem, od którego trząsał się gmach, Kerk walczył z samym sobą. Nowe teorie ścierały się ze starymi przekonaniem. Wszystko to spadło na niego tak nagle... i było aż zbyt wiarygodne.

Nie pytając o pozwolenie Jason nalał sobie wody do szklanki i opadł wyczerpany na krzesło. Coś wpadło ze świstem przez otwarte okno robiąc dziurę w zasłonie ochronnej. Kerk ustrzelił stworą nie zatrzymując się, nie wiedząc nawet, że to uczynił.

Podjęcie decyzji nie zajęło wiele czasu. Przywykły do szybkiego działania ogromny Pyrrusianin umiał podejmować tylko szybkie decyzje. Zatrzymał się i spojrzał Jasonowi w oczy.

- Nie mówię, że mnie przekonałeś, ale nie mam gotowej odpowiedzi na twoje wywody. Więc zanim ją znajdę, będziemy działać tak, jak gdyby były słuszne. Co zatem zamierzasz zrobić, co możesz zrobić?

Jason zaczął wliczać na palcach:

- Po pierwsze, potrzebuję dobrze chronionego miejsca, w którym mógłbym mieszkać i pracować. Żeby zamiast marnować całą energię na ochronę życia, mógł się poświęcić badaniom.

Po drugie, potrzeba mi kogoś do pomocy... a zarazem do ochrony osobistej. I to, błagam, kogoś, kto miałby większy zakres zainteresowań niż mój obecny strażnik. Proponuję Metę jako najbardziej nadającą się do tego zadania.

- Metę? - Kerk zdziwił się. - Ona jest pilotem międzyplanetarnym i operatorem ekranu obronnego, jakież z niej może być pożytek w podobnym przedsięwzięciu?

- Ogromny. Zna inne światy i potrafi spojrzeć na te sprawy od innej strony. I z pewnością wie o planecie tyle, ile każdy wykształcony człowiek, a więc potrafi odpowiedzieć na wszystkie moje pytania. - Jason uśmiechnął się. - A poza tym jest ładna i lubię jej towarzystwo.

Kerk chrząknął.

- Właśnie się zastanawiałem, czy się zgodzisz na to, żeby wymienić ten ostatni powód. Pozostałe powody są jednak rozsądne, nie będę więc się z tobą spierał. Postaram się o zastępstwo dla niej i każę ją tu przysłać. Mamy mnóstwo zamkniętych hermetycznie budynków, które możesz wykorzystać.

Porozmawiawszy z jednym z asystentów z przyległego biura, Kerk odbył kilka rozmów przez videofon. Wydano szybko odpowiednie polecenia. Jason obserwował to wszystko z zainteresowaniem.

- Wybacz, że pytam - rzekł w końcu. - Ale czy ty jesteś dyktatorem tej planety? Wystarczy, żebyś skinął palcem, a wszyscy są gotowi na twoje rozkazy.

- Tak to wygląda - przyznał Kerk. - Ale to tylko złudzenie. Nikt nie ma całkowitej władzy na Pyrrusie, nie ma też tutaj nic takiego, co by przypominało system demokratyczny. Ostatecznie, liczba naszej ludności wynosi mniej więcej tyle, ile liczy dywizja. Każdy robi to, do czego się najbardziej nadaje. Rodzaje działalności podlegają różnym departamentom, na czele których stoją najbardziej kwalifikujące się do tego osoby. Ja kieruję Koordynacją i Zaopatrzeniem, co stanowi chyba najluźniej sprecyzowaną kategorię. Wypełniamy luki pomiędzy departamentami i zajmujemy się dostawami spoza planety.

W tej chwili weszła Meta i zwróciła się do Kerka. Zignorowała całkowicie obecność Jasona.

- Zwolniono mnie i kazano przyjść tutaj - powiedziała. Co się stało? Jakaś zmiana w rozkładzie lotów?

- Możesz to i tak nazwać - odparł Kerk. - Od tej chwili jesteś zwolniona ze wszystkich swoich dotychczasowych obowiązków i przeniesiona do nowego departamentu - Badań Naukowych. Ten oto człowiek o znękanym wyglądzie jest twoim szefem.

- To już jest jakieś poczucie humoru - rzekł Jason. - Jedyne zrodzone na Pyrrusie. Gratuluję, bo to znaczy, że jeszcze nie wszystkie nadzieje są stracone.

Meta spoglądała to na Kerka, to na Jasona.

- Nie rozumiem. Nie mogę uwierzyć. Nowy departament... po co? - Była zdenerwowana i poirytowana.

- Przepraszam cię - powiedział Kerk. - Nie chciałem robić ci przykrości! Myślałem, że przyjmiesz to spokojniej. To prawda, co powiedziałem. Jason znalazł metodę, a raczej może znaleźć metodę, która miałaby ogromną wartość dla Pyrrusa. Pomożesz mu?

Meta odzyskała zimną krew.

- Czy muszę? - zapytała nieco rozdrażniona. - Czy to rozkaz? Wiesz, że mam robotę. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że jest ona ważniejsza od tego, co ktoś spoza planety może sobie wyobrazić. On nie potrafi naprawdę zrozumieć...

- Tak. To rozkaz. - Głos Kerka zabrzmiał znowu oschle. Meta zaczerwieniła się słysząc ten ton.

- Może ja to wytłumaczę - wtrącił się Jason. - Ostatecznie to mój pomysł. Ale najpierw chciałbym się o coś prosić. Czy możesz wyjąć z pistoletu magazynek i oddać go Kerkowi?

Na twarzy Mety pojawił się lęk, ale Kerk przytaknął z powagą. - Tylko na parę chwil, Meto. Ja mam swój pistolet, więc będziesz bezpieczna. Myślę, że wiem, co zamierza Jason, i sądząc z własnego doświadczenia uważam, że ma rację.

Meta niechętnie oddała mu magazynek i wyjęła nabój z komory pistoletu. Dopiero wtedy Jason zaczął wyjaśniać:

- Mam pewną teorię odnośnie życia na Pyrrusie i boję się, że tłumacząc ją będę musiał rozwiązać twoje niektóre złudzenia. A więc po pierwsze musisz uznać fakt, że powoli przegrywacie wojnę i z czasem ulegiecie zagładzie...

Nim zdążył ukończyć zdanie, Meta szarpała jak szalona za cyngiel pistoletu wymierzonego między jego oczy. Jej twarz wyrażała nienawiść i odrazę. Nie mogła słuchać spokojnie tego, co mówił Jason. Że ta wojna, której wszyscy Pyrrusanie poświęcili swoje życie, była już stracona.

Kerk wziął ją za ramiona i posadził na swoim krześle, aby zapobiec czemuś gorszemu. Upłynęło trochę czasu, zanim zdołała się dostatecznie opanować, by móc dalej słuchać Jasona. Niełatwo znieść takie obrócenie wniwecz wszystkich życiowych przekonań. Tylko jako taka znajomość innych światów sprawiła, że Meta mogła w ogóle słuchać.

Nawet kiedy skończył mówić o tym, o czym rozmawiali z Kerkiem, oczy Mety wciąż patrzyły niedowierzająco. Siedziała pełna napięcia, wparta mocno w dłonie Kerka, jakby to jedynie one wstrzymywały ją przed rzuceniem się na Jasona.

- Może to za wiele, aby móc sobie przyswoić za jednym posiedzeniem - powiedział Jason. - Ujmijmy to zatem prościej. Ufam, że potrafimy znaleźć przyczynę tej nieustępliwej nienawiści do ludzi. Może pachniemy nie tak jak trzeba. Może odkryję esencję ze sproszkowanych pyrryjskich robaczków, która nas uodporni, jeśli się nią natrzemy. Nie wiem. Ale musimy zbadać sprawę bez względu na wyniki. Kerk jest ze mną co do tego zgodny.

Meta spojrzała na Kerka, który kiwnął głową. Skuliła się w nagłym poczuciu klęski.

- Ja... nie mogę powiedzieć, że się z tym zgadzam - rzekła szeptem - a nawet, że wszystko

rozumiem. Ale pomogę ci. Jeżeli Kerk uważa, że tak trzeba.

- Tak trzeba - powiedział Kerk. - Czy mam ci teraz oddać magazynek? Nie będziesz już strzelała do Jasona?

- To było głupie z mojej strony - odparła chłodno, ładując pistolet. - Pistolet nie byłby mi potrzebny. Gdybym go musiała zabić, mogłabym to zrobić gołymi rękami.

- To bardzo miłe z twojej strony - Jason uśmiechnął się do niej. - Jesteś gotowa?

- Oczywiście. - Odgarnęła puszysty lok z czoła. - Najpierw znajdziemy ci jakieś mieszkanie. Ja sama się tym zajmę. A potem praca nowego departamentu będzie zależała już tylko od ciebie.

Zeszli po schodach w lodowatym milczeniu. Na ulicy Meta ustrzeliła żądłopióra, który bynajmniej im nie zagrażał. Znalazła w tym jakąś złośliwą przyjemność. Jason postanowił nie ganić jej za marnowanie amunicji. Lepiej, że to był ptak, a nie on.

W jednym z komputerowych budynków znaleźli wolne pokoje. Gmach był hermetycznie uszczelniony, aby żadna z zabłąkanych form życia zwierzęcego nie uszkodziła delikatnej maszinerii. Podczas gdy Meta pobierała pościel z magazynu, Jason mozolnie przywłókł biurko, stół i krzesła z pobliskiego opuszczonego biura. Kiedy Meta wróciła z pneumatycznym łóżkiem, natychmiast rzucił się na nie z wdzięcznością. Skrzywiła się widząc tę jawną oznakę słabości.

- Musisz przywyknąć do tego rodzaju widoku - rzekł. - Zamierzam wykonywać swoją pracę, o ile tylko będzie to możliwe, w pozycji horyzontalnej. Ty będziesz moją prawą ręką. I właśnie teraz, Prawa Ręko, chciałbym, abyś zdobyła mi coś do jedzenia. Jeść również zamierzam w wyżej wymienionej pozycji poziomej.

Meta wyszła z pokoju prychając z odrazą. Kiedy jej nie było, Jason gryzł w zamyśleniu koniuszek stylusa, a następnie zrobił kilka notatek.

Po zjedzeniu pozbawionego smaku obiadu, który przygotowała Meta, rozpoczął poszukiwania.

- Meto, gdzie można znaleźć materiały historyczne dotyczące Pyrrusa? Wszelkie możliwe informacje o pierwszych dniach pobytu osadników na planecie?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Naprawdę nie wiem... - Ale przecież musi być coś... gdzieś - upierał się. - Bo jeśli nawet obecne pokolenia poświęcają cały swój czas i energię na samoobronę, to na pewno nie zawsze tak było. Ludzie kiedyś musieli rejestrować zmiany, robić notatki. Gdzie będziemy tego szukali? Macie tu bibliotekę?

- Oczywiście - odparła. - Mamy wspaniałą bibliotekę techniczną. Ale jestem pewna, że nie znajdziesz w niej nic podobnego. Tłumiąc jęk, Jason podniósł się z łóżka.

- Pozwól, że sam osądzę. Tylko zaprowadź mnie tam. Biblioteka była całkowicie zautomatyzowana. Wyświetlany na ekranie indeks podawał numer wywoławczy każdego tekstu. W trzydzieści sekund po wystukaniu na klawiaturze numeru, na biurko trafiała żądana taśma. Zwrócone taśmy wrzucało się do specjalnego pojemnika, skąd automatycznie wracały

na swoje miejsce. Mechanizm pracował bez zakłóceń.

- Cudowne - zachwyił się Jason odchodząc od indeksu. Moje uznanie dla sztuki technicznej. Tylko, że tu nie ma nic dla nas przydatnego. Same podręczniki.

- A cóż innego powinno znajdować się w bibliotece? - W słowach Mety brzmiało szczere zdziwienie.

Jason zaczął wyjaśniać, ale się rozmyślił.

- Później się tym zajmiemy - rzekł. - Znacznie później. Teraz musimy szukać jakiejś wskazówki. Czy mogą tu być taśmy albo drukowane książki, które nie są zarejestrowane w tej maszynie?

- Nie wydaje mi się, aby coś takiego istniało, ale zapytajmy Poli'ego. On tu gdzieś mieszka i jest kierownikiem biblioteki. Kataloguje nowe książki i obsługuje maszynę.

Drzwi wiodące w głąb budynku były zamknięte i nie pomogło żadne stukanie ani łomotanie.

- Jeżeli jeszcze żyje, tylko tak zdołamy go tu ściągnąć oświadczył Jason. Na paneli kontrolnej nacisnął guzik z napisem „awaria”. Z pożądanym skutkiem. W ciągu pięciu minut drzwi się otwarły i ukazał się w nich Poli.

Śmierć na Pyrrusie przychodziła szybko. Jeżeli rany zwalniały ruchy człowieka, zawsze czujne siły zniszczenia szybko dokonywały dzieła. Poli był wyjątkiem od tej zasady. Cokolwiek go zaatakowało, uczyniło to skutecznie. Poli nie miał prawie całej dolnej połowy twarzy. Lewe ramię miał skrzycone i bezwładne. Uszkodzenia tułowia i nóg sprawiły, że z trudem się poruszał.

Pozostało mu jednakże jedno zdrowe ramię i doskonały wzrok. Mógł pracować w bibliotece i zluźnić z tego stanowiska kogoś w pełni sprawnego. Nikt już nie pamiętał, od jak dawna ten szczątek człowieka snuł się po bibliotece. Mimo bólu, który był widoczny w wilgotnych, obrzeżonych czerwonymi obwódkami oczach, żył nadal. Był starszy od wszystkich innych znanych Jasonowi Pyrrusan. Przykuśtykał i wyłączył sygnał alarmowy, który go przywołał.

Gdy Jason zaczął mu wyjaśniać, o co chodzi, staruszek nawet nie zwrócił na niego uwagi. Dopiero kiedy bibliotekarz wygrzebał z kieszeni aparat słuchowy, Jason zdał sobie sprawę, że jest on również głuchy. Zaczął więc tłumaczyć od początku, czego szuka. Wysłuchawszy, Poli wydrukował mu odpowiedź na tabliczce.

„Jest wiele książek - na dole w składzie.”

Większą część budynku zajmowały samosterowane urządzenia katalogujące i sortujące. Między rzędami aparatury ruszyli wolno za kalekim bibliotekarzem ku zamkniętym na zasuwy drzwiom w głąbi. Podczas gdy Jason i Meta zmagali się z zardzewiałymi zasuwami, Poli wypisał uwagę na tabliczce.

„Nie otwierane od wielu lat, szczury.”

W rękach Mety i Jasona w mgnieniu oka ukazały się pistolety. Jason sam dokończył

odmykania drzwi. Dwaj rodowici Pyrrusanie bacznie obserwowali tymczasem poszerzającą się szczelinę. I dobrze, że tak się stało. Jason nigdy by sobie nie poradził z tym, co z tych drzwi wypadło.

Właściwie nawet ich sam nie otworzył. Odgłosy u drzwi musiały zwabić całe plugastwo gniezdzące się w suterenie budowli. Jason odsunął ostatni rygiel i chwycił za klamkę, żeby pociągnąć drzwi... gdy nagle zostały one wypchnięte od wewnątrz.

Jakby się rozwarły bramy piekieł. Meta i Poli stali ramie przy ramieniu strzelając w kłębiącą się masę plugastwa, które wylewało się przez drzwi. Jason uskoczył w bok i kładł z pistoletu każde zwierzę, które skręcało w jego stronę. Zagłada zdawała się trwać bez końca.

Minęły długie minuty, nim ostatnie zwierzę wykonało swój śmiertelny skok. Meta i Poli czekali na następne. Byli mile podnieceni tą okazją szerzenia zagłady. Jasonowi zbierało się na wymioty na widok tej zjadłości, która emanowała z Pyrrusan. Zobaczył zadrapanie na twarzy Mety, gdzie jedna z bestii dosięgła ją pazurami. Wydawała się tego nieświadoma.

Wyjmując medpakiet, Jason okrążył stos skłębionych szurzych trupów. Coś poruszyło się w środku stosu i zaraz przeorał go druzgocący strzał. Jason podszedł do dziewczyny i przyłożył analizator toksyn do skaleczonego miejsca. Aparat pstryknął i Meta aż podskoczyła od ukłucia antytoksycznej igły. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, co Jason zrobił.

- Dziękuję, nie zauważyłam - powiedziała. - Było ich tak dużo i tak szybko wypadały...

Poli miał bardzo silną latarkę, ale na mocy niemego porozumienia niósł ją Jason. Staruszek, mimo że kaleka, był jednak Pyrrusaninem i jako taki lepiej posługiwał się bronią. Zeszli powoli po zawalonych trupami szurów schodach.

- Jaki zaduch! - Jason skrzywił się. - Bez tych filtrów w nosie można by skończyć od samego smrodu.

Coś śmignęło ku światłu latarki i padło od kuli w połowie skoku. Szczury panoszyły się tu od dawna i nie podobało im się to wtargnięcie na ich teren.

U stóp schodów rozejrzeli się. Istotnie były tam kiedyś książki. Ale zostały systematycznie pogryzione, zjedzone i zniszczone przed dziesiątkami lat.

- Podoba mi się troszka, jaką otaczacie swoje stare książki - skomentował z oburzeniem Jason.
- Przypomnijcie mi, żebym wam żadnej nie pożyczył.

- Na pewno były bezwartościowe - odparła chłodno Meta - bo w przeciwnym razie byłyby skatalogowane na górze w bibliotece.

Jason przewędrował posępnie wszystkie pomieszczenia składu. Nie pozostało nic wartościowego. Same szczątki i skrawki pism i druków. Za mało, aby móc z tego coś złożyć. Czubkiem opancerzonego buta kopnął gniewnie stos gruzów gotów zrezygnować z dalszych poszukiwań. Wśród gruzu błysnął rdzewiejący metal.

- Przytrzymaj! - Podał latarkę Mecie i zapominając na chwilę o niebezpieczeństwie, zaczął odrzucać na bok rumowisko. Po chwili ich oczom ukazało się płaskie metalowe pudełko z wbudowanym numerycznym zamkiem.

- Przecież to skrzynka dziennika pokładowego! - wykrzyknęła Meta ze zdziwieniem.

- Właśnie tak myślałem - rzekł Jason. - A jeśli to prawda, wtedy okaże się, że mamy jednak szczęście.

Zaryglowawszy za sobą drzwi do piwnic zanieśli skrzynkę do biura Jasona. Dopiero po spryskaniu dekontaminantami przyjrzeni jej się dokładnie. Meta odcyfrowała wygrawerowane na wieku litery.

- T.M. POLLUX VICTORY to musi być nazwa statku, z którego pochodzi ten dziennik pokładowy. Ale nie wiem, jaką klasę, czy cokolwiek innego, oznaczają inicjały.

- Transportowiec Międzygwiazdny - wyjaśnił Jason majstrując przy zamku skrzynki. - Słyszałem o tych transportowcach, ale sam ich nigdy nie widziałem. Budowano je w czasie ostatniej fali ekspansji galaktycznej. To jest po prostu szereg gigantycznych metalowych kontenerów złożonych w przestrzeni kosmicznej. Po załadowaniu do nich ludzi, maszyn i zapasów holowano je do obranego z góry systemu planetarnego. Później, do lądowania, te same holowniki i jednoczłonowe rakiety rozkładały taki transportowiec na części. I pozostawiały go na planecie. Kadłuby służyły za źródło metalu i koloniści mogli od razu rozpocząć budowę nowego świata. Były to o g r o m n e transportowce. Jeden mógł pomieścić co najmniej pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Dopiero kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę ze znaczenia swoich słów. Pomogło mu w tym mordercze spojrzenie Mety. Obecnie na Pyrrusie było mniej ludzi niż zaraz po osiedleniu.

A liczba ludności, gdy nie stosuje się surowej kontroli urodzin, wzrasta zwykle w postępie geometrycznym. Jason przypomniał sobie incydent z pistoletem w gabinecie Kerka.

- Ale nie wiemy na pewno ilu ludzi było na pokładzie tego transportowca - powiedział spieszenie. - A nawet czy to jest dziennik pokładowy statku, którym osadnicy przybyli na tę planetę. Możesz poszukać czegoś, czym można by podważyć wieko? Ten zamek jest całkiem skorodowany.

Meta wyładowała swój gniew na skrzynce. Wczepiła palce w krawędź wieka. Szarpnęła. Zardzewiały metal zgrzytnął i puścił. Wieko ustąpiło i ciężka księga wypadła z łomotem na stół.

Napis na okładce rozwiązał wszystkie wątpliwości.

DZIENNIK POKŁADOWY T.M. POLLUX VICTORY. REJS: SETAM-PYRRUS. 55000 OSADNIKÓW NA POKŁADZIE.

Teraz Meta nie miała nic do powiedzenia. Stała za Jasonem z zaciśniętymi pięściami i czytała znad jego ramienia, kiedy odwracał krucho pożółkłe karty. Jason szybko przerzucił część dotyczącą przygotowań i samej podróży. Dopiero odszukawszy moment lądowania zaczął czytać wolno.

- Mam! - krzyknął! - Niezbity dowód, że jesteśmy na właściwej drodze. Nawet ty musisz to przyznać. O tu, czytaj.

- „...drugi dzień od odlotu holowników, jesteśmy całkowicie zdani na własne siły. Osadnicy wciąż nie mogą przywyknąć do warunków panujących na planecie, chociaż co wieczór urządzamy wykłady wprowadzające. Również agenci do spraw morale pracują po dwadzieścia godzin na dobę. Sądzę, że naprawdę nie mogę winić tych ludzi, wszyscy oni żyli dotychczas w podziemnych korytarzach planety Setani i wątpię, czy widywali słońce choć raz w roku. Pyrrus ma pogodę nie na żarty, gorszą niż na którejkolwiek z blisko stu znanych mi planet. Czyżbym popełnił błąd, że w początkowych stadiach planowania tej wyprawy nie zażądałem, by wziąć osadników z któregoś ze światów agrarnych? Ci zmieszczanieli Setańczycy boją się wyjść w czasie deszczu. Ale oczywiście są świetnie przystosowani do swej rodzimej, już dość znacznie podwyższonej grawitacji, więc tutejsza, podwójna, nie bardzo im dokucza. To był decydujący czynnik. W każdym bądź razie za późno już, żeby cokolwiek zmienić. Albo jakoś wpłynąć na nie kończący się cykl deszczu, śniegu, gradu, huraganów itp. Jedynym rozwiązaniem będzie zbudowanie kopalni, sprzedaż metalu i zakładanie całkowicie zamkniętych miast.

Jedno, co na tej zakazanej planecie nie jest przeciwko nam, to zwierzęta. Początkowo mieliśmy trochę kłopotów z nielicznymi wielkimi drapieżnikami, ale strażę szybko się z nimi rozprawiły. Resztką dzikich zwierząt pozostawia nas w spokoju. Cieszy mnie to! Walczyły o byt tak długo, że jeszcze nigdy nie widziałem zbieraniny o bardziej krwiożerczym wyglądzie. Nawet najmniejsze gryzonie wielkości ludzkiej dłoni są opancerzone jak czołgi...”

- Nie wierzę nic a nic - przerwała Meta. - On musi pisać o jakiejś innej planecie... - Umilkła jednak, gdy Jason bez słowa wskazał tytuł na okładce.

Przeglądał dalsze strony, szybko je odwracając. Wtem jego uwagę przykuło jakieś zdanie. Postukując w nie palcem zaczął głośno czytać:

- „...a kłopoty wciąż się piętrzą. Najpierw Har Palo ze swoją teorią, że wulkanizm jest tak płytko pod powierzchnią, co sprawia, że ziemia jest ciepła i dlatego zbiory są tak obfite. Jeśli nawet i ma rację... cóż możemy zrobić? Musimy być niezależni, jeżeli chcemy utrzymać się przy życiu. A teraz ta druga sprawa. Wygląda na to, że pożar lasu przygnał w naszą stronę sporo nowych gatunków. Zwierzęta, owady, a nawet ptaki atakują ludzi. (Uwaga: trzeba kazać Harowi sprawdzić, czy tych ataków nie powoduje możliwość istnienia okresowych migracji świata zwierzęcego). Mieliśmy czternaście zgonów od ran i zatruc. Będziemy musieli wprowadzić przymusowe stosowanie maści przeciwko owadom. A także, jak przypuszczam, zbudować coś w rodzaju obwodu obronnego, aby nie dopuścić większych zwierząt do obozowiska”.

- Tak to się zaczęło - rzekł Jason. - Teraz przynajmniej wiemy, jaka jest prawdziwa natura wojny, w którą jesteśmy uwikłani. Nie znaczy to, że będzie nam łatwiej żyć na Pyrrusie, a jego formy życia staną się mniej niebezpieczne, skoro się dowiedzieliśmy, iż były niegdyś przychylnie usposobione do ludzkości. To wszystko wskazuje nam jedynie drogę. Coś ośwładnęło te pokojowo nastawione formy życia, przekabaciło je i zmieniło tę planetę w jedną wielką śmiertelną pułapkę dla ludzi. I właśnie to coś pragnę odkryć!

Dalsze czytanie dziennika pokładowego nie przyniosło żadnych rewelacji. Było w nim jeszcze sporo informacji o ówczesnych formach życia zwierzęcego i roślinnego i stopniu ich śmiertelności, a także o pierwszych sposobach obrony przed nimi. Rzeczy ciekawe historycznie, ale bez praktycznego znaczenia w obecnej chwili. Kapitanowi najwidoczniej nie przyszło go głowy, że formy życia na Pyrrusie ulegają zmianom, ponieważ sądził, iż

niebezpieczne zwierzęta są nowo odkrytymi gatunkami. Nie zmienił zdania w tej sprawie aż do śmierci. Ostatni wpis do dziennika, w niecałe dwa miesiące po pierwszym zmasowanym ataku, był bardzo krótki. I zanotowany innym już charakterem pisma.

„Kapitan Kurkowski zmarł dzisiaj od ukąszenia owada. Jego śmierć wywołała powszechną żałobę.”

Powód niechęci planety do ludzi pozostawał w dalszym ciągu nie odkryty.

- Kerk musi zobaczyć ten dziennik - powiedział Jason. - Trzeba go powiadomić o postępach, jakie uczyniliśmy. Jest tu jakiś środek lokomocji? Czy pójdziemy do ratusza na piechotę?

- Oczywiście na piechotę - odparła Meta.

- Więc będziesz niosła dziennik? Przy podwójnej grawitacji strasznie trudno być dżentelmenem i nosić paczki.

Ledwie weszli do sekretariatu biura Kerka, gdy z ekranu wideofonu rozległ się przenikliwy krzyk. Minęła dłuższa chwila, nim Jason zdał sobie sprawę, że jest to mechaniczny sygnał, a nie głos ludzki.

Kerk wypadł za drzwi i pomknął w kierunku wyjścia na ulicę. Pozostali uczynili to samo. Meta wyglądała na zmieszaną. Zwrócona ku drzwiom spojrzała na Jasona.

- Co to znaczy? Wytłumacz mi. - Potrząsnął ją za ramię.

- Alarm sektorowy. Jakieś poważniejsze przerwanie obwodu. Wszyscy, prócz strażników innych sektorów obwodu, powinni się stawić na ten alarm.

- Więc idź - odparł. - Nie martw się o mnie. Poradzę sobie.

Słowa te podziałały na nią jak zwolnienie cięciwy. Meta pomknęła jak strzała, jeszcze nim skończył mówić. Jason usiadł znużony w opustoszałym biurze.

Nienaturalna cisza, jaka zapanowała w całym budynku, zaczęła działać mu na nerwy. Przynalął krzesło do ekranu wideofonu i przełączył go na odbiór. Ekran buchnął barwami i dźwiękiem. Początkowo Jason nie mógł z nich nic zrozumieć. Jedna bezwładna mieszanina twarzy i głosów. Był to aparat wielokanałowy, przeznaczony do użytku wojskowego. Na ekranie widniało kilka obrazów jednocześnie, rzędy głów lub zamglone tła, tam gdzie korzystający z wideofonu opuścili pole widzenia. Wiele głów mówiło naraz, co wywołało w efekcie niezrozumiałe bełkot.

Zbadawszy przyrządy regulujące i uczyniwszy kilka prób, Jason zaczął rozumieć działanie aparatu. Aczkolwiek wszystkie stacje pozostawały na ekranie przez cały czas, ich kanały dźwiękowe można było włączać i wyłączać. W ten sposób dwie albo trzy stacje mogły pracować w sprzężeniu. Pozostawały wówczas połączone ze sobą, nie tracąc jednocześnie połączenia z innymi stacjami.

Identyfikacja głosu z obrazem odbywała się automatycznie. Kiedy włączało się któryś z kanałów głosowych, odpowiadający mu obraz zaczynał błyskać czerwono. Metodą prób i

błądów Jason nauczył się włączać kanały głosowe wybranych stacji i spróbował śledzić przebieg ataku.

Bardzo szybko zorientował się, że dzieje się coś niezwykłego. W jakiś sposób - nikt tego nie wyjaśnił - jeden z odcinków obwodu został przerwany i rzucono wszystkie zapasowe siły dla zamknięcia wyrwy. Operacją zdawał się dowodzić Kerk, który miał nadajnik zestrojony z wszystkimi stacjami jednocześnie. Posługiwał się nim do wydawania rozkazów. Liczne, małe obrazy wówczas zniknęły, a na ich miejsce ukazywała się jego twarz wypełniająca cały ekran.

- Do wszystkich posterunków obwodu: przysłać dwadzieścia pięć procent swojego stanu do Obszaru Dwanaście.

Małe twarzyczki znów się pojawiły i bełkot wzrósł, a czerwone światełka błyskały to w tym, to w innym miejscu ekranu.

- ... opuścić pierwsze piętro, bomby kwasowe nie dochodzą. - Jeśli pozostaniemy, będziemy odcięci, ale główne natarcie ominęło nas od zachodniej flanki. Prosimy o posiłki.

- NIE ODPALAĆ WIELOGŁOWICOWYCH! TO NA NIC! - ... zbiorniki z napalmem już prawie opróżnione. Co robić? - Macie ciężarówkę, wyślijcie ją do magazynów po uzupełnienie...

W powodzi słów tylko te ostatnie dwa urywki zdań brzmiały sensownie. Wchodząc do budynku Jason widział tabliczki nad drzwiami. Całe dolne piętro zajmowały magazyny broni. Dawało mu to szansę włączenia się do akcji.

Samo siedzenie i przyglądanie się działało na niego frustrująco. Zwłaszcza, że inni prowadzili rozpaczliwą walkę. Jason nie przeceniał swojej przydatności, ale był pewien, że o jeden pistolet nigdy nie będzie za dużo.

Zanim zwłóknął się na dół i wyszedł na ulicę, turbociężarówka zdążyła zajeżdżać przed platformę załadowniczą. Dwaj Pyrrusanie, zapominając o własnym bezpieczeństwie, zaczęli wytaczać beczki napalmu. Jason bał się wkroczyć w ten wir toczącego się metalu. Stwierdził, że może się przydać przy ustawianiu ciężkich beczek na ciężarówce, a tamtym dwóm pozostawić wtaczanie. Przyjęli jego pomoc bez słowa podzięki.

Była to wyczerpująca praca, w pocie czoła: ustawianie w tej grawitacji ciężkich ołowianych beczek. Po chwili Jason pracował już tylko po omacku, oślepiony czerwoną mgiełką łomocącej w skroniach krwi. Dopiero gdy ciężarówka nagle ruszyła z miejsca z impetem, a on sam został rzucony na podłogę, zdał sobie sprawę, że załadunek był ukończony. Leżał oddychając z trudem. Ciężki pojazd gnał przed siebie, ciskając nim na zakrętach o boki skrzyni. Odzyskał wzrok, lecz wciąż jeszcze miał trudności z oddechem, kiedy ciężarówka zatrzymała się w strefie walki.

Dla Jasona była to widowiska niewiarygodnego zamieszania: ognie, wystrzały, ludzie biegnący we wszystkie strony. Beczki z napalmem zostały wyładowane bez jego pomocy i ciężarówka odjechała po nowe. Jason oparł się o ścianę na wpół zrujnowanego budynku i próbował jakoś się w tym połapać. Ale nie mógł. Widział ogromne ilości drobnej zwierzyny; sam zabił dwa zwierzęta, które go zaatakowały. Poza tym nie mógł się zorientować, na czym polega istota samej walki.

Podszedł jakiś Pyrrusanin o pobladłej z bólu i zmęczenia smagłej twarzy. Jego prawe ramię, które stanowiło jedną żywą ranę ociekającą krwią, zwisało bezwładnie. Pokryte było świeżo nałożoną pianką chirurgiczną. W lewej ręce trzymał pistolet z urwanym kabelkiem regulującym. Jason sądził, że człowiek ten szuka pomocy lekarskiej. Nie mógł jednak bardziej się mylić.

Wziąwszy pistolet w zęby, Pyrrusanin chwycił zdrową ręką beczkę z napalmem i przewrócił ją na bok. Następnie, z pistoletem w rękę, zaczął toczyć beczkę nogami. Była to powolna i ciężka praca, lecz pozwalająca mu brać udział w walce.

Jason przepchnął się przez rozbiegany tłum i schylił nad beczką.

- Ja to zrobię - rzekł. - A ty osłaniaj nas obu ogniem z pistoletu.

Mężczyzna otarł pot z czoła wierzchem dłoni i łypnął okiem na Jasona. Zdawał się go rozpoznawać. Jego uśmiech wyglądał jak grymas bólu.

- Dobrze - odparł. - Mogę jeszcze strzelać. Dwaj półludzie... razem stanowiący całość. - Jason zbyt się mozolił, aby mógł dostrzec tę zniewagę.

Jakiś wybuch utworzył wyrwę przed nimi. Dwaj ludzie, stojący na ulicy na dnie tej jamy, jeszcze ją pogłębiali łopatami. Wszystko to wydawało się bezsensowne. W chwili gdy Jason i ranny Pyrrusanin zjawili się z beczką, kopacze wyskoczyli na wierzch i zaczęli strzelać w głąb wykopu. Jeden z nich odwrócił się. Była to młoda dziewczyna, zaledwie kilkunastoletnia.

- Chwała Obwodowi! - wysapała zdyszana. - Znaleźli napalm. Jeden z tych nowych potworów przedziera się ku Obszarowi Trzynaście, właśnie go odkryliśmy. - Mówiąc to określiła beczkę, wyrwała czop i zaczęła wlewać napalm do jamy. Kiedy połowa zawartości wylała się z gulgotem, dziewczyna jednym kopniakiem strąciła w dół beczkę. Towarzysz dziewczyny wyrwał zza pasa flarę, podpałił i cisnął w wyrwę.

- Szybko do tyłu. One nie lubią żaru - ostrzegł.

Łagodnie powiedziane. Napalm się zajął, języki ognia i gęste kłęby tłustego dymu buchnęły w niebo. Ziemia pod stopami Jasona zadrgała i zaczęła się ruszać. Coś czarnego i długiego zakłębiło się w samym środku płomieni, następnie wygięło się hakiem ku niebu nad ich głowami. Poruszało się w samym środku żaru wstrętnymi, konwulsyjnymi ruchami. Było ogromne, co najmniej dwumetrowej grubości i nie wiadomo jakiej długości. Płomienie go nie powstrzymywały, a tylko drażniły.

Jason zdołał wyrobić sobie jakieś pojęcie o długości stworu, kiedy nawierzchnia ulicy popękała i powyginała się na pięćdziesiąt metrów z obu stron jamy. Spod ziemi zaczęły się wydobywać ogromne kłęby cielska. Zaczął strzelać ze swego pistoletu razem z innymi. To jednak zdawało się nie wywierać żadnego skutku. Przybywali coraz to nowi i nowi ludzie z całym arsenałem rozmaitej broni. Miotacze ognia i granaty okazały się najskuteczniejsze.

- Opuścić teren, przystępujemy do saturacji. Wycofać się. Głos był tak donośny, że aż zgrzytał w uszach. Jason obejrzał się i zobaczył Kerka, który nadjechał z ciężarówkami załadowanymi ekwipunkiem. Nad głową miał umieszczony głośnik, przy ustach zawieszony mikrofon. Jego wzmocniony głos wywołał natychmiastową reakcję w tłumie, który zaczął

pierzchać.

W głowie Jasona powstała wątpliwość, co robić. Opuścić teren? Jaki teren? Ruszył w stronę Kerka i nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy Pyrrusanie podążają w przeciwnym kierunku. Mimo podwójnej grawitacji poruszali się dość żwawo.

Jason poczuł się obnażony jak człowiek, który został sam na scenie. Stał na środku ulicy, podczas gdy inni znikli. Nie było żywej duszy, tylko ranny, któremu Jason pomógł. Pyrrusanin ruszył potykając się i machając zdrową ręką w jego stronę. Jason nie mógł zrozumieć jego słów. Kerk wykrzykiwał rozkazy z jednej z ciężarówek. One też zaczęły się poruszać. Pojawszy nagle sytuację, Jason zaczął biec. Było za późno. Ze wszystkich stron ziemia wybrzuszała się, pękała, w miarę jak coraz dalsze sploty podziemnego stworu wydostawały się na powierzchnię. Ocalenie było tuż. Tylko że Jasona dzielił od niego wielki łuk oblepionej ziemią szarości.

Bywają sekundy, które zdają się trwać wiecznie. Chwile subiektywnego czasu rozciągnięte w nieskończoność. Właśnie teraz była taka chwila. Jason stał jak skamieniały. Nawet kłęby dymu w górze zastygły w bezruchu. Jason miał przed oczyma wielką pętlę nieznannej formy życia i widział każdy szczegół jak na dłoni.

Gruba na chłopa, pożyłkowana i szara jak stara kora. Ze wszystkich jej części wystawały blade i skręcone odrostki, które wiły się węzowym ruchem. Ukształtowana jak roślina, a zarazem poruszająca się jak zwierzę i pękająca, rozszczepiająca się. To było najgorsze.

Ukazały się szczeliny i otwory. Rozszczepione, rozwarte paszcze, które wyrzucały z siebie całe hordy bezbarwnych zwierzątek. Jason słyszał ich przeszywające piski. Ujrzał paszczęki pełne zębów na kształt igieł.

Paraliżował go lęk przed nieznanym. Zginałby z pewnością. Kerk grzmiał na niego przez głośnik, inni strzelali do atakującego stworu. Jason nic o tym nie wiedział.

Nagle poleciał w przód, pchnięty twardym jak skała ramieniem. Ranny Pyrrusanin trwał wciąż u boku Jasona, próbując go uratować. Ściskając pistolet zębami, ciągnął Jasona zdrową ręką. Ku stworowi. Inni przestali strzelać. Pojęli jego plan, a był to dobry plan.

Stwór był wygięty łukiem w górę, pozostawiając wolne miejsce pomiędzy swym ciałem a ziemią. Ranny zapał się stopami i napiął mięśnie. Jedną ręką uniósł Jasona w górę i cisnął nim pod żywy łuk. Ruchome odrostki smagnęły ogniem twarz koziołkującego Jasona, który po chwili znalazł się po drugiej stronie. Ranny Pyrrusanin skoczył za nim.

Ale już było za późno. Tylko jeden człowiek miał szansę się przedostać. Pyrrusanin mógł to łatwo zrobić sam, pchnął jednak najpierw Jasona. Stwór zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, gdy Jason otarł się o jego odrostki. Łuk opadł, miażdżąc rannego swoim ciężarem. Pyrrusanin znikł omotany odrostkami, wśród których zaroilo się od zwierzątek. Musiał zacisnąć języczek spustowy swego pistoletu na ogień ciągły, ponieważ broń długo jeszcze strzelała, gdy jej właściciel już nie żył.

Jason się czołgał. Rzuciło się ku niemu kilka zwierząt z obnażonymi kłami, ale padły od kul. On jednak nic o tym nie wiedział. Potem schwyciły go czyjeś ręce i pociągnęły naprzód. Uderzył całym ciałem o bok ciężarówki i ujrzał twarz Kerka tuż przy swojej, czerwoną i gniewną. Potężna pięść schwyciła go z przodu za ubranie i Jason został uniesiony w górę i

wstrząśnięty jak wór szmat. Nie protestował i nie mógłby zaprotestować, choćby nawet Kerk miał go zabić.

Kiedy padł ciśnięty na ziemię, ktoś podniósł go i wrzucił do ciężarówki. Jason nie stracił przytomności, gdy ciężarówka skacząc po nierównościach gruntu ruszyła z miejsca, a mimo to nie mógł się poruszyć. Za chwilę zmęczenie minie, a wtedy zdoła usiąść. Nic mu nie jest, to tylko zmęczenie. W chwili gdy to pomyślał, zemdłał.

- Jak za dawnych czasów - rzekł Jason na widok Brucca, który przyniósł mu tacę z jedzeniem. Brucco bez słowa obsłużył Jasona i innych rannych w pokoju i wyszedł. - Dzięki! - krzyknął za oddalającym się Jasonem.

Żart, skrzywienie ust w uśmiechu, wszystko jak dawniej. Ale jego usta, gdy się uśmiechały i wypowiadały żart, były czymś na kształt zewnętrznej okleiny. Czymś, co żyło własnym życiem. Był cały odrętwiały. Ciało miał sztywne, a przed oczami ów łuk wrogiego stworu, który opada i dusi jednorękiego Pyrrusanina milionem parzących palców.

Czuł się, jakby sam znalazł się pod tym łukiem. Bo czyż ranny nie zajął jego miejsca? Jason dokończył jedzenia roztargniony, nie zdając sobie sprawy, że je.

Trwało to bez przerwy od owego ranka, kiedy odzyskał świadomość. Wiedział, że to on powinien był zginąć na tej zrytej podczas walki ulicy. To on powinien był stracić życie za to, że popełnił błąd sądząc, iż może pomóc walczącym Pyrrusanom. A nie tylko plątać się i przeszkadzać. Gdyby nie Jason, człowiek ranny w rękę leżałby teraz tutaj pod bezpiecznym dachem budynku reorientacyjnego. Jason wiedział, że leży w łóżku, które należało się tamtemu. Człowieka, który oddał za niego życie. Człowieka, którego imienia nawet nie znał.

W jedzeniu były proszki nasenne i Jason zasnął. Opatrunki wyciągały ból i zasklepiwały rany od oparzeń na twarzy. Kiedy się ponownie zbudził, odzyskał całkowicie poczucie rzeczywistości.

Zginał człowiek, aby on, Jason, mógł żyć. To fakt nieodwracalny. I choćby Jason nie wiem jak tego pragnął, nie zdoła owego człowieka przywrócić do życia. Może jednak sprawić, aby jego śmierć nie poszła na marne. O ile w ogóle czyjaś śmierć może się opłacać... Zmusił się, aby o tym nie myśleć.

Wiedział, co musi zrobić. Jego zadanie nabrało teraz jeszcze większej wagi. Jeżeli tylko zdoła rozwikłać zagadkę tej zabójczej planety, zdoła choć w części spłacić dług, jaki zaciągnął.

Usiadł, ale pod wpływem wysiłku zakręciło mu się w głowie. Musiał przytrzymać się krawędzi łóżka i zaczekać, aż zawrót głowy nieco minie. Leżący z nim w pokoju pacjenci nie zwracali nań uwagi, gdy zaczął wolno i z wysiłkiem wciągać na siebie ubranie. Wszedł Brucco, popatrzył i wyszedł bez słowa.

Ubranie się zajęło Jasonowi dużo czasu. Na zewnątrz zastał czekającego już na niego Kerka.

- Kerku, chciałem ci powiedzieć...

- Nie mów nic! - zadudnił głos Kerka, odbijając się grzmotem od ścian. - To ja ci coś

powiem i skończmy z tym raz na zawsze. Jesteś na Pyrrusie osobą niepożądaną, Jasonie dinAlt, nie chcemy tu ani ciebie, ani twoich cennych a nierealnych pomysłów. Dałem się raz przekonać twemu przewrotnemu językowi. Pomagałem nawet kosztem ważniejszych spraw. Powinienem był wiedzieć, do czego może doprowadzić twoja „logika”. A teraz przekonałem się naocznie. Welf zginął, abyś ty mógł żyć. A był dwakroć wartościowszy, niż ty kiedykolwiek będziesz.

- Welf? Tak się nazywał? - zapytał Jason więznącym w gardle głosem. - Nie wiedziałem...

- Nawet nie wiedziałeś. - Grymas wściekłości rozchylił wargi Kerka. - Nie znałeś nawet jego imienia, a on mimo to złożył życie w ofierze, abyś mógł nadal wieść swoją marną egzystencję.

Splunął z obrzydzeniem i wielkimi krokami ruszył w stronę śluzy. Potem, jakby po namyśle, odwrócił się jeszcze raz do Jasona.

- Zostaniesz tu, w zamkniętym kompleksie, aż do odlotu statku, to znaczy jakieś dwa tygodnie. Wtedy opuścisz planetę i nigdy tu nie wrócisz. A jeśli wrócisz, z miejsca cię zabiję. Z rozkoszą. - Wszedł do śluzy.

- Zaczekaj! - krzyknął Jason. - Nie możesz postępować tak pochopnie. Nawet nie widziałeś materiałów, które odkryłem. Zapytaj Mety.

Drzwi śluzy zamknęły się za Kerkiem z łoskotem.

Sprawa przybrała idiotyczny bez mała obrót. Niedawne uczucie daremnej rozpaczki zaczęło wypierać gniew. Traktowano go jak nieodpowiedzialne dziecko, ignorując wagę odkrycia dziennika pokładowego.

Jason odwrócił się i wtedy zobaczył, że za nim stoi Bruceo. - Słyszałeś, co mi powiedział? - zapytał.

- Tak. I całkiem się z nim zgadzam. Masz szczęście.

- Szczęście! - Teraz z kolei rozgniewał się Jason. - Szczęście, że jestem traktowany jak niedorozwinięte dziecko, że się pogardza wszystkim, co robię...

- Powiedziałem: masz szczęście - powtórzył oschle Brucco. - Welf był jedynym ocalałym synem Kerka. Kerk wiązał z nim wielkie nadzieje, przygotowywał go na swojego następcę. - Już odchodził, ale Jason krzyknął za nim:

- Czekaj! Ogromnie mi przykro z powodu tego, co się stało z Welfem. Choć nie wiedziałem, że był synem Kerka. Ale to przynajmniej tłumaczy, czemu Kerk chce mnie stąd wyrzucić... razem z materiałami, które odkryłem. Dziennikiem pokładowym statku...

- Wiem. Widziałem ten dziennik - przerwał mu Brucco. - Meta go tu przyniosła. Bardzo ciekawy dokument historyczny.

- I to wszystko, co w nim dostrzegłeś? A znaczenie zmian na waszej planecie uszło twojej uwagi?

- Wcale nie uszło - odparł Brucco krótko. - Ale nie mogę pojąć, jaki to może mieć związek z dniem dzisiejszym. Przeszłości nie da się zmienić, a teraźniejszość nakazuje walkę. Ta zaś pochłania wszystkie nasze siły.

Jason poczuł się bezsilny. Gdziekolwiek się zwracał, wszędzie napotykał mur obojętności.

- Jesteś człowiekiem inteligentnym, Brucco... a mimo to widzisz tylko koniec własnego nosa. Przypuszczam, że to nieuniknione. Ty i pozostali Pyrrusanie jesteście według ziemskich standardów nadludźmi. Mocni, bezwzględni, niepokonani, szybcy. Wszędzie dalibyście sobie radę. Byliby z was doskonali teksańscy albo kanadyjscy policjanci konni lub też zwiadowcy wenusjańscy - jacykolwiek mityczni wojownicy pogranicza. I moim zdaniem tam właśnie pasujecie. Do historii. Na Pyrrusie ludzkość doszła do krańców przystosowalności, gdy chodzi o wyrobienie mięśni i refleksu. Ale nie tędy droga. Tym, co wydobyło ludzkość z jaskiń i pchnęło ku gwiazdom, był mózg. Kiedy zaczynamy znów myśleć mięśniami, wracamy z powrotem do tych jaskiń. Bo czymże wy, Pyrrusanie, naprawdę jesteście? Kupą jaskiniowców, którzy zabijają zwierzęta kamiennymi toporkami. Czy kiedykolwiek zastanawiacie się, skąd się tu wzięliście? Co tu robicie? Dokąd zdążacie?

Jason musiał wracać, był bowiem wyczerpany i brakło mu tchu. Brucco tarł brodę w zamyśleniu.

- Jaskinie? - rzekł. - Ależ my nie mieszkamy w żadnych jaskiniach ani nie używamy kamiennych toporków. Zupełnie cię nie rozumiem.

Jason nie mógł się rozgniewać ani nawet czuć rozgoryczenia. Chciał odpowiedzieć, ale tylko się roześmiał. Bardzo niewesoły był to śmiech. Nie miał sił na dalsze tłumaczenia. Trafił na ten sam kamienny mur, co w przypadku innych Pyrrusan. Oni rządzą się logiką chwili. Nie interesowali się przeszłością ani przyszłością, nie chcieli niczego poznawać ani cokolwiek zmieniać.

- Jak tam bitwa na obwodzie? - spytał w końcu, pragnąc zmienić temat.

- Skończona. Albo dobiega końca. - Brucco entuzjastycznie zademonstrował stereoskopy z walki. Nie zauważył nawet dreszczu zgrozy, który przeszył Jasona. - To najpoważniejsze od lat przerwanie obwodu, ale na szczęście zorientowaliśmy się w porę. Strach myśleć, co by się stało, gdyby wykryto niebezpieczeństwo dopiero po kilku tygodniach.

- A co to za stwory? - spytał Jason. - Jakieś monstrualne węże czy co?

- Głupstwa gadasz - parsknął Brucco. Postukał stereoskop palcem. - Korzenie. I to wszystko. Ogromnie zmodyfikowane, ale mimo to korzenie. Przedarły się pod zaporą obwodu i to na większej głębokości niż cokolwiek dotąd. Same w sobie nie stanowią istotnej groźby, ponieważ mają bardzo niewielką zdolność poruszania się. Wkrótce po odcięciu zamierają. Są niebezpieczne, ponieważ... wykorzystuje się je jako tunele. Wewnątrz są drążone i w tych wydrążeniach żyje z nimi w czymś w rodzaju symbiozy kilka gatunków zwierząt. Teraz, kiedy wiemy, czym są, możemy mieć się przed nimi na baczności. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że mogły całkowicie podkopać obwód i to ze wszystkich stron naraz. Niewiele wówczas mielibyśmy do zrobienia.

Krawędź zniszczenia. Życie na wulkanie. Pyrrusanom sprawiał satysfakcję każdy dzień, który nie skończył się totalnym unicestwieniem. Próżno byłoby starać się zmienić to ich

nastawienie. Jason wziął dziennik pokładowy statku POLLUX VICTORY z pomieszczeń Brucca i zabrał do swego pokoju. Ranni Pyrrusanie zignorowali go, gdy padł na swoje łóżko i otworzył dziennik na pierwszej stronie.

Przez dwa dni nie opuszczał pokoju. Ranni wkrótce odeszli i miał pokój wyłącznie dla siebie. Strona po stronie przeczytał cały dziennik, aż poznał wszystkie szczegóły osiedlenia się na Pyrrusie. Rósł stos notatek i odsyłaczy. Jason zrobił dokładny plan pierwotnego osiedla, porównał z obecnym. Wcałe się nie pokrywały.

Znalazł się w ślepej uliczce. Kiedy przyłożył jeden plan do drugiego, podejrzenia stały się boleśnie jasne. Opis fizycznego ukształtowania terenu w dzienniku był bardzo dokładny. Miasto zostało najwyraźniej przeniesione w inne miejsce. Wszelka dokumentacja musiała się znajdować w bibliotece... a to źródło zostało już wyczerpane. Pozostałe dokumenty albo porzucono, albo dawno uległy zniszczeniu.

Nad głową Jasona deszcz siekł w grube szyby okna, które nagle rozjaśniło się błyskawicą. Niewidoczne wulkany wznowiły aktywność i podłoga wibrowała od podziemnych wstrząsów.

Siedział przygarbiony, przytłoczony widmem klęski, które jeszcze bardziej przyciemniało i tak już chmurne niebo.

Jason spędził cały przygnębiający dzień leżąc na łóżku i licząc nity, zmuszając się do pogodzenia z klęską. Wydany mu przez Kerka zakaz opuszczenia hermetycznie zamkniętych budowli wiązał mu ręce. Czuł, że jest bliski rozwiązania zagadki... ale, że nigdy jej nie rozwiąła.

Jeden dzień poczucia klęski to wszystko, co potrafi znieść. Stanowisko Kerka jest całkowicie emocjonalne, nie skażone cieniem logiki. Myśl o tym tak go nurtowała, że nie mógł jej dłużej ignorować. Od wczesnej młodości nauczył się nie ufać emocjonalnemu podejściu do spraw. Nie mógł się za nic zgodzić z opinią Kerka - a to oznaczało, że musi wykorzystać dziesięć dni, jakie mu pozostały, na rozstrzygnięcie problemu. Musi to zrobić, choćby za cenę nieposłuszeństwa wobec Kerka.

Z nowym zapalem chwycił tabliczkę z notatkami. Zdołał już wykorzystać dotychczasowe źródła informacji, ale musiały być jeszcze inne. Gryząc rylec i skupiając się intensywnie, z wolna nakreślił listę innych możliwości. Każda myśl, choćby nie wiadomo jak karkołomna, została zanotowana. Sporządziwszy tę listę, zaczął wykreślać z niej pomysły mające zdecydowanie słabe punkty i niemożliwe do zrealizowania - jak na przykład przejrzanie źródeł historycznych spoza planety. Był to pyrryjski problem i winien być rozstrzygnięty albo na tej planecie, albo wcałe.

Z całej listy pozostały tylko dwa prawdopodobieństwa: że istnieją jakieś stare zapiski, notatniki lub dzienniki w prywatnym posiadaniu Pyrrusan albo przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści ustne. Pierwsza możliwość była bardziej prawdopodobna i Jason postanowił natychmiast ją zbadać. Sprawdziwszy dokładnie swój medpakiet i broń, udał się do Brucca.

- Jakie śmiercionośne stwory pojawiły się na planecie podczas mojej nieobecności? - spytał.

Brucco spojrział na niego zdziwiony, po czym powiedział: - Nie możesz wyjść na zewnątrz. Kerk ci zabronił.

- A tobie kazał pilnować, abym tego nie zrobił? - Głos Jasona był zimny i spokojny.

Brucco potarł podbródek i skrzywił się w zamyśleniu. W końcu wzruszył ramionami.

- Nie, wcale nie kazał mi cię pilnować... i wcale nie chcę tego robić. O ile wiem, to jest sprawa pomiędzy tobą a Kerkiem, ja się nie będę do niej wtrącał. Możesz sobie iść, kiedy zechcesz. I dać się zabić gdzieś bez hałasu, żeby raz na zawsze skończyły się kłopoty, jakich nam przysparzasz.

- Ja też dobrze ci życzę - odparł Jason. - A teraz zapoznaj mnie z tymi nowymi gatunkami zwierząt.

Jedyną nową mutacją, przed jaką nie chroniły dotychczasowe środki ostrożności, był ciemnoszary jaszczur, który pluł paraliżującym nerwy jadem. Śmierć następowała po kilku sekundach, jeżeli ślina trafiała na gołą skórę. Jaszczurów należało z daleka wypatrywać i strzelać do nich jeszcze, zanim się znalazło w zasięgu śmiertelności jadu. Godzina ćwiczeń w strzelaniu do jaszczurów w sali treningowej dała mu wprawę w tej materii.

Jason wyszedł z kompleksu hermetycznych zabudowań po cichu, nie zauważony przez nikogo. Kierując się według planu, udał się do najbliższych koszar, powłócząc ciężko nogami po zakurzonych ulicach. Było upalne, spokojne popołudnie, którego ciszę przerywały tylko odległe łaskoty i rzadkie strzały pistoletu Jasona.

Wewnątrz grubych ścian koszar panował miły chłód i zlany potem Jason opadł na ławę i odczekał, aż ostygnie, a serce przestanie łomotać. Następnie udał się do świetlicy i rozpoczął poszukiwania.

Skończyły się bardzo szybko. Żaden z Pyrrusan nie przechowywał dawnych artefaktów i wszyscy uważali samą myśl za niezwykle śmieszną. Uzyskawszy dwadzieścia negatywnych odpowiedzi, Jason gotów był przyznać się do porażki.

Pozostała więc tylko jedna możliwość - ustne opowieści. Pytał o nie tak samo bezskutecznie. Wreszcie cała ta rzecz przestała być dla Pyrrusan zabawna i zaczęli sarkać. Jason musiał zaprzestać starań, póki był jeszcze zdrow i cały. Przyniesiono mu jedzenie, które smakowało jak plastikowa pasta z masą celulozową. Szybko zjadł posiłek i siedział zasepiony nad pustą tacą, nie mogąc się pogodzić z nową klęską. Kto mógłby odpowiedzieć na dręczące go pytania? Wszyscy, z którymi rozmawiał, byli tacy młodzi. Nie ciekawiły ich opowiadania ani nie mieli do nich cierpliwości. Opowiadanie historyjek to zajęcie odpowiednie dla ludzi starych, a takich nie było na Pyrrusie.

Z jednym znanym mu wyjątkiem, bibliotekarzem Poli. To już jakaś możliwość. Człowiek pracujący przy książkach mógł zainteresować się niektórymi starymi dokumentami. Mógł nawet pamiętać przeczytane niegdyś, a teraz zniszczone woluminy. Bardzo to mało prawdopodobne, ale nie wolno było tego lekceważyć.

Droga do biblioteki zmusiła Jasona do niemal śmiertelnego wysiłku. Ulewny deszcz zwał z nóg, a ponadto w półmroku nie było widać nadciągającego niebezpieczeństwa. Dlatego też skoropucha zdołała się do niego zbliżyć na tyle, aby go porządnie ugryźć, nim zdążył ją zabić.

Antytoksyny wywołały zawrót głowy i Jason stracił sporo krwi. Dotarł do biblioteki zły i wyczerpany.

Poli reperował jedną z maszyn katalogujących. Nie przerwał pracy, póki Jason nie klepnął go w ramię. Włączywszy aparat słuchowy stał spokojnie, okaleczały i zgięty wpół, czekając na to, co powie Jason.

- Czy masz jakieś zachowane na swój prywatny użytek stare dokumenty i listy?

Przeczący ruch głową, nie.

- A może słyszałeś za młodu jakieś opowieści... no, wiesz, o różnych wydarzeniach, które miały miejsce w przeszłości?

To samo.

Wynik negatywny. Każde pytanie spotykało się z przeczącym ruchem głowy Poli'ego, który się wkrótce zaczął irytować i wskazywać na nie dokończoną pracę.

- Tak, wiem, że masz robotę - rzekł Jason. - Ale to jest ważna sprawa. - Poli zaprzeczył gniewnym ruchem głowy i sięgnął ręką, żeby wyłączyć aparat słuchowy. Jason rozpaczliwie szukał jakiegoś pytania, na które mógłby uzyskać bardziej pozytywną odpowiedź. Nagle przypomniał sobie coś, pewne usłyszane słowo, które sobie zanotował, by później zbadać jego sens. Coś, co powiedział Kerk...

- Już wiem! - Nagle znalazło się na końcu języka. - Chwileczkę, Poli, jeszcze tylko jedno pytanie. - Kto to są karczownicy? Czy widziałeś któregoś z nich albo wiesz, co robią i gdzie ich można znaleźć?...

Nie zdołał dokończyć, bowiem Poli obrócił się na pięcie i trzasnął Jasona wierzchem zdrowej ręki w twarz. Chociaż był człowiekiem starym i kaleką, jego cios omal nie złamał Jasonowi szczękę, zwalając go z nóg. Leżąc na ziemi, widział jak przez mgłę Poli'ego, który kuśtykał ku niemu z drgającą gniewem okaleczoną twarzą.

Nie było czasu na zabawę w dyplomację. Jason zerwał się jak mógł najszybciej w tej podwójnej grawitacji i ruszył co sił w nogach ku drzwiom. Nie mógł się równać w walce wręcz z żadnym Pyrrusaninem, ani młodym i małym, ani starym i kalekim. Otworzył drzwi z łoskotem i zatrasnął je tuż przed nosem Poli'ego.

Na dworze deszcz zmienił się tymczasem w śnieg i Jason brnął z wysiłkiem po błocie, raz po raz pocierając obolałą szczękę i zastanawiając się nad jedynym posiadanym faktem. Karczownicy to klucz... ale do czego? I od kogo ośmieli się zasięgnąć dalszych informacji? Kerk był człowiekiem, z którym rozmawiało mu się najlepiej, ale kto poza nim? Pozostała Meta. Zapragnął spotkać się z nią, ale nagle poczuł się zupełnie wyczerpany. Z nadludzkim wysiłkiem zdołał dobrnąć do szkolnych budynków.

Rano zjadł śniadanie i wyszedł wcześniej. Pozostał mu już tylko tydzień. Skazany na powolne poruszanie się, kłął wlokąc podwójnie ciężkie ciało do Ośrodka Dyspozycyjnego. Meta pełniła nocną służbę na obwodzie i wkrótce powinna wrócić do swojej kwatery. Właśnie leżał na jej łóżku, kiedy weszła.

- Wynoś się - powiedziała głucho. - Albo cię sama wyrzucę.
- Cierpliwości - rzekł siadając. - Odpoczywałem tylko, czekając na twój powrót. Mam jedno pytanie i jeśli mi odpowiesz na nie, pójdę i przestanę ci się naprzykrzać.
- O co chodzi? - zapytała tupiąc nogą ze zniecierpliwieniem. Ale w jej głosie był również odcień ciekawości. Jason dobrze się zastanowił, zanim powiedział:
- Postaraj się mnie nie zabić. Wiesz, że jestem gadułą nie z tej planety i raz wysłuchałaś z moich ust różnych straszliwych rzeczy, nawet nie chwytając za pistolet. Teraz chcę powiedzieć jeszcze jedną. Okaż, proszę, swoją wyższość nad innymi ludźmi z galaktyki i postaraj się zapanować nad sobą i nie sprowadzić mojej osoby do podstawowych składników atomowych.

Jedyną jej odpowiedzią było tupnięcie nogą, więc Jason zaczerpnął tchu i zaryzykował:

- Kto to są karczownicy?

Przez dłuższą chwilę stała spokojna, nieporuszona. Potem spojrzała na niego z odrazą.

- Ty rzeczywiście potrafisz wynajdywać najbrzydliwsze tematy.
- Być może - odparł Jason - ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Jest to coś, o czym po prostu się nie mówi.
- Ja mówię - zapewnił ją.

- Ale ja nie! To coś najbardziej odrażającego w świecie i więcej nic na ten temat nie powiem. Gadaj sobie z Krannonem, ale nie ze mną. - Mówiąc to chwyciła go za ramię i wywlokła do sieni. Trzasnęły drzwi i Jason mruknął z gniewem: - Zapaśniczka. - Uspokoił się, gdy zdał sobie sprawę, że jednak mimowolnie dała mu wskazówkę. Teraz należało tylko dowiedzieć się, kim był ów Krannon.

Na liście w Ośrodku Dyspozycyjnym był wymieniony człowiek o tym nazwisku, wraz z numerem zmiany i miejscem pracy. Znajdowało się ono nie opodal i Jason natychmiast tam poszedł. Był to duży sześciokątny budynek bez okien, z napisem: ŻYWNOŚĆ przy każdym ze szczelnie zamkniętych wejść. Małe drzwi, przez które wszedł, wprowadziły go do szeregu automatycznych komór, gdzie został poddany działaniu ultra dźwięków, promieni nadfioletowych, natrysku antybio, obrotowych szczotek i trzech ostatecznych płukań. W końcu został wpuszczony, wilgotny, lecz znacznie czystszy, na teren centralny. Przebywający tam ludzie i roboty zajmowali się ustawianiem skrzynek i Jason zapytał jednego z nich o Krannona. Ten obejrzał Jasona od stóp do głowy i splunął mu na czubki butów z pogardą, zanim odpowiedział.

Krannon pracował samotnie w wielkiej wnęce magarynu. Był krępy mężczyzną w połatanym kombinezonie, a na jego twarzy malował się jedynie wyraz niezmiernego przygnębienia. Gdy Jason podszedł do niego, Krannon przestał dźwigać bele i siadł na jednej z nich. Linie zgrzyoty żłobiły jego twarz i zdały się jeszcze głębsze, gdy Jason wyjaśniał, o co mu chodzi. Nudziła Pyrrusanina sprawa dziejów osadnictwa na planecie, czego dawał wyraz, otwarcie ziewając. Gdy Jason skończył, Krannon ziewnął jeszcze raz i ani myślał

odpowiedzieć na jego pytania.

Jason odczekał chwilę, a potem ponowił zadane uprzednio pytania.

- Masz jakieś stare księgi, papiery, notatki albo coś w tym rodzaju?

- Nie ma co, wybrałeś sobie odpowiedniego człowieka do rozmowy, przybyszu z obcej planety - było jedyną odpowiedzią. - Po rozmowie ze mną będziesz miał same kłopoty.

- A to czemu? - spytał Jason.

- Czemu? - po raz pierwszy na twarzy Krannona odmalowało się coś innego niż smutek. - Powiem ci czemu! Popełniłem kiedyś jeden błąd, jeden jedyny, i jestem potępiony do końca życia. Do końca życia... jak ci się to podoba? Skazany na samotność, wieczną samotność. A nawet na słuchanie rozkazów karczowników.

Jason opanował podniecenie, starając się nie zdradzić go głosem.

- Karczowników? A kto to są karczownicy?

Potworność tego pytania odjęła głos Krannonowi. Nie wierzył, aby istniał ktoś, kto nigdy w życiu nie słyszał o karczownikach. Radość rozjaśniła nieco jego twarz, gdy zdał sobie sprawę, że oto ma przed sobą pilnego słuchacza, który wysłucha jego trosk.

- Karczownicy to zdrajcy... Zdrajcy rodzaju ludzkiego i powinni być starci z powierzchni ziemi. Mieszkają w dżungli. A jakie rzeczy wyprawiają ze zwierzętami...

- Chcesz powiedzieć, że to ludzie... Pyrrusanie tak jak ty?

- Nie, człowieku, nie jak ja. I nigdy więcej tak nie mów, jeśli chcesz żyć. Zasnąłem kiedyś na warcie i dlatego muszę wykonywać tę robotę. A nie myśl, że ją lubię albo że lubię karczowników. Oni cuchną, naprawdę cuchną, i gdybyśmy nie musieli zaopatrywać się u nich w żywność, już jutro wszyscy by leżeli martwi. Z największą rozkoszą sam bym ich przeniósł na tamten świat.

- Jeżeli zaopatrują was w żywność, musicie dawać im coś w zamian.

- Różne artykuły, paciorki, noże, no i to, co niezbędne. Zaopatrzenie przesyła je w pudłach, a ja zajmuję się dostawą.

- Jak ona się odbywa? - spytał Jason.

- Samochodem pancernym na umówione miejsce. Później wracam na to miejsce i zabieram pozostawioną przez nich żywność.

- Mogę pojechać z tobą następnym razem? Krannon chwilę myślał krzywiąc się.

- Jak ktoś jest taki głupi, że chce, to chyba nikomu to nie zaszkodzi. Pomożesz mi ładować. U nich jeszcze się nie zaczęły żniwa, więc następna dostawa będzie dopiero za osiem dni.

- Ale to będzie po odlocie statku... za późno dla mnie. Nie możesz pojechać wcześniej?

- Co mnie obchodzą twoje kłopoty, człowieku - mruknął Krannon, wstając. - Jadę za osiem dni i dla nikogo nie będę zmieniał terminu.

Jason zdał sobie sprawę, że jak na jedno posiedzenie wyciągnął z tego człowieka wszystko, co można. Skierował się ku drzwiom, ale jeszcze wrócił.

- Jedno pytanie - rzekł. - Jak te dzikusy... karczownicy... wyglądają?

- Skąd mam wiedzieć! - oburzył się Krannon. - Ja z nimi handluję, a nie kocham się. Gdybym któregoś z nich zobaczył, zabiłbym go na miejscu. - Zgiął palce i gdy wypowiedział te słowa, pistolet wskoczył mu do ręki, po czym znów wrócił do pochy. Jason spokojnie wyszedł.

Odpooczywając na łóżku, zastanawiał się, jak skłonić Krannona do zmiany terminu dostawy. Jego miliony kredytów były bezwartościowe na tej planecie, na której nie uznawano pieniędzy. Jeżeli kogoś nie można przekonać, należy go przekupić. Ale czym? Wzrok Jasona spoczął na szafce, w której wisiało jego stare ubranie. W tym momencie wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Do składu żywności mógł pójść dopiero nazajutrz - o jeden dzień bliżej ostatecznego terminu odlotu z planety. Krannon nawet nie oderwał wzroku od pracy, kiedy wszedł Jason.

- Chcesz to? - spytał Jason, wręczając wyrzutkowi płaskie złote puzderko z wprawionym wewnątrz wielkim brylantem. Krannon chrząknął i zaczął obracać w dłoniach puzderko.

- Zabawka - rzekł. - Na co to się może przydać?

- Jak naciśniesz ten guziczek, to zapali się ogieniek. - W otworze ukazał się płomyczek. Krannon zwrócił puzderko Jasonowi.

- A po co mi ten ogieniek? Masz, zabierz to sobie.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Jason. - To jeszcze nie wszystko. Jeśli naciśniesz ten brylant w środku, wtedy wypada coś takiego. - Z puzderka wypadła mu na dłoń czarna kulka wielkości paznokcia. - To bomba zrobiona z czystego ultraniku. Wystarczy ścisnąć ją mocno i rzucić. Po trzech sekundach eksploduje z siłą zdolną rozwalić ten budynek. _

Tym razem Krannon niemal się uśmiechnął i wyciągnął rękę po puzderko. Wszystko, co niesie śmierć i zniszczenie, działa na Pyrrusanina jak łakocie. Gdy Krannon przyglądał się puzderku, Jason zaproponował mu ugodę.

- Dam ci to puzderko i bomby, jeśli przesuniesz termin następnej dostawy na jutro... i weźmiesz mnie ze sobą.

- Bądź punktualnie o piątej - przykazał Krannon. - Wyjeżdżamy wczesnym rankiem.

Samochód pancerny zajechał z łoskotem pod bramę obwodu i stanął. Krannon pomachał ręką strażnikom zza przedniej szyby, potem zasunął na nią metalową pokrywę. Gdy brama się otworzyła, samochód - a właściwie ogromny opancerzony czołg ruszył ze zgrzytem. Za tą bramą znajdowała się następna, którą otwierano dopiero po zamknięciu wewnętrznej. Przez

drugi peryskop w kabinie kierowcy Jason patrzył, jak się unosi zewnętrzna brama. Automatyczne miotacze płomieni buchnęły ogniem w powiększającą się szczelinę, wyłączając się dopiero, gdy samochód się zbliżył. Wokół bramy był wypalony teren, a tuż za nim zaczynała się dżungla. Patrząc na nią Jason bezwiednie skulił się.

Wszystkie rośliny i zwierzęta, które znał dotąd z pojedynczych obrazów, występowały tu w ogromnej obfitości. Cierniste gałęzie i pnącza spletały się wzajem, tworząc gąszcz nie do przebycia. Roilo się od dzikich zwierząt. Otoczyła ich wściekła kakofonia, coś łomotało i zgrzytało o pancierz samochodu. Krannon roześmiał się i włączył prąd do kraty osłaniającej z zewnątrz samochód. Zgrzyty ustały, gdy zwierzę zamknęło swym ciałem obwód między kratą pod napięciem a uziemionym kadłubem samochodu.

Jechali wolno, na najniższym biegu, przedzierając się przez dżunglę. Krannon, z twarzą schowaną w maskę peryskopu, w milczeniu operował dźwigniami. Z każdym kilometrem jechało się coraz lepiej. W końcu Krannon odsunął peryskop i zdjął płytę pancerną z przedniej szyby. Dżungla była nadal gęsta i niebezpieczna., ale wcale już nie przypominała obszaru bezpośrednio za obwodem. Wyglądało na to, że większość śmiertelnych mocy na Pyrrusie skupiło się na obszarze wokół miasta. Czemu? - zapytywał sam siebie Jason. Skąd taka intensywna i ukierunkowana nienawiść planetarna?

Silniki umilkły i Krannon wstał przeciągając się.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł. - Chodź, będziemy rozładowywać.

Samochód stał na nagiej skale, na obłym szczycie pagórka w dżungli, zbyt gładkim i stromym, aby roślinność mogła się na nim rozwijać. Krannon otworzył ładownię i zaczęli spychać z niej pudła i skrzynie. Kiedy skończyli, Jason osunął się wyczerpany na stos przywiezionego ładunku.

- Wsiadaj, odjeżdżamy - rzekł Krannon. - Wsiadaj sam, ja tu zostaję.

Krannon obrzucił go zimnym spojrzeniem.

- Wsiadaj, bo cię zabiję. Nikt tutaj nie zostaje. Po pierwsze, nie wyżyłbyś tu sam ani godziny. Ale co gorsza, mogliby cię złapać karczownicy. Zathukliby cię od razu, oczywiście, ale nie to jest najważniejsze. Masz na sobie ekwipunek, który w żaden sposób nie może się dostać w ich ręce. Chciałbyś zobaczyć karczownika z pistoletem?

Podczas gdy Pyrrusanin mówił, Jason myślał intensywnie. Pokładał całą nadzieję w tym, że Krannon ma równie ospały umysł, co szybki refleks.

Jason spojrział na drzewa, pobiegł wzrokiem pomiędzy grube konary. Krannon, chociaż wciąż mówił, zdał sobie machinalnie sprawę z nagle napiętej uwagi Jasona. Gdy oczy Jasona rozszerzyły się i w dłoń wskoczył mu pistolet, Krannon, też z bronią w rękę, spojrział w tę samą stronę.

- O, tam... na czubku! - krzyknął Jason i wypalił w gąszcz gałęzi. Krannon strzelił również. W tej samej chwili Jason fiknął kozła przez plecy, zwinął się w kulę i potoczył w dół po pochyłej skale. Strzały zagłuszyły odgłosy tej ucieczki i nim Krannon zdążył się odwrócić, siła grawitacji zdołała ściągnąć Jasona ze skały w gęstwinę. Łamane ciężarem ciała gałęzie sprawiały ból, ale zwolniły tempo spadania. Kiedy się zatrzymał, był ukryty w zaroślach.

Krannon za późno zaczął strzelać, żeby móc go trafić.

Leżąc tak, zmęczony i potłuczony, słyszał, jak Pyrrusanin przeklina. Krannon pokręcił się trochę po skale, wystrzelił kilka razy z pistoletu, ale wolał nie zagłębiać się między drzewa. Wreszcie dał za wygraną i wrócił do ciężarówka. Zawarczał silnik, szczęknęły i zaszurgotały o skalę protektory i ciężarówka wjechała z powrotem w dżunglę. Dały się jeszcze słyszeć stłumione trzaski i łoskoty, które wolna ucichły.

Jason został sam.

Aż do tej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest sam. Był otoczony zewsząd jedynie śmiercią, ciężarówka bowiem znikła już z pola widzenia. Jason musiał całą siłą woli opanować przemożne pragnienie, aby za nią nie pobiec. Co się stało, już się nie odstanie.

Podjął ogromne ryzyko, lecz tylko w ten sposób mógł nawiązać kontakt z karczownikami. Byli dzikusami, ale mimo wszystko ludźmi i nie upadli aż tak nisko, by zerwać handel zamienny z cywilizowaną częścią mieszkańców Pyrrusa. Musiał się z nimi skontaktować, zaprzyjaźnić. Dowiedzieć się, w jaki sposób udaje im się żyć bezpiecznie na tej zwariowanej planecie.

Gdyby istniał jakikolwiek inny sposób rozwiązania tego problemu, Jason nie zdecydowałby się na podobne przedsięwzięcie wcale nie marzył o roli męczeńskiego bohatera. Zmusił go do niej Kerk, ustalając ostateczny termin opuszczenia planety. Kontakt z karczownikami należało nawiązać szybko i można to było uczynić jedynie w ten sposób.

Nie wiadomo, gdzie znajdowali się dzicy i kiedy przybędą. Gdyby dżungla okazała się względnie bezpieczna, mógłby się w niej ukrywać i wybrać odpowiedni moment, żeby się do nich zbliżyć. Gdyby się natomiast ukrył wśród przywiezionych towarów, mogliby go zadźgać z typowo pyrryjskim refleksem.

Znużony podszedł do linii drzew. Coś poruszyło się wśród gałęzi, lecz znikło, kiedy się zbliżył. Żadna z roślin wokół grubego pnia drzewa nie wyglądała na trującą, wśliznął się więc za ów pień. Nie widział wokół nic śmiercionośnego i to go zadziwiło. Wsparłszy się o chropowatą korę dał ciału nieco wytchnienia.

Coś miękkiego i dławiącego spadło mu na głowę, ujęło w stalowy uchwyt. Im mocniej się opierał, tym silniej go ścisnęło, aż krew łomotała w uszach i w płucach zabrakło tchu.

Dopiero, gdy zwisał bezwładnie, nacisk zelżał. Początkowe przerażenie nieco ustąpiło, gdy Jason zdał sobie sprawę, że to nie zwierzę go zaatakowało. Nie wiedział nic o karczownikach, ale byli ludźmi, więc wciąż miał szansę.

Ręce i nogi zostały związane, pistolet z automatyczną pochwą zerwany z przedramienia. Bez broni poczuł się dziwnie nagi. Potężne ręce chwyciły go znowu, poderwały w górę i cisnęły twarzą w dół na coś miękkiego i ciepłego. Odczuł nowy przypływ lęku, było to bowiem jakieś wielkie zwierzę, a wszystkie zwierzęta na Pyrrusie oznaczały śmiertelne niebezpieczeństwo.

Gdy zwierzę ruszyło z miejsca, dźwigając go na swoim grzbiecie, strach zastąpiło uczucie rosnącego uniesienia. Karczownicy zdołali wypracować coś w rodzaju rozejmu z przynajmniej jedną formą życia zwierzęcego. Musi się dowiedzieć, jak do tego doszło. Jeśli

zdoła osiąść sekret - i wrócić do miasta - wszystkie trudy i wysiłki zostaną nagrodzone. Nawet śmierć Welfa zostanie nagrodzona, jeśli ta odwieczna wojna stanie się mniej zażarta albo się skończy.

Początkowo mocno związane ręce i nogi bardzo go bolały, ale niebawem utracił w nich czucie, gdy krew przestała dochodzić. Trzęsąca jazda zdawała się nie mieć kresu - nie wiedział, jak długo trwała. Zmoczył go deszcz, potem ubranie parowało na nim w promieniach słońca.

Wreszcie jazda się skończyła. Ściągnięto go z grzbietu zwierzęcia na ziemię. Ręce opadły bezwładnie, gdy ktoś rozsupłał więzy. Powracające krążenie krwi wywołało przenikliwy ból, kiedy tak leżał starając się poruszyć. Gdy dłonie zaczęły być posłuszne jego woli, uniósł je do twarzy i ściągnął z głowy wór z grubego futra. Światło go oślepiło, kiedy ostrożnie, miarowo wciągał w płuca świeże powietrze.

Rozejrzał się mrugając powiekami w rażącym blasku. Leżał na podłodze z nie heblowanych desek, a zachodzące słońce świeciło prosto w oczy przez pozbawione drzwi wejście do budynku. Widział przed domem zaorane pole, ciągnące się wzdłuż krzywizny wzgórza aż po skraj dżungli. W chacie panował mrok i dlatego nie można było dobrze zobaczyć wnętrza.

Coś przesłoniło światło u wejścia, jakaś wysoka zwierzęca postać. Przyjrząwszy się bliżej. Jason stwierdził, że to mężczyzna z długimi włosami i gęstą brodą. Ubrany był w skóry, nawet nogi miał osłonięte futrzanymi sztylpami. Wzrok miał utkwiony w swoim jeńcu i głaskał pieszczotliwie siekierę za pasem.

- Kim jesteś? Czego chcesz? - zapytał nagle brodac.

Jason wolno dobierał słów, zastanawiając się, czy i ten dzikus jest w gorącej wodzie kąpany, podobnie jak mieszkańcy miasta. - Nazywam się Jason. Przybywam w pokoju. Chcę być waszym przyjacielem.

- Kłamstwo! - warknął brodac i wyciągnął siekierę zza pasa. - Podstępne sztuczki śmieciarzy. Widziałem, jak się chowałeś. Chciałeś mnie zabić. Teraz ja ciebie zabiję. - Spróbował ostrza zrogowaciałym kciukiem i uniósł siekierę.

- Czekaj! - krzyknął Jason z rozpaczą. - Nie rozumiesz. Siekiera opadła.

- Jestem spoza planety i...

Wzdrygnął się cały, gdy siekiera zaryła się w drzewo tuż koło jego głowy. Brodac w ostatniej chwili zmienił kierunek ciosu. Chwycił Jasona za klapy i przyciągnął do siebie, aż twarze ich niemal się zetknęły.

- Czy to prawda? - wrzasnął. - Jesteś spoza planety? Dłoń rozwarła się i Jason runął z powrotem na deski, nim zdążył odpowiedzieć. Dzikus przeskoczył przez niego i skierował się w ciemny kąt chaty.

- Rhes musi się o tym zaraz dowiedzieć - rzekł gmerając przy czymś w ścianie. Zabłyśło światelko.

Jason wytrzeszczył oczy w zdumieniu. Włochaty, odziany w skóry dzikus wprawiał w ruch

komunikator. Stwardniałe palce z czarnymi obwódkami pod paznokciami zręcznie podłączyły linię, wykręciły numer.

Coś tu się nie zgadzało. Jason próbował pogodzić tę nowoczesną maszynę z osobą barbarzyńcy, ale bez skutku. Z kim on się chce porozumieć? Istnienie jednego komunikatora świadczy o tym, że musi być co najmniej jeszcze jeden. Czy Rhes jest kimś, czy czymś?

Z wysiłkiem zebrał myśli i próbował się zastanowić. Ma tu do czynienia z czymś nowym, z nieprzewidywanymi czynnikami. Powtarzał sobie, że wszystko znajdzie swoje wytłumaczenie, jeśli się tylko należycie zapoznać z faktami.

Jason zamknął oczy, aby go nie raziły promienie słońca przebijające się pomiędzy wierzchołkami drzew i na nowo jął rozważać posiadane fakty. Dzieliły się one równo na dwie kategorie: te, które sam poznał i te, które mu przedstawili mieszkańcy miasta. Spróbuje teraz zestawić tę drugą kategorię z tym, o czym się sam naocznie przekonał. Wszystko wskazuje na to, że większość owych faktów, a może nawet wszystkie, okażą się fałszywe.

- Wstawaj - przerwał jego myśli głos karczownika. - Wyjeżdżamy.

Nogi Jasona były wciąż zdrętwiałe i nie mógł się na nich utrzymać. Brodacz prychnął pogardliwie, następnie dźwignął go i oparł o ścianę chaty. Zostawszy sam, Jason przytrzymał się pokrytych chropowatą korą bali i rozejrzał wokół.

Pierwszy raz od ucieczki z rodzinnego domu znajdował się na farmie. Był to inny świat i inna ekologia, lecz zasadnicze podobieństwo rzucało się w oczy. Od chaty ciągnęło się w dół wzgórze świeżo zasiane pole. Zaorane przez dobrego gospodarza. Równne, kształtne skiby odpowiadające konturowi zbocza. Obok chaty stała inna, większa budowla z bali, prawdopodobnie stodoła.

Jason usłyszał za plecami sapanie, odwrócił się szybko i... zamarł. Jego dłoń ułożyła się do strzału, palec zacisnął się na nieistniejącym języczku spustowym pistoletu, którego nie było.

Stwór wyszedł z dżungli i podkrał się cicho od tyłu. Miał sześć tęgich łap zaopatrzonych w pazury, które wpijały się w ziemię. Dwumetrowe cielsko okrywała zmierzwiiona czarnożółta sierść. Czaszka i barki były pokryte zachodzącymi na siebie rogowatymi łuskami. Zwierzę stało tak blisko, że Jason widział to wszystko wyraźnie.

Czekał na śmierć.

Zwierzę otwarło pysk - zabie rozcięcie w bezwłosej czaszce, ukazujące podwójne rzędy wyszczerbionych zębów.

- Fido, do nogi! - zawołał brodacz gdzieś za plecami Jasona i strzelił palcami. Stwór skoczył ku niemu, mijając oszołomionego Jasona, i zaczął się ocierać o nogę swego pana. - Dobry piesek - rzekł brodacz i podrapał zwierzę palcami w miejscu, gdzie łuskowaty pancerz łączył się z ciałem.

Brodacz przyprowadził ze stodoły dwa wierzchowce, osiodłane już i okielznane. Wskakując na siodło, Jason zauważył ich gładką skórę i długie kończyny. Brodacz przywiązał mu szybko nogi do strzemion. Kiedy ruszyli w drogę, stwór z okrytą łuskami czaszką podążył za nimi.

- Dobry piesek! - powiedział Jason i nie wiadomo czemu wybuchnął śmiechem. Brodacz odwrócił się i groźnym spojrzeniem zmusił Jasona do milczenia.

Do dżungli wjechali już po ciemku i nic nie było widać pod nawisem gęstego listowia, a nie mieli ze sobą żadnych świateł. Zwierzęta jednak znały drogę. Z otaczającej ich dżungli dochodziły jakieś szmery i przesywające odgłosy, lecz Jason nie przejmował się nimi zbyt. Być może budził w nim ufność spokój, z jakim brodacz odnosił się do tej podróży. Albo obecność „psa”, którą wyczuwał, gdyż widzieć go nie mógł. Podróż była długa, lecz niezbyt uciążliwa.

Zmęczenie i jednostajny ruch wierzchowca zmogły Jasona i zapadł w niespokojną drzemkę, budząc się, ilekroć opadał na kark zwierzęcia. W końcu zasnął twardo na siedząco. Przespał w ten sposób kilka godzin, a otworzywszy oczy ujrzał przed sobą kwadrat światła. Podróż się skończyła.

Nogi miał obolałe i odparzone od siodła. Kiedy go rozwiązano, ledwie zdołał zsunąć się na ziemię i o mało nie upadł. Drzwi się otworzyły i Jason wszedł do środka. Minęło kilka chwil, nim jego oczy przywykły do światła i ujrzał przed sobą mężczyznę na łóżku.

- Podejź tu i usiądź. - Głos był dźwięczny i silny, przywykły do rozkazywania, ale ciało człowieka, do którego należał, trawiła choroba. Do pasa okrywał je koc, wyżej skóra była chorobliwie biała, upstrzona czerwonymi guzkami i obwisła. Skóra i kości.

- Nieładnie to wygląda - rzekł człowiek na łóżku - ale już się oswoiłem z tym widokiem.

Ton jego głosu nagle się zmienił. - Naxa powiedział, że jesteś z innego świata. Czy to prawda?

Jason kiwnął głową na potwierdzenie i jego odpowiedź tchnęła w ten żywy szkielet nowe życie. Głowa uniosła się z poduszki i zaczerwienione oczy spojrzały na Jasona z pełnym rozpaczy napięciem.

- Nazywam się Rhes i jestem... karczownikiem. Czy zechcesz mi pomóc?

Jasona zastanowiło napięcie w słowach Rhesa, całkiem niewspółmierne do ich prostego sensu. Nie widział jednak powodu, aby powstrzymać odruch, który kazał mu powiedzieć:

- Oczywiście, pomogę ci, o ile tylko będę mógł. I jeśli to nie będzie z krzywdą dla kogoś innego. Czego chcesz?

Głowa chorego opadła bezwładnie na poduszkę, ale oczy nadal płonęły blaskiem.

- Bądź pewny... że nie pragnę niczyjej krzywdy - rzekł Rhes. - Wręcz przeciwnie. Jak widzisz, cierpię z powodu choroby, której nasze leki nie są w stanie powstrzymać. Za kilka dni przestanę żyć. Otóż widywałem... jak mieszkańcy miasta posługują się urządzeniem, które przyciskają do rany albo do miejsca ukąszenia jadowitego zwierzęcia. Czy masz taką maszynkę?

- Chodzi ci o medpakiet. - Jason przycisnął guzik u pasa, zwalniający zamocowanie, i medpakiet wypadł mu na rękę. Mam tu swój. Służy do automatycznego analizowania i leczenia większości...

- Czy pozwolisz mi z niego skorzystać? - przerwał mu Rhes z nagłą natarczywością w głosie.

- Och, przepraszam - powiedział Jason. - Powinienem być sam na to wpaść. - Przysunął się i przycisnął urządzenie do jednego z zaognionych miejsc na piersi Rhesa. Błysnęło światełko i cieniutkie ostrze sondy analizatora opadło w dół. Gdy znów się uniosło, aparat zabrzączał, coś w nim trzykrotnie stuknęło i trzy oddzielne igły wbiły się pod skórę. Światełko zgasło.

- To wszystko? - spytał Rhes, widząc że Jason przypina aparat na miejsce u pasa.

Jason kiwnął głową i podniósłszy wzrok spostrzegł łzy na twarzy chorego. Niemal równocześnie Rhes też zdał sobie sprawę, że się wzruszył, i otarł policzki gniewnym ruchem.

- Gdy człowiek jest chory - burknął - ciało i wszystkie zmysły stają się jego zdrajcami. Jeszcze nigdy, odkąd przestałem być dzieckiem, nie płakałem... musisz jednak zdać sobie sprawę, że nie płaczę nad sobą. Płaczę nad niezliczonymi tysiącami moich współziomków, którzy stracili życie z powodu braku tego małego urządzenia.

- Z pewnością macie tu własne lekarstwa, własnych lekarzy? - Zielarzy i czarowników - odparł Rhes i machnął ręką, jakby nie warto było o nich mówić.

Mówienie zmęczyło Rhesa. Umilkł nagle i zamknął oczy. Zaognione miejsca na jego piersi zaczynały już pod działaniem zastrzyków blednąć. Jason rozejrzał się po pokoju, szukając klucza do tajemnic tych ludzi.

Ściany i podłoga były wykonane ze spasowanych surowych tarcic. Miały prosty i prymitywny wygląd, odpowiedni dla dzikusów, jakich spodziewał się spotkać. Ale czy rzeczywiście? Drewno było o szerokich, płomieniokształtnych słojach. Kiedy się schylił, zobaczył, że dla wydobycia tego wzoru zostało nasycone woskiem. Czy było to więc dzieło dzikich - czy może ludzi o rozwiniętym smaku artystycznym, pragnących wydobyć piękno z prostych materiałów? Efekt końcowy znacznie górował nad szarzyzną nitowanych stalowych pomieszczeń Pyrrusan z miasta. Czyż nie jest prawdą, że na obu krańcach skali artystycznej dominuje prostota? Człowiek pierwotny wyraża jasną myśl w prosty sposób, tworząc piękno. A z drugiej strony, doświadczony krytyk odrzuca zbytnią kunsztowność i dekoracyjność w dążeniu do prawdziwej jasności czystej sztuki. Który kraniec skali ma teraz przed oczyma?

Powiedziano mu, że ci ludzie są dzikusami. Ubierają się w skóry i mówią bełkotliwym i łamanym językiem, przynajmniej Naxa. Ale jeżeli to wszystko prawda, jak z tym połączyć istnienie komunikatorów? Albo jarzący się sufit, który oświetla pokój miękkim światłem?

Rhes otworzył oczy i spojrzał na Jasona, jakby go zobaczył pierwszy raz.

- Kim jesteś? - spytał. - I co tu robisz?

W jego słowach czaiła się chłodna groźba i Jason rozumiał czemu. Miejscy Pyrrusanie nienawidzili karczowników i nie ulegało kwestii, że uczucie to było im odwzajemniane. Potwierdziła to siekiera Naxy, który wszedł cicho, kiedy rozmawiali, i stał teraz z ręką na jej trzonku. Jason wiedział, że jego życie jest i będzie w niebezpieczeństwie, póki nie da tym ludziom zadowolającej odpowiedzi.

Nie mógł powiedzieć im prawdy. Jeżeli zaczną podejrzewać, że ich szpieguje, aby pomóc ludziom z miasta, zginie. Niemniej jednak musi mieć swobodę mówienia o życiu na planecie.

Odpowiedź przyszła sama, kiedy sobie to uświadomił. Zwróciwszy twarz ku choremu, odparł bez chwili wahania, starając się przybrać normalny i spokojny ton:

- Jestem Jason dinAlt, ekolog, więc jak widzisz, mam pewne powody do odwiedzenia tej planety...

- Co to jest ekolog? - przerwał mu Rhes. Nic w jego głosie nie wskazywało, czy było to ot tak rzucone pytanie, czy kryło się pod nim coś więcej. Znikł swobodny ton ich wcześniejszej rozmowy. Głos Rhesa miał w sobie śmiertelność jadu żądlioióra. Jason starannie dobierał słowa:

- Ekologia jest to, w uproszczeniu, gałąź biologii zajmująca się stosunkami pomiędzy organizmami a ich otoczeniem. Jak różne czynniki, na przykład klimatyczne, wpływają na formy życia i jak różne formy życia oddziałują na siebie wzajem i na otoczenie. - Wiedział, że wszystko, co do tej pory powiedział, to prawda... ale niewiele więcej miał pojęcia o przedmiocie, toteż szybko zmienił temat. - Słyszałem różne pogłoski o tej planecie, więc wybrałem się, żeby zbadać rzecz na miejscu. Zrobiłem, co mogłem, ale to się okazało niewystarczające. Mieszkańcy miasta mają mnie za wariata, lecz w końcu zezwolili mi na wyprawę tutaj.

- A jak zaplanowaliście sprawę twojego powrotu? - warknął Naxa.

- Nijak - odparł Jason. - Byli całkowicie pewni, że natychmiast zostaną zabity, i nie mieli nadziei, że wrócę. Nie dali mi wyruszyć samodzielnie i musiałem im uciec.

Odpowiedź ta zadowoliła Rhesa i na jego twarzy ukazał się niewesoły uśmiech.

- Tacy właśnie są, śmieciarze. Nie mogą wyjść nawet na krok za swoje mury inaczej, jak w jednej z tych wielkich niczym stodoła opancerzonych maszyn. Co ci mówili o nas?

Jason wyczuł, że i tym razem bardzo wiele zależy od jego odpowiedzi. Dobrze się zastanowił, zanim zaczął mówić:

- Być może, dostanę w kark siekierą za to, co powiem... ale będę szczery. Musicie wiedzieć, co o was myślą. Powiedzieli mi, że jesteście brudnymi i ciemnymi dzikusami... którzy śmierdzą. I że... no, wyczyniacie dziwne praktyki ze zwierzętami. W zamian za żywność dają wam noże i paciorki...

Słyszając to obaj Pyrrusanie zaczęli zrywać boki ze śmiechu. Osłabiony chorobą Rhes wkrótce się uspokoił, ale Naxa zakrztusił się i zdołał się opanować, dopiero gdy połał sobie głowę wodą z tykwy.

- Nietrudno w to uwierzyć - powiedział Rhes. - Oni potrafią pleść takie głupstwa. Ci ludzie nie wiedzą nic o świecie, w którym żyją. Mam nadzieję, że to, co nam poza tym opowiedziałeś, to nie żaden wymysł, ale jeśli nawet tak, jesteś tu mile widziany. Przybyłeś z zaświata, tego jestem pewien. Żaden śmieciarz palcem by nie kiwnął, żeby ocalić mi życie. Jesteś pierwszym człowiekiem z zaświata, jakiego moi ludzie kiedykolwiek oglądali, i dlatego tym milej cię tu widzimy. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ci dopomóc. Moje ramię

jest twoim ramieniem.

Ostatnie słowa miały brzmienie rytualne i kiedy je powtórzył, Naxa skinął z uznaniem głową. Jednocześnie Jason czuł, że nie jest to czczy rytuał. Współzależność oznaczała na Pyrrusie przetrwanie, a wiedział, że ci ludzie, narażeni wciąż na otaczające ich zewsząd śmiertelne niebezpieczeństwa, gotowi są oddać za siebie wzajem życie. Miał nadzieję, że dzięki temu rytuałowi znajdzie się w sferze ich opieki.

- Dość tego na dziś - rzekł Rhes. - Ta plamista choroba osłabiła mnie, a od twojego leku czuję się roztrzęsiony jak galareta. Zostaniesz tutaj, Jasonie. Jest tu koc, ale nie ma łóżka, przynajmniej na razie.

Podniecenie sprawiło, że Jason mógł funkcjonować aż do tej pory zapominając o trudach długiego dnia w podwójnej grawitacji. Teraz odczuł ogromne fizyczne zmęczenie jak cios. Pamiętał jeszcze, że odmówił posiłku i zawiązał się w koc na podłodze. Potem była już tylko nicość.

Bolał go każdy skrawek ciała w miejscu, gdzie podwójna grawitacja przyciskała je do twardych, nieustępliwych desek podłogi. Oczy miał zaropiałe, a w ustach czuł obrzydliwy niesmak. Siadł z wysiłkiem i musiał stłumić jęk, gdy mu zatrzęszczało w stawach.

- Dzień dobry, Jasonie! - zawołał Rhes z łóżka. - Gdybym tak bardzo nie wierzył w medycynę, powiedziałbym, że twoja maszynka sprawiła cud, skoro zdołała mnie uleczyć w ciągu jednej nocy.

Najwyraźniej powracał do zdrowia. Znikły zaognione plamy na piersi, a oczy straciły niezdrowy blask. Siedział wsparty na poduszkach i patrzył, jak poranne słońce topi opadły nocą grad na polach.

- Tam, w szafce, jest mięso - rzekł - i albo woda, albo visk do picia.

Ów visk okazał się destylowanym napojem o niezwykłej mocy, który natychmiast rozjaśnił umysł Jasona, choć pozostawił lekkie dzwonienie w uszach. A mięso było wędzonym udźcem jakiegoś zwierzęcia, najsmakowitsze, jakiego próbował po opuszczeniu planety Darkhan. Posiłek przywrócił mu wiarę w życie i przyszłość. Jason odstawił szklanekę, westchnął z uczuciem ulgi i jął się rozglądać.

Teraz, gdy wyczerpanie i groźba utraty życia ustąpiły, jego myśli machinalnie powróciły do zasadniczego problemu. Jacy naprawdę są ludzie i jak udało im się przetrwać w tej dziczy? W mieście mówiono mu, że są dzikusami, mimo to na ścianie wisi utrzymany w należytym stanie komunikator. A przy drzwiach kusza z maszynowo produkowanymi metalowymi grotami - widział na ich trzonach ślady narzędzi tnących. Musiał zdobyć więcej informacji. Postanowił zacząć od wykluczenia błędnych.

- Rhesie, śmiałeś się, kiedy powiedziałem ci, co mi mówili ludzie z miasta o handlu z wami, że dają wam za żywność różne świedelka. Co oni wam naprawdę dają?

- Wszystko, oczywiście, do pewnych granic - odparł Rhes. - Drobne produkty, jak na przykład części elektroniczne do naszych komunikatorów. Ale również stopy nierdzewne, jakich nie możemy wyprodukować w naszych kuźniach, narzędzia skrawające, przetworniki elektryczne-atomowe, które pozwalają na uzyskanie energii elektrycznej z każdego

pierwiastka radioaktywnego. Takie rzepy. Dają nam wszystko, z wyjątkiem tego, o co prosimy. Bardzo potrzebują żywności.

- A co jest na liście towarów zakazanych?

- Oczywiście broń i to, co można wykorzystać do jej wyprodukowania. Wiedzą, na przykład, że wyrabiamy proch, więc nie dają nam żadnych wielkich odlewów ani rur bezspojeniowych, abyśmy nie mogli wyrabiać z nich luf. Wiercimy więc lufy karabinowe ręcznie, choć kusza jest w dżungli bronią cichszą i szybszą. Nie chcą też, abyśmy zbyt wiele wiedzieli, więc jedyne książki, jakie do nas docierają, to podręczniki obsługi i konserwacji, wyzute z podstawowych teorii.

Ostatnią z zakazanych kategorii znasz.. to leki. Tego jednego nie mogę pojąć, to jedno napawa mnie nienawiścią do nich, ilekroć umiera ktoś, kogo można było uratować.

- Wiem, jaki jest powód - rzekł Jason. - Więc powiedz mi, bo ja nie wiem.

- Całkiem prosty... wasze utrzymywanie się przy życiu. Wątpię, czy zdajesz sobie sprawę, że panuje u nich stały spadek liczby ludności. Podczas gdy u was ta liczba musi utrzymywać się na tym samym poziomie... albo nawet lekko wzrastać... chociaż nie macie tych wszystkich mechanicznych zabezpieczeń. Stąd ich nienawiść, a zarazem zazdrość. Gdyby wam dali lekarstwa, a tym samym spowodowali wasz rozkwit, wygralibyście bitwę, w której oni ponieśli klęskę. Podejrzewam, że tolerują was jako zło konieczne, bo dostarczacie im żywności, poza tym moglibyście dla nich nie istnieć.

- To ma sens - warknął Rhes uderzając pięścią w łóżko. - Po tych śmieciarzach można oczekiwać tego rodzaju logiki. Wykorzystują nas jako swoich żywicieli, dają nam za to absolutne minimum tego, co powinni, a jednocześnie odcinają nas od wszelkiej wiedzy, która mogłaby nas wyrwać z tej lichej egzystencji. Co gorsze, dalece gorsze, trzymają nas w izolacji od gwiazd i reszty ludzkości. - Na jego twarzy malowała się tak silna nienawiść, że Jason aż się cofnął. - Czy sądzisz, że jesteśmy dzikusami? Zachowujemy się i wyglądamy jak zwierzęta, ponieważ musimy walczyć o byt na płaszczyźnie zwierzęcej. Jednakże wiemy trochę o gwiazdach. W tamtym kufrze znajduje się ponad trzydzieści książek, wszystkie, jakie posiadamy. W większości z literatury pięknej, ale także historii i wiedzy ogólnej. Dość, abyśmy posiadali nieco wiedzy o dziejach naszego osadnictwa i reszcie wszechświata. Widujemy, jak w mieście lądują statki międzyplanetarne, i wiemy, że gdzieś w górze są światy, o których możemy jedynie marzyć. Czy dziwisz się, więc, że nienawidzimy tych bestii, które zwą się ludźmi, i gdybyśmy tylko mogli, wytłuklibyśmy je w jednej chwili? Mają rację, że nie dają nam broni... bo niechybnie wybilibyśmy wszystkich co do nogi i zabrali rzeczy, których nam wzbraniają.

Było to surowe potępienie, ale zasadniczo słuszne. Przynajmniej z ich punktu widzenia. Jason nie próbował nawet tłumaczyć temu rozgniewanemu człowiekowi, że miejscy Pyrrusanie uważają swoje stanowisko za jedyne możliwe i logiczne.

- Jak w ogóle doszło do tej wojny pomiędzy dwiema stronami? - spytał.

- Nie wiem - odparł Rhes. - Wiele razy o tym myślałem, ale nie mamy żadnych zapisów z tego okresu. Wiemy, że wszyscy pochodzili od kolonistów, którzy przybyli na tę planetę. Dopiero później doszło do podziału na dwie grupy. Może to była wojna, czytywałem w książkach o wojnach. Mam jednak swoją teorię, chociaż nie mogę jej udowodnić, że

powodem była lokalizacja miasta.

- Lokalizacja... nie rozumiem.

- Znasz przecie śmieciarzy, wiesz, gdzie jest ich miasto. Zrobili, co mogli, aby je wznieść w możliwie najdzikszym miejscu na planecie. Wiesz, że nie dbają o żadne żywe istoty, prócz siebie samych. Ich celem jest strzelanie i zabijanie. Nie chcieli się zastanowić, gdzie zbudować miasto, i zbudowali je w najgłępszym miejscu. Jestem przekonany, że moi przodkowie dostrzegli głupotę takiej decyzji i próbowali im to uzmysłwić. A to mógł przecież być dostateczny powód wybuchu wojny, prawda?

- Mógł... jeżeli tak było naprawdę - odrzekł Jason. - Ale sądzę, że problem polega na czymś innym. Mamy do czynienia a wojną pomiędzy rodzimymi formami życia planety a ludźmi i każda ze stron pragnie zniszczyć drugą. Formy tutejszego życia stale się zmieniają, pragnąc ostatecznego zniszczenia najeźdźców.

- Twoja teoria jest jeszcze bardziej karkołomna od mojej - powiedział Rhes. - Ale prawda jest inna. Przyznaję, że życie na naszej planecie nie należy do łatwych... jeżeli to prawda, co czytałem o innych planetach... Tylko że ona się nie zmienia. Trzeba mieć szybkie nogi i oczy szeroko otwarte, ale żyć tu można. Tak czy owak nie jest ważne, czemu jest, jak jest. Śmieciarze zawsze szukają nieszczęścia i cieszą się, że wreszcie mają go pod dostatkiem.

Jason nie starał się go przekonywać. Zmuszanie Rhesa do zmiany jego zasadniczego stanowiska wymagało zbyt wielkiego wysiłku... o ile w ogóle było możliwe. Nie udało mu się przecież nikogo w mieście przekonać o zgubnych zmianach, choć mieli przed oczyma wszystkie fakty. Rhes mógł mu jednak udzielić cennych informacji.

- Myślę, że nieważne, kto rozpoczął wojnę - rzekł Jason, aby udobruchać Rhesa, choć uważał inaczej. - Lecz musisz się ze mną zgodzić, że mieszkańcy miasta wiodą nieustanne boje z formami tutejszego życia. Waszym ludziom jednak udało się zjednać co najmniej dwa gatunki zwierząt, które widziałem. Czy wiesz, w jaki sposób tego dokonali?

- Zaraz tu przyjdzie Naxa - odparł Rhes wskazując drzwi - jak tylko obrządzi zwierzęta. Zapytaj go, on jest naszym najlepszym „mówcą”.

- Mówcą? - zdziwił się Jason. - Miałem go za kogoś całkiem innego. Jest dosyć mrukliwy, a jeśli coś mówi, to... często trudno go zrozumieć.

- Nie chodzi o takie zwykłe rozmowy - przerwał mu Rhes ze zniecierpliwieniem. - Mówcy doglądają zwierząt. Szkolą psy i dorymy, a co zdolniejsi z nich, jak Naxa, próbują też obłaskawiać inne zwierzęta. Ubierają się prymitywnie, ale są ku temu powody. Podobno zwierzęta nie lubią chemikaliów, metalu i garbowanych skór, więc mówcy noszą ubrania z niewyprawionych futer zwierzęcych. Lecz niech cię ich brudny wygląd nie zwiedzie, nie ma nic wspólnego z inteligencją.

Dorymy? Czy to zwierzęta pod wierzch... na których tu przyjechaliśmy?

Rhes skinął głową.

- Dorymy to coś więcej niż zwierzęta juczne, one są wszystkim po trochu. Duże samce ciągną pługi i inne maszyny, a młodsze sztuki idą na rzeź. Jeżeli chcesz wiedzieć coś więcej,

zapytaj Naxę, znajdziesz go w stodole.

- Chętnie bym to zrobił - rzekł Jason wstając. - Ale bez pistoletu czuję się jak nagi...

- Ależ weź go sobie, jest w tej skrzyni przy drzwiach. Tylko uważaj, do czego tu strzelasz.

Naxa był w głębi stodoły i przypilowywał łopatowate kopyto doryma. Była to dziwna scena. Odziany w futra człowiek i wielka bestia stanowiły ostry kontrast z pilnikiem wykonanym ze stopu berylu i miedzi i oświetlającymi pracę płytkami elektroluminescencyjnymi. Dorym rozszerzył chrapy i szarpnął się do tyłu, gdy Jason wszedł. Naxa poklepał zwierzę po szyi i cichutko do niego zagadał, a wtedy uspokoiło się i stało nieruchomo dygocząc lekko.

Coś drgnęło w umyśle Jasona, jakby się w nim napiął jakiś od dawna nie używany mięsień. Doznał dziwnie znajomego uczucia. - Dzień dobry - powiedział. Naxa coś odburknął i wziął się ponownie do pilowania kopyta. Przyglądając mu się przez kilka minut, Jason próbował przeanalizować to nowe uczucie. Wciąż jednak wymykało mu się, gdy już, już myślał, że je uchwycił. Czymkolwiek było, obudziło się w nim, gdy Naxa przemawiał do doryma.

- Zawołaj któregoś psa, Naxa. Chciałbym się bliżej przyjrzeć jednemu z nich.

Nie unosząc głowy znad swojej pracy, Naxa gwizdnął cicho. Jason miał pewność, że gwizd ten nie mógł być poza stodołą słyszalny. Jednakże po minucie do stodoły wśliznął się jeden z pyrryjskich psów. Mówca pogłaskał zwierzę po głowie, coś do niego mamrocząc, a ono patrzyło mu pilnie w oczy.

Gdy Naxa zajął się na powrót swoją pracą przy dorymie pies zniecierpliwiał się, obszedł wężąc całą stodołę i ruszył szybko ku otwartym wrotom. Jason przywołał go z powrotem.

Przynajmniej zamierzał przywołać. W ostatniej chwili nie wyrzekł ani słowa. Powodowany nagłym impulsem nie otworzył ust... przywołał psa myślą. Pomyślał: chodź tutaj - kierując impuls ku zwierzęciu z całą mocą i zdecydowaniem, jakich używał manipulując kośćmi do gry. Czyniąc to zdał sobie sprawę, od jak dawna już nie przyszło mu nawet do głowy wykorzystać swojej siły psi.

Pies zatrzymał się i odwrócił.

Chwilę się wahał, spojrzął na Naxę i podszedł do Jasona.

Z bliska wyglądał jak koszmarna zjawa. Bezwłose łuski, małe oczka w czerwonych obwódkach, niezliczone, kapiące śliną zęby nie budziły zaufania. Jason mimo to nie odczuwał strachu. Między człowiekiem a zwierzęciem został nawiązany kontakt. Jason odruchowo wyciągnął rękę i podrapał zwierzę po grzbiecie, gdzie, jak wiedział, musiało być wrażliwe.

- Nie wiedziałem, że jesteś mówcą - rzekł Naxa. Po raz pierwszy jego głos zabrzmiał przyjaźnie.

- Ja też do tej pory nie wiedziałem - odparł Jason. Spojrzął zwierzęciu w oczy, podrapał pęgowany, brzydki grzbiet i zaczął rozumieć.

Mówcy muszą mieć w znacznym stopniu rozwiniętą siłę psi, to już teraz oczywiste. Kiedy dwa stworzenia dzielają wzajemne uczucia, nie istnieją żadne przegrody rasowe ani różnica

gatunków. Najpierw musi zaistnieć empatia, aby nie było lęku ani nienawiści. A potem następuje bezpośrednie porozumienie. Zapewne właśnie mówcy pierwsi pokonali barierę nienawiści na Pyrrusie i nauczyli się współżyć z rodzimymi istotami tej planety. Inni, być może, poszli za ich przykładem... i pewnie właśnie to tłumaczy utworzenie się społeczności karczowników.

Teraz, kiedy się na tym skoncentrował, Jason zdał sobie sprawę, iż gdzieś obok niego przepływają myśli. Dorym reagował na wzorce napływające skądś spoza stodoły. Nie musiał wychodzić na zewnątrz, aby wiedzieć, że na polu za stodołą znajduje się więcej tych wielkich zwierząt.

- To wszystko jest dla mnie niezwykle - rzekł. - Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tym, Naxa? Jakie to uczucie... być mówcą? Chodzi mi o to, czy w i e s z, co sprawia, że zwierzęta ciebie słuchają, a innych ludzi nie?

Myślenie o podobnych sprawach przychodziło Naxie z trudem. Przeczesał palcami gęste włosy i skrzywił się odpowiadając:

- Nigdy o tym nie myślałem. Robię i tyle. Wystarczy poznać zwierzę jak należy, żeby wiedzieć, co ono może zrobić. To wszystko.

Naxa najwyraźniej nigdy się nie zastanawiał, skąd wzięła się w nim ta władza nad zwierzętami. A skoro on się nie zastanawiał, prawdopodobnie również nie czynił tego nikt inny. Nie mieli po temu powodów. Po prostu przyjmowali ten fakt jak wszystkie życiowe fakty.

Z poszczególnych fragmentów zaczął powstawać w umyśle Jasona jasny obraz. Powiedział kiedyś Kerkowi, że rodzime formy życia na Pyrrusie sprzymierzyły się z jakichś przyczyn przeciw ludziom. Nadal nie wiedział, czemu to nastąpiło, ale zaczynał pojmować, jak.

- Czy daleko stąd do miasta? - spytał Naxę. - Ile by nam zajęło, żeby dojechać tam na dorymach?

- Pół dnia tam, pół z powrotem. Czemu? Chcesz odjechać?

- Nie chcę jechać do miasta, jeszcze nie teraz. Ale. chciałbym podjechać jak najbliżej obwodu - wyjaśnił Jason.

- Spytaj, co Rhes na to - odparł Naxa.

Rhes zgodził się od razu, bez zadawania jakichkolwiek pytań. Natychmiast osiodłali dorymy i wyruszyli w drogę, żeby zdążyć do domu przed zmrokiem.

Nie minęła godzina, a już Jason zaczął wyraźnie odczuwać, że kierują się w stronę miasta. Z każdą minutą uczucie to stawało się silniejsze. Naxa musiał odnieść podobne wrażenie, bo aż się wiercił w siodle. Musieli głaskać i poklepywać po szyjach zwierzęta, które stawały się coraz bardziej płochliwe i niespokojne.

- Dalej nie pojedziemy - rzekł Jason. Naxa z wdzięcznością zatrzymał doryma.

Jasonem owładnął jakiś niesprecyzowany prąd myśli. Czuł je zewsząd... tylko znacznie

silniej od strony niewidocznego miasta. Naxa i dorymy reagowały podobnie, niepokojem, którego przyczyny nie znali.

Jedno stało się teraz oczywiste. Zwierzęta pyrryjskie były uczulone na promieniowanie psi - zapewne rośliny i niższe formy życia również. Być może porozumiewały się z pomocą tego promieniowania, skoro słuchały ludzi, którzy je wydzielali. Z tak wielkim nasileniem promieniowania Jason dotychczas się nie spotkał. Chociaż sam specjalizował się w psychokinezie - psychicznym władaniu materią nieożywioną - był bardzo wrażliwy także na inne zjawiska psychiczne. Obserwując zawody sportowe odczuwał wielokrotnie całkowitą harmonię wielu umysłów wyrażających tę samą myśl. To, co czuł teraz, było podobne.

Ale jakże straszliwie odmienne. Tłum na stadionie unosi się radością z powodu udanego wyczynu na boisku lub reaguje jękiem zawodu na jakeś niepowodzenie. Uczucie to podlega ciągłym zmianom zależnie od przebiegu gry. Tu prąd myśli był nie kończący się, silny i . przerażający. Trudno było nadać mu kształt słów. Składała się nań po części nienawiść, po części lęk - a całość oznaczała zniszczenie.

ZABIĆ WROGA - taki oto z grubsza sens zdołał wyczytać w nim Jason. Ale to było coś więcej. Nieskończona rzeka psychicznego gwałtu i śmierci.

- Wracajmy już - powiedział, czując się nagle zmalretowany i chory od tych wrażeń. Ruszając w drogę powrotną zaczął rozumieć wiele rzeczy. Swój nagły i niewypowiedziany lęk, gdy został zaatakowany przez zwierzę pyrryjskie pierwszego dnia pobytu na planecie. I powtarzające się koszmarnie sny, od których tak naprawdę nigdy się nie wyzwolił, nawet pod wpływem narkotyków. Jedno i drugie było jego reakcją na nienawiść skierowaną na miasto. Chociaż z jakichś przyczyn fale tej nienawiści aż do tej pory nie były skierowane na niego bezpośrednio, to jednak część ich do niego docierała, wywołując silną reakcję emocjonalną.

Rhes spał, kiedy przyjechali, i Jason musiał czekać do rana, żeby z nim porozmawiać. Mimo zmęczenia podróżą długo nie mógł zasnąć roztrząsając w myślach odkrycia minionego dnia. Czy może powiedzieć o nich Rhesowi? Nie bardzo. Gdyby to uczynił, musiałby również wyjawić, na czym polega ich znaczenie i w jaki sposób zamierza je wykorzystać. Rhes nie będzie akceptował żadnej z proponowanych przez niego form pomocy. Najlepiej nie mówić nic, póki nie będzie po wszystkim. Po śniadaniu powiedział Rhesowi, że chce wrócić do miasta.

- A więc masz już dość oglądania naszego barbarzyńskiego świata i chcesz wrócić do przyjaciół. Może nawet pomóc im nas zetrzeć z powierzchni planety? - Rhes powiedział to niby żartem, ale był w jego słowach odcień zimnej złośliwości.

- Mam nadzieję, że nie mówisz tego poważnie - odparł Jason. - Musisz zdawać sobie sprawę, że jest całkiem przeciwnie. Bardzo bym chciał, żeby ta wojna domowa się skończyła i żebyście wy też mogli korzystać ze wszystkich dobrodziejstw nauki i medycyny. Zrobię wszystko, żeby do tego doprowadzić.

- Oni się nie zmieniają - rzekł Rhes posepnie - więc nie marnuj czasu. Ale musisz zrobić jedno dla własnego i naszego dobra. Nie przyznawaj się, że zamieniłeś choćby kilka słów z którymkolwiek z karczowników!

- Czemu?

- Czemu!... Czyżbyś, do nagłej śmierci, był taki tępy? Oni są gotowi na wszystko, żeby nie dać nam się za wysoko wzniesić, i dużo bardziej woleliby zobaczyć nas martwych. Czy sądzisz, że zawahaliby się przed zabiciem ciebie, gdyby mieli choć cień podejrzenia, że skontaktowałeś się z nami? Oni zdają sobie sprawę, że możesz sam, w pojedynkę, zmienić cały układ sił na tej planecie. Przeciętny śmieciarz uważa nas za istoty stojące tylko o stopień wyżej od zwierząt, ale ich przywódcy nie są tacy głupi. Wiedzą, czego chcemy i czego nam trzeba. Zapewne mogliby nawet odgadnąć, o co zamierzam cię teraz poprosić. Pomóż nam, Jasonie dinAlt. Wróć między te ludzkie świnie i kłam. Mów, że nigdy z nami nie rozmawiałeś, że ukrywałeś się w lesie i my cię zaatakowaliśmy, a wtedy ty musiałeś strzelać do nas, żeby się uratować. Aby poprzeć twoje słowa, dostarczymy zwłok kogoś, kto niedawno zmarł. Postaraj się, żeby ci uwierzyli, a kiedy uznasz, że ich przekonałeś, mniej się nadal na baczności, bo będą cię obserwowali. Później powiedz, że skończyłeś pracę i możesz wracać. Wydostań się bezpiecznie z Pyrrusa na inną planetę, a mogę ci obiecać, co tylko chcesz we wszechświecie. Będziesz miał, co tylko zechcesz. Pieniądze, władzę...w s z y s t k o. To jest zasobna planeta. Śmieciarze wydobywają kruszec i sprzedają, ale my moglibyśmy to robić znacznie lepiej. Sprowadź tu pojazd kosmiczny i wylądujcie byle gdzie na kontynencie. My nie mamy miast, ale nasi ludzie wszędzie mają farmy, znajdą cię. Stworzymy własny handel... bez pośrednictwa. Tego właśnie pragniemy wszyscy i gotowi jesteśmy podjąć wszelki trud, aby to osiągnąć. I ty zrealizujesz nasze pragnienia. Damy ci, co tylko zechcesz. To nasza obietnica, a my nie łamiemy obietnic.

Wielkość i znaczenie sprawy, którą Rhes przedstawił, wstrząsnęły Jasonem. Wiedział, że Rhes mówi prawdę i że wszystkie zasoby mineralne planety stałyby się jego własnością, gdyby tylko poprosił. Przez chwilę czuł pokusę, aby to uczynić, delektując się myślą, jak by to było wspaniale. I zaraz zdał sobie sprawę, że byłby to tylko półśrodek, w dodatku lichy. Gdyby ci ludzie mieli siłę, jakiej pragną, usiłowałiby przede wszystkim zniszczyć mieszkańców miasta. Wynikłaby krwawa wojna domowa, która prawdopodobnie skończyłaby się zgubnie dla obu stron. Rozwiązanie, które proponował Rhes, było dobre... ale tylko połowiczne.

Jason musiał znaleźć lepsze. Takie, które zakończy wszelkie wojny na planecie i pozwoli obu grupom żyć w pokoju.

- Nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić twoim ludziom, Rhesie... i postaram się uczynić, co tylko w mojej mocy, żeby im pomóc - przyobiecał Jason.

Ta połowiczna odpowiedź zadowoliła Rhesa, który potrafił ją zinterpretować w jeden tylko sposób. Resztę ranka spędził przy komunikatorze, wydając różne dyspozycje w związku ze zwożeniem żywności na punkt wymiany handlowej.

- Żywność jest na miejscu i daliśmy sygnał - rzekł w końcu. - Ciężarówki przyjadą tam jutro i ty będziesz na nie czekał. Wszystko jest ułożone tak, jak ci mówiłem. Wyruszysz zaraz z Naxą. Musisz tam zdążyć przed ciężarówkami.

- Ciężarówek tylko patrzeć. Wiesz, co masz robić? - upewniał się Naxa.

Jason kiwnął głową i jeszcze raz popatrzył na umarłego. Jakieś zwierzę urwało mu rękę i biedak wykrwawił się na śmierć. Urwaną rękę przywiązano do rękawa koszuli, więc z daleka wyglądała normalnie. Z bliska, zwisająca dłoń, biel skóry i wyraz przerażenia na twarzy trupa sprawiały niemiłe wrażenie. Jason wolałby, żeby ten człowiek leżał sobie w grobie. Pojmował jednak całą doniosłość jego dzisiejszej roli.

- Są. Zaczekaj, aż on się odwróci - szepnął Naxa. Opancerzona ciężarówka holowała tym razem trzy przyczepy z własnym napędem. Cały ten pociąg wpełził na skalną pochyłość i stanął z wyciem silników. Krannon wysiadł z kabiny i pilnie się rozejrzał, nim zaczął otwierać przyczepy. Miał z sobą robota dźwigowego do ładowania towaru.

- T e r a z! - syknął Naxa.

Jason wypadł na odsłonięty teren biegnąc i wołając do Krannona. Usłyszał trzask gałęzi za swymi plecami, gdy dwaj ukryci ludzie cisnęli za nim z krzaków trupa. Odwrócił się i strzelił w trupa, który zajął się płomieniem będąc jeszcze w powietrzu.

Huknął pistolet Krannona i jego strzał zwęglił dwakroć uśmiercone zwłoki, jeszcze nim dotknęły ziemi. Następnie Krannon padł i zaczął strzelać w gęstwinę za biegnącym Jasonem.

Jason był tuż-tuż przy ciężarówce, gdy coś gwizdnęło w powietrzu i ostry ból przeszył mu plecy, rzucając go na ziemię. Spojrzał przez ramię, kiedy Krannon wciągał go do kabiny, i zobaczył metalowy trzpień strzały tkwiącej w łopatce.

- Masz szczęście - rzekł Pyrrusanin. - Parę centymetrów niżej i już byś nie żył. Ostrzegalem cię przed karczownikami. Masz szczęście, że na tym się skończyło. - Leżał tuż przy drzwiach i raz po raz strzelał w cichy już teraz las.

Wyjmowanie strzały bolało dużo bardziej niż samo zranienie. Gdy Krannon zakładał mu opatrunek, Jason klął z bólu, a zarazem podziwiał zdecydowanie ludzi, którzy go postrzelili. Ryzykowali jego życie, aby tylko ucieczka miała wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Ryzykowali też, że może się przeciwko nim obrócić, kiedy go zranią. Wykonali w pełni, co do nich należało, i Jason klął ich za tę rzetelność.

Po opatrzeniu Jasona Krannon wysiadł zmęczony z kabiny. Ukończywszy szybko ładowanie, skierował ciężarówkę z przyczepami z powrotem do miasta. Jason otrzymał zastrzyk przeciwbólowy i natychmiast zasnął.

Podczas snu Jasona Krannon musiał się porozumieć drogą radiową z miastem, bo Kerk już czekał, kiedy przybyli na miejsce. Gdy tylko ciężarówka znalazła się wewnątrz obwodu, otworzył drzwi i wywłókł Jasona na zewnątrz. Szarpnięty za bandażę Jason czuł, że rana mu się otworzyła. Zacisnął zęby - postanowił nie dać Kerkowi satysfakcji usłyszenia krzyku bólu.

- Mówiłem ci, żebyś nie opuszczał budynków przed odlotem. Dlaczego je opuściłeś? Po co wyszedłeś? Rozmawiałeś z karczownikami, tak? - Przy każdym zdaniu potrzasał fasonem.

- Nie rozmawiałem z... nikim - zdołał wydusić fason. - Oni chcieli mnie pochwycić. Zabiłem dwóch... ukrywałem się do powrotu ciężarówki.

- A wtedy zabił jeszcze jednego - wtrącił się Krannon. Sam widziałem. Dobry strzał. Ja, zdaje się, też jednego trafiłem.

Puść go, Kerku. Postrzelili go w plecy, zanim zdążył dobiec do ciężarówki.

Dosyć tych wyjaśnień - pomyślał Jason. - Nie wolno przesadzić. Niech sam wyciągnie odpowiednie wnioski. Teraz czas zmienić temat. Jest tylko jedna rzecz, która może odwrócić

jego uwagę od karczowników.

- Prowadziłem za ciebie twoją wojnę, Kerku, kiedy ty siedziałeś sobie bezpiecznie wewnątrz obwodu. - Zwolniony z żelaznego uchwytu oparł się plecami o bok ciężarówki. - Odkryłem, o co naprawdę toczy się ta wojna z planetą... i jak możecie ją wygrać. Daj mi tylko gdzieś usiąść, a zaraz ci powiem...

W czasie tej rozmowy zbliżyło się do nich więcej Pyrrusan. Stali teraz wszyscy nieruchomo. Zastygli, podobnie jak Kerk, w oczekiwaniu i nie odrywali wzroku od Jasona. Kiedy Kerk przemówił, były to jakby słowa ich wszystkich:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałem. Że Pyrrus z wami walczy... bezpośrednio i świadomie. Wystarczy, abyś dostatecznie oddalił się od miasta, a poczujesz skierowane na nie fale nienawiści. Nie, nieprawda... nie poczujesz, bo one towarzyszyły ci całe życie. Ale ja czuję, a także każdy, kto tylko jest wrażliwy na promieniowanie psi... Przeciw wam jest kierowany bezustanny zew wojny. Formy życia tej planety są wrażliwe na promieniowanie psi i odpowiadają na ten zew. Atakują, zmieniają się i przekształcają, aby was zniszczyć. I nie ustaną w swych wysiłkach, póki nie będziecie wszyscy martwi. Chyba że położycie kres tej wojnie.

- W jaki sposób? - pytanie Kerka odzwierciedlało się na twarzach zgromadzonych.

- Poprzez odkrycie, kto lub co wysyła ten zew. Formy życia, które was zwalczają, nie posiadają własnej zdolności rozumowania. Coś je przymusza do tej walki. Sądzę, że wiem, jak odkryć źródło tego przymusu. Po dokonaniu tego pozostanie tylko sprawa przekazania waszej gotowości do zawieszenia broni i ewentualnego wyzbycia się wszelkiej wrogości.

Zapanowała śmiertelna cisza, gdy Pyrrusanie usiłowali zrozumieć to, co powiedział. Kerk pierwszy się poruszył, rozkazując im odejść.

- Wracajcie do pracy. Ta sprawa należy do mnie i ja się nią zajmę. Gdy tylko sprawdzę jej wiarygodność... o ile w ogóle jest wiarygodna... złożę szczegółowy raport. - Ludzie rozeszli się w milczeniu, raz po raz oglądając się za siebie.

- A teraz wszystko od początku - rozkazał Kerk. - I nic nie opuszczaj.

- Niewiele więcej mogę dodać do tych fizycznych faktów. Widziałem zwierzęta, rozumiałem zew. Eksperymentowałem nawet z niektórymi z nich i reagowały na moje psychiczne rozkazy. Teraz muszę tylko wykryć źródło rozkazów, które podtrzymuje tę wojnę. Powiem ci jeszcze coś, czego nigdy nie mówiłem nikomu innemu. Mam w grach hazardowych nie tylko szczęście. Posiadam dostateczne zdolności psi, aby móc przechylić szalę prawdopodobieństwa na swoją korzyść. Są to dość kapryśne zdolności, które z oczywistych względów starałem się rozwijać. W ciągu ostatnich dziesięciu lat prowadziłem badania we wszystkich ośrodkach naukowych zajmujących się tą sprawą. Jest to doprawdy zdumiewające, jak mało o nich wiemy, w porównaniu z innymi dziedzinami nauki. Pierwotne zdolności psi można rozwinać przez ćwiczenia. Zbudowano nawet pewne urządzenia, które działają jako amplifikatory psioniczne. Jedno z takich urządzeń, właściwie zastosowane, może być doskonałym instrumentem namiarowym.

- Chcesz skonstruować taką maszynę? - spytał Kerk.

- Właśnie. Skonstruować i wyruszyć z nią statkiem za miasto. Skoro wysyłane sygnały są dość silne, aby podtrzymać tę odwieczną wojnę, więc muszą być również dostatecznie silne, aby można było wysledzić ich źródło. Postaram się pójść drogą tych sygnałów, skontaktować się z istotami, które je wysyłają, i spróbować wykryć, czemu to czynią. Zakładam, że przyjmiesz każdy rozsądny plan zakończenia tej wojny?

- Byle był rozsądny - odparł Kerk chłodno. - Ile ci zajmie skonstruowanie tego urządzenia?

- Tylko kilka dni, jeżeli macie wszystkie potrzebne części.

- Więc bierz się do roboty. Odwołuję lot, który miał się teraz odbyć, i zatrzymam statek tutaj, gotowy do drogi. Gdy tylko zbudujesz to urządzenie, ustal kierunek źródła sygnałów i zaraz mi zamelduj.

- Zgoda - odparł Jason wstając. - Niech tylko opatrzą mi tę dziurę w plecach, a zaraz zrobię spis potrzebnych części.

Na przewodnika i strażnika Jasona wyznaczono ponurego, nigdy nie uśmiechającego się mężczyznę imieniem Skop. Traktował on swoje obowiązki z niezwykłą powagą i wkrótce Jason zdał sobie sprawę, że właściwie jest więźniem tego człowieka. Kerk przyjął wersję zdarzeń, którą mu Jason przedstawił, lecz tlie oznaczało to wcale, iż mu wierzy. Na jedno jego słowo strażnik mógł się zamienić w kata.

Myśl, że najprawdopodobniej tak się to wszystko skończy, zmroziła krew w żyłach Jasona. Niezależnie od tego, czy Kerk akceptował jego wersję zdarzeń, czy nie, nie mógł ryzykować. Skoro istniała bodaj najmniejsza możliwość, że Jason skontaktował się z karczownikami, Kerk nie mógł pozwolić, aby opuścił on planetę żywy. Ludzie z lasu muszą być bardzo naiwni, skoro sądzą, że ich plan jest do zrealizowania. A może po prostu postanowili wykorzystać szansę, zdając sobie w pełni sprawę, jak bardzo jest nikła? No tak, o n i z pewnością niczego nie ryzykowali.

Jason nie mógł się skoncentrować pracując nad sporządzeniem listy materiałów potrzebnych do skonstruowania psionicznego przyrządu namiarowego. Błądził myślami w ciasnym, zamkniętym kręgu, szukając wyjścia, które nie istniało. Był już za bardzo uwikłany w sprawę, aby móc po prostu wyjechać. Kerk nigdy by na to nie pozwolił. Jeśli nie znajdzie sposobu zakończenia wojny i załatwienia sprawy karczowników, pozostanie już do końca życia uwięziony na Pyrrusie. Bardzo krótkiego życia.

Kiedy ukończył listę, zadzwonił do Koordynacji i Zaopatrzenia. Prawie wszystko, czego potrzebował, było w miejscowych magazynach, a nieliczne brakujące elementy dawały się zastąpić czym innym. Skop zapadł w drzemkę, a Jason, podparłszy głowę ręką, zaczął kreślić szkic aparatu.

Nagle podniósł głowę, świadom panującej wokół ciszy. Słyszał szmer urządzeń mechanicznych, głosy ludzi w hallu. Cóż to więc za cisza?

Cisza mentalna. Od chwili powrotu do miasta był tak zajęty, że nie zauważył całkowitego braku jakichkolwiek wrażeń psi. Nie było owego stałego napływu reakcji zwierzęcych. W nagłym olśnieniu przypomniał sobie, że tak było zawsze w tym mieście.

Spróbował nastawić swój umysł na odbiór... i niemal natychmiast zrezygnował. Ze wszystkich stron napierał nań stały natłok myśli, z którego zdał sobie sprawę, kiedy spróbował sięgnąć poza siebie. Zupełnie jakby się znajdował w zanurzonym głęboko batyskafie i dotknął ręką drzwi, które wstrzymywały przerażający napór wód. Dotknąwszy tych drzwi, bez ich otwierania, można odczuć ciśnienie, tę potężną siłę, która na nie naciska i tylko czeka, aby człowieka zgnieść. Tak właśnie było z naciskiem psi na miasto. Bezgłośny, wypełniony nienawiścią krzyk Pyrrusa, zniszczyłby natychmiast każdego, kto by ów krzyk do siebie dopuścił. Jedną z funkcji mózgu Jasona było przerywanie obwodu psi, odcinanie świadomości w celu zapobieżenia zniszczeniu umysłu. Istniał tylko niewielki przeciek, aby mógł zdawać sobie sprawę z tego stałego nacisku... i miał pożywkę dla swoich stałych koszmarnych snów.

Dawało to tylko jedną korzyść uboczną. Brak nacisku myśli pozwalał łatwiej się skoncentrować. Mimo zmęczenia Jason mógł szybko kreślić szkic aparatu.

Późnym popołudniem zjawiała się Meta, przynosząc zamówione przez Jasona części. Postawiła długie pudło na warsztacie, chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła, i stała w milczeniu. Jason spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Zmieszana? - spytał.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparła. - Wcale nie jestem zmieszana. Tylko zirytowana. Lot został odwołany i zaopatrzenie będzie przez to w najbliższych miesiącach kulało. Poza tym, zamiast siedzieć za sterami albo pełnić służbę na obwodzie, muszę ci usługiwać, a potem zgodnie z twoimi poleceniami lecieć na jakąś głupią wyprawę. Dziwisz się, że jestem zirytowana?

Jason najpierw ułożył starannie otrzymane części na chassis a dopiero potem odpowiedział:

- Ależ jesteś zmieszana. Mogę ci nawet powiedzieć, jak bardzo... a to tylko jeszcze powiększy twoje zmieszanie. Co jest dla mnie pokusą, której szczerze mówiąc trudno mi się oprzeć.

Patrzyła na niego spoza warsztatu, zaszępiła, związując i rozwijając palcem kosmyk włosów. Bardzo się podobała Jasonowi w tym zmieszaniu. Jako Pyrrusanka działająca na pełnych obrotach miała w sobie tyle osobowości, co kółko w maszynie. Wyrwana z tej maszyny bardziej mu przypominała dziewczynę, którą poznał w drodze na Pyrrusa. Zastanawiał się, czy to możliwe, by zrozumiała, co jej chce powiedzieć.

- Mówiąc, że jesteś zmieszana, wcale nie chcę cię obrazić, Meto. Ale przy swoim pochodzeniu nie możesz być inna. Masz wyspiarską osobowość. Przyznaję, że Pyrrus jest niezwykłą wyspą z mnóstwem ogromnych problemów, które potrafisz ze znanstwem rozwiązywać. Ale mimo to pozostaje wyspą. Gubisz się jednak, kiedy stajesz przed problemem kosmopolitycznym. Albo jeszcze gorzej, gdy wasze wyspiarskie problemy występują w szerszym kontekście. To jakby się prowadziło własną grę, tylko przy stale zmieniających się zasadach.

- Pleciesz bzdury - warknęła. - Pyrrus nie jest wyspą, a walka o przetrwanie nie jest żadną grą.

- Przepraszam. - Jason uśmiechnął się. - To była tylko taka metafora, w dodatku niezbyt

szczęśliwa. Ujmijmy ten problem bardziej konkretnie. Gdybym na przykład powiedział, że tam, przy drzwiach, wisi uczepony framugi żądłopiór...

Jeszcze nie zdążył wypowiedzieć ostatniego słowa, a już pistolet Mety był wycelowany w stronę drzwi. Rozległ się trzask padającego krzesła strażnika. Wyrwany nagle ze swej półdrzemki Skop trzymał pistolet wymierzony we framugę.

- To był tylko przykład - rzekł Jason. - Tam naprawdę nic nie było. - Pistolet strażnika znikł w pochwie, on zaś sam spojrzął z pogardą na Jasona, po czym podniósł krzesło i znów usiadł.

- Udowodniliście oboje, że umiecie sobie radzić z miejscowymi problemami - ciągnął Jason. - Ale co by było, gdybym powiedział, że przy framudze wisi uczeponie coś, co wygląda jak żądłopiór, a w rzeczywistości jest czymś w rodzaju wielkiego owada, który przędzie cienkie nici nadające się do tkania materiału?

Strażnik łypnął groźnie spod krzaczastych brwi na pustą framugę - jego pistolet wysunął się do połowy z pochwy i schował ponownie. Następnie burknawszy coś niezrozumiale do swego podopiecznego, ten w jednej osobie przewodnik i opiekun Jasona wyszedł do sąsiedniego pokoju trzaskając drzwiami. Meta ściągnęła brwi w skupieniu i na jej twarzy odmalowało się zdziwienie. - To nie mogłoby być nic innego prócz żądłopióra - powiedziała wreszcie. - Nic innego nie mogłoby tak wyglądać. I nie tylko nie snułoby przędzy, ale ugryzłoby cię, gdybyś się zbliżył, więc musiałbyś je zabić. - Uśmiechnęła się zadowolona z niepodważalnej logiki swojej wypowiedzi.

- Znowu jesteś w błędzie - rzekł Jason. - Właśnie tak wygląda miniprządka, która żyje na planecie Stovera. Naśladuje ona najgwałtowniejsze formy życia tej planety i robi to tak świetnie, że nic więcej nie potrzebuje do obrony. Mogłaby usiąść ci na rękę i spokojnie prząść nic metr po metrze. Gdybym sprowadził na Pyrrusa cały statek wypełniony tylko nimi, nigdy nie wiedzielibyście, czy do nich strzelać, czy nie.

- Ale teraz ich tu nie ma - obstawała Meta.

- Mimo to mogłyby być. A gdyby były, wszystkie zasady waszej gry by się zmieniły. Rozumiesz teraz? W galaktyce są pewne stałe prawa i zasady... ale wy ich tu nie uznajecie. Waszą zasadą jest wieczna wojna z zastanymi formami życia. Chcę wyjść poza tę zasadę, prawo i skończyć waszą wojnę. Nie chciałabyś i ty tego samego? Nie chciałabyś wieść życia, które byłoby czymś więcej niż tylko nie kończąca się walką o przetrwanie? Życia, w którym byłoby miejsce na szczęście, miłość, sztukę... wszystkie te przyjemności, na które nigdy nie miałaś czasu?

Cała pyrrusańska surowość ustąpiła z jej twarzy, kiedy słuchała jego słów i chłonęła te obce sobie koncepcje. Jason machinalnie wziął ją za rękę, kiedy to mówił. Jej ręka była ciepła i krew zaczęła w niej szybciej pulsować pod wpływem jego dotyku.

Nagle Meta oprzytomniała i wyszarpnęła swoją dłoń zrywając się jednocześnie na nogi. Idąc na ślepo ku drzwiom, słyszała za sobą drwiący głos Jasona:

- Strażnik Skop uciekł, bo nie chciał zatracić swej cennej podwójnej logiki. Ona jest wszystkim, co posiada. Ale ty widywałeś inne części galaktyki, Meto, ty wiesz, że życie może być czymś znacznie więcej, niż tylko wzajemnym zabijaniem się na Pyrrusie. Czujesz, że to prawda, jeżeli nawet nie chcesz tego przyznać.

Odwróciła się i wybiegła za drzwi.

Jason spoglądał za nią gładząc się w zamyśleniu po zarośniętym podbródku.

- Meto, zaczynam żywić nadzieję, iż kobieta bierze w tobie górę nad Pyrrusanką. Zdaje się, że dostrzegłem... być może po raz pierwszy w dziejach tego krwawego, rozdartego wojną miasta, łzę w oku jednej z jego mieszkank.

- Spróbuj upuścić tę aparaturę, a możesz być pewien, że Kerk pourywa ci ręce - rzekł Jason.
- Stoi tam teraz i żałuje, że dał się namówić na to przedsięwzięcie.

Skop zaklął pod ciężarem masywnego detektora i podał go Mecie, która czekała w otwartym luku statku międzyplanetarnego. Jason nadzorował załadunek i kładł trupem wszystkie stwory, które się zbliżały powodowane ciekawością. Rogatych diabłów było tego ranka zatrzęsienie i Jason ustrzelił aż cztery. Wszedł na pokład ostatni i zamknął za sobą śluzę.

- Gdzie go zainstalujesz? - spytała Meta.

- Poradź mi - odparł Jason. - Potrzebne mi takie miejsce na antenę, żeby przed soczewką nie było ciężkich metali powodujących zakłócenia w odbiorze sygnału. Cienki plastik byłby najlepszy. W najgorszym razie zamocuję ją na zewnątrz kadłuba i zastosuję zdalny napęd.

- Pewnie będziesz musiał - powiedziała Meta. - Kadłub statku stanowi jednolitą bryłę. Widoczność zapewnia ekran i instrumenty nawigacyjne. Nie sądzę... zaraz, zaraz... jest jedno takie miejsce, które się może do tego nadawać.

Poprowadziła ich do wybrzuszenia w kadłubie, znaczącego położenie jednej z raket ratunkowych. Weszli przez zawsze otwartą śluzę, najpierw Meta, potem Jason, a na końcu Skop z aparaturą.

- Te rakiety ratunkowe są częściowo zagłębione w kadłubie statku - wyjaśniła. - Mają z przodu przezroczystą szybę, przykrytą opływowymi płytami. Płyty rozsuwają się automatycznie z chwilą wystrzelenia rakiety.

- Czy możemy je teraz rozsunać?

- Chyba tak - odparła. Analizując układ przewodów zapłonowych, odnalazła skrzynkę odgałęźnikową i otworzyła jej pokrywę. Kiedy zamknęła ręcznie obwód sterujący osłoną i ciężkie płyty zsunęły się do wnętrza kadłuba, otworzył się przed nimi rozległy widok, ponieważ większa część panoramicznej szyby wystawała ponad kadłub macierzystego statku.

- Doskonale - stwierdził Jason. - Tu się usadowię. A jak będę się porozumiewał z tobą?

- Przez to - powiedziała. - Ten komunikator jest zestrojony z układem komunikacyjnym statku. Tylko nie dotykaj niczego innego... zwłaszcza tej dźwigni. - Wskazała masywny drążek umieszczony w samym środku tablicy sterowniczej. - Służy do odłączania rakiety. W dwie sekundy po pociągnięciu tej dźwigni rakietka ratunkowa zostaje wystrzelona. A tak się złożyło, że nie zaopatrzone jej w paliwo.

- Na pewno nie dotknę - rzekł Jason. - Teraz każ Husky'emu podłączyć mnie do sieci statku,

a ja zajmę się aparaturą. Detektor był prosty w konstrukcji, ale dostrojenie go musiało być precyzyjne. Talerzowata antena ściągała sygnał do delikatnie wyważonego detektora. Po obu stronach wejścia następował ostry spadek poziomu odbieranego sygnału, co pozwalało na precyzyjne ustalenie jego kierunku. Następnie sygnał przechodził etap amplifikacji. W odróżnieniu od elektronicznych komponentów pierwszego etapu sygnał przybierał tu kształt symboli na białym papierze. Do amplifikatora wiodły dwa starannie przylutowane przewody: wejściowy i wyjściowy.

Gdy wszystko było już gotowe i każda część na swoim miejscu, Jason kiwnął głową w stronę obrazu Mety na ekranie komunikatora.

- Startuj... tylko delikatnie, jeśli możesz. Bez tych swoich dziewięciogięowych wybryków. Zataczaj wolne kręgi wokół obwodu, póki ci nie powiem, co dalej robić.

Napędzany równą mocą silników statek uniósł się i nabrał wysokości, a następnie jał zataczać kręgi wokół miasta. Zrobili pięć okrążeń, gdy Jason potrząsnął głową.

- Aparatura działa sprawnie, ale za wiele tu zakłóceń z miasta - orzekł. - Oddał się jeszcze trzydzieści kilometrów i zacznij okrążenia na nowo.

Tym razem wynik był lepszy. Od strony miasta doszedł potężny sygnał, w przybliżeniu o sile pół stopnia. Umocowawszy antenę pod kątem prostym do lotu statku, Jason uzyskał sygnał niemal ciągły. Meta obróciła statek wzdłuż osi podłużnej, tak iż Jason w swojej rakiecie ratunkowej znalazł się dokładnie pod statkiem.

- Teraz jest doskonale - rzekł. - Trzymaj tylko stery i nie zbaczaj z kursu.

Zrobiwszy znaczek na kole pomiarowym, Jason obrócił antenę o sto osiemdziesiąt stopni. Trzymając się stałego kursu wokół miasta, zbierali teraz wszelkie sygnały kierowane w jego stronę. Przebyli połowę okrążenia, gdy nagle Jason złapał nowy sygnał.

Nie miał wątpliwości: sygnał był wąski, nie przekraczał połowy stopnia, ale dość silny. Dla pewności Jason pozwolił Mecie zrobić jeszcze dwa okrążenia i za każdym razem notował kierunek na żyrokompasie. Zapisy były zgodne. Za trzecim okrążeniem zawołał do Mety:

- Przygotuj się do pełnego skrętu w prawo, czy jak wy to tam nazywacie! Zdaje się, że mam ten zamiar. Uwaga... teraz!

Skręt był powolny i Jason uchwycił wreszcie zanikający sygnał. Kiedy kierunek został ustalony, Meta zwiększyła moc silników. Mknęli ku rdzennym Pyrrusanom.

Godzina lotu niemal pełną szybkością atmosferyczną nie spowodowała żadnych zmian w odbiorze. Meta zaczęła protestować, ale Jason kazał trzymać kurs w dalszym ciągu. Sygnał był niezmienny, lecz z wolna nabierał mocy. Minęli łańcuch wulkanów stojących na granicy kontynentu, słupy rozgrzanego powietrza miotaly statkiem. Kiedy minęli wybrzeże i znaleźli się nad wodami, Skop również zaczął narzekać. Obracał swoją wieżyczkę na wszystkie strony, ale nie miał do czego strzelać w takiej odległości od lądu.

Kiedy na horyzoncie ukazały się wyspy, sygnał zaczął się obniżać.

- Teraz zwolnij! - zawołał Jason. - Te wyspy przed nami wyglądają na źródło naszego

sygnału!

Był to kiedyś kontynent unoszący się na płynnym jądrze Pyrrusa. Rozkład ciśnienia się zmienił, masy ładu się przesunęły i kontynent zatonął pod powierzchnią oceanu. Wszystko, co zostało teraz z bujnego życia tego masywu, ograniczało się do łańcucha wysp będących niegdyś szczytami najwyższych gór. Wyspy te, których strome brzegi wyrastały pionowo z wody, gościły ostatnich mieszkańców zaginionego kontynentu. Potomków zwycięzców niezliczonych podbojów. Żyli tu najstarsi z rdzennych Pyrrusan.

- Zejdź niżej - zakomenderował Jason - nad ten wielki wierzchołek. Zdaje się, że sygnał dobywa się właśnie stamtąd. Przypikowali w dół, nad samą górę, lecz nie dostrzegli nic, prócz drzew i spalonej słońcem skały. Jasonowi głowa pękała z bólu. Sprawiało to natężenie nienawiści, która płynęła przez amplifikator do wnętrza jego czaszki. Zdarł z uszu słuchawki i ścisnął głowę rękami. Załzawionymi oczyma dostrzegł chmurę skrzydlatych potworów podrywających się do lotu z gałęzi drzew w dole. Zdażył jeszcze zobaczyć zbocze góry, nim Meta przyspieszyła i statek uniósł się gwałtownie.

- Znaleźliśmy ich! - Ale jej triumf przygasł, gdy zobaczyła twarz Jasona na ekranie komunikatora. - Jak się czujesz? Co ci się stało?

- Czuję się... cały... wewnątrz wypalony... Miewałem do czynienia z wybuchami psi, ale nigdy o takiej mocy! Zauważyłem szczelinę, coś jak wejście do jaskini, na moment przed wybuchem. Zdaje się, że to stamtąd.

- Połóż się - poradziła Meta. - Wracamy z pełną szybkością. Przekażę wiadomość Kerkowi. On musi się zaraz o tym dowiedzieć.

Kiedy schodzili na ziemię, na kosmodromie czekała już grupka ludzi. Ledwie statek dotknął ziemi, ludzie ci wybiegli z budynku stacyjnego, osłaniając twarze od żaru buchającego z dysz. Kerk wskoczył do środka, gdy tylko drzwi się otworzyły, i zaczął szukać Jasona, który leżał na fotelu

- Czy to prawda? - warknął. - Znaleźliście tych zbrodniarzy, którzy rozpoczęli wojnę?

- Powoli, człowieku, powoli - odparł Jason. - Znalazłem źródło promieniowania psi, które tę wojnę podtrzymuje. Nie znalazłem natomiast żadnych dowodów na to, kto tę wojnę rozpoczął, a poza tym nie posuwałbym się do tego, aby ich nazywać zbrodniarzami...

- Mam już dość twoich gierek słownych - przerwał mu Kerk. - Znaleźliście te stwory i macie oznaczone miejsce, w którym się gnieźdzą.

- Na mapie - powiedziała Meta. - Mogłabym tam trafić z zawiązanymi oczyma.

- Świetnie, świetnie - ucieszył się Kerk zacierając ręce z taką siłą, że aż słychać było chrobot zrogowaceń skóry. - Trzeba nie lada wysiłku, aby móc przyswoić sobie myśl, że oto po kilku wiekach wojna może zostać zakończona. Ale nareszcie stało się to możliwe. Zamiast po prostu zabijać te wciąż odradzające się legiony potępieńców, którzy nas atakują, dobierzmy się do ich wodzów. Odnajdziemy ich, zaatakujemy na ich własnym gruncie... i zetrzemy to paskudztwo z powierzchni planety!

- Nic podobnego! - wykrzyknął Jason podnosząc się z wysiłkiem. - Nie ma mowy! Odkąd

przybyłem na tę planetę, wciąż nadstawiam karku i wielokrotnie ryzykowałem własne życie. Sądziś, że robiłem to dla zaspokojenia twoich krwiożerczych instynktów? Ja dążę do pokoju... nie do zniszczenia. Obiecałeś, że się skontaktujesz z tymi istotami, spróbujesz negocjować. Czyżbyś nie był człowiekiem honoru, który dotrzymuje raz danego słowa?

- Zignoruję tę obelgę... chociaż kiedy indziej zabiłbym cię za nią - odrzekł Kerk. - Oddałeś ogromne usługi naszemu ludowi, a my nie wstydzimy się przyznać do zaciągniętego długu. Ale nie oskarżaj mnie o łamanie słowa, którego nie dawałem. Pamiętam dobrze swoje słowa. Obiecałem przyjąć każdy sensowny plan skończenia tej wojny. I właśnie to mam zamiar zrobić. Twój plan wynegocjowania pokoju nie jest sensowny. Zamierzamy zatem zniszczyć wroga.

- Pomyśl najpierw! - zawołał Jason za Kerkiem, który skierował się ku wyjściu. - Co ci szkodzi spróbować przedtem negocjacji albo zawieszenia broni? Dopiero potem, jak to zawiedzie, mógłbyś spróbować innego sposobu.

W pomieszczeniu zaczęło się robić ciasno od natłoku Pyrrusan. Kerk, niemal już przy drzwiach, odwrócił się z powrotem do Jasona.

- Powiem ci, dlaczego nie jestem skłonny próbować zawieszenia broni - rzekł. - Dlatego, że jest to tchórzowskie załatwienie sprawy, właśnie tchórzowskie. Ty możesz je proponować, bo jesteś człowiekiem z za świata. Ale czy naprawdę sądziś, że ja mógłbym choćby przez chwilę zastanawiać się nad takim defetystycznym rozwiązaniem? A mówię to nie tylko za siebie, ale za nas wszystkich tutaj. Nam walka nie przeszkadza i walczyć umiemy. Wiesz, że gdyby ta wojna się skończyła, moglibyśmy zbudować tutaj lepszy świat. A jednocześnie gdybyśmy mieli do wyboru kontynuowanie wojny albo tchórzowski pokój, opowiedzielibyśmy się za wojną. Skończy się ona dopiero, gdy wróg zostanie doszczętnie pokonany!

Przysłuchujący się temu Pyrrusanie wydali pomruk aplauzu i Jason musiał podnieść głos, aby go słyszano:

- Ach, jakie to cudowne. I jakie oryginalne, w twoim mniemaniu. Ale czy nie słyszysz tych oklasków za sceną? To klaszczą duchy tych wszystkich potrzęsających szabelkami sukinsynów, którzy kiedykolwiek nawoływali do szlachetnych wojen. Rozpoznali nawet dawny slogan. My jesteśmy dziećmi światła, a wróg jest tworem ciemności. I nic a nic ich nie obchodzi, że druga strona twierdzi to samo. Powtarzasz te same słowa, które wiodły ludzi na śmierć od zarania ludzkości. „Tchórzowski pokój”, dobre sobie. Pokój oznacza nieistnienie wojny, nieistnienie walki. Jak można nazwać nieistnienie walki tchórzowskim. Co starasz się ukryć pod tym semantycznym krętactwem? Swoje prawdziwe motywy? Wcale się nie dziwię, że się ich wstydzisz... bo ja bym się wstydził. Czemu nie powiesz otwarcie, że podtrzymujesz tę wojnę, ponieważ lubisz zabijać? Że widok ginących istot raduje twoje serce i serca twoich współmorderców i że chcesz je jeszcze bardziej uradować?

W milczeniu Pyrrusan dało się wyczuć napięcie. Czekali na to, co powie Kerk. A Kerk aż pobladł z gniewu.

- Masz rację, Jasonie. Lubimy zabijać. I będziemy. Wszystko na tej planecie, co występuje przeciwko nam, musi zginąć. Dokonamy tego dzieła zagłady z ogromną przyjemnością.

Odwrócił się i wyszedł, a ciężar jego słów zawisł w powietrzu. Inni Pyrrusanie wyszli za nim rozprawiając z podnieceniem. Jason opadł na fotel wyczerpany i pokonany.

Kiedy podniósł głowę, nie było już nikogo... oprócz Mety. Miała na twarzy ten sam wyraz krwiożerczego uniesienia, który znikł, gdy spojrzała na niego.

- Co ty na to, Meto? - burknął do niej. - Żadnych wątpliwości? Ty też uważasz, że zagłada jest jedyną drogą do zakończenia tej wojny?

- Nie wiem - odparła. - Nie jestem pewna. Pierwszy raz w życiu widzę więcej niż jedną odpowiedź na to samo pytanie.

- Gratuluję - rzekł Jason z goryczą. - Znak, że dorastasz.

Jason stał z boku i patrzył, jak do ładowni statku wnoszą śmiercionośny ładunek. Pyrrusanie byli w doskonałych humorach, układając stopy automatów, granatów i bomb gazowych. Kiedy na pokład statku wniesiono plecakową bombę atomową, jeden z nich zaintonował wojowniczą pieśń, którą zaraz podchwycili inni. Może byli szczęśliwi, ale bliskość przygotowywanej przez nich rzezi sprawiła, że Jason poczuł się przygnębiony. Odnosił wrażenie, że stał się w pewien sposób zdrajcą życia. Może forma życia, którą odkrył, rzeczywiście wymagała zniszczenia... ale skąd ta pewność? Bez dokonania choćby najmniejszej próby zawarcia rozejmu takie zniszczenie będzie morderstwem.

Z gmachu dowództwa wyszedł Kerk i wewnątrz statku zawyły pompy startowe. Za kilka minut statek się wzbije w powietrze. Jason podbiegł ciężko i spotkał się z Kerkiem w połowie drogi.

- Jadę z wami, Kerku. Jesteście mi przynajmniej tyle winni za ich odnalezienie.

Kerk wahał się. Nie spodobała mu się ta myśl.

- To misja bojowa - rzekł. - Nie ma miejsca dla obserwatorów ani na dodatkowe obciążenie... I już za późno, żeby nas powstrzymać, Jasonie, wiesz o tym.

- Wy, Pyrrusanie, jesteście najgorszymi kłamcami we wszechświecie - powiedział Jason. - Przecież wiemy obaj, że statek może udźwignąć dziesięć razy większy ciężar niż ten tutaj. A więc pozwolisz mi się z wami zabrać, czy zabronisz bez jakiegokolwiek powodu?

- Wsiadaj - odparł Kerk - ale nie kręć się pod nogami, bo zostaniesz zdeptany.

Tym razem, ponieważ cel był dokładnie określony, lot trwał znacznie krócej. Meta wprowadziła statek w stratosferę po wysokim łuku balistycznym, którego końcem były wyspy. Kerk siedział w fotelu drugiego pilota, a Jason za nimi, skąd widział ekrany. Grupa szturmowa, dwudziestu pięciu ochotników, umieściła się w ładowni, gdzie była złożona broń. Wszystkie ekrany na statku były przełączone na kamerę skierowaną ku przodowi. Widzieli, jak zielona wyspa z wolna się wynurza, a potem niknie za zasłoną ognia z dysz hamujących. Manewrując statkiem ostrożnie Meta wylądowała na płaskiej półce u wylotu jaskini.

Jason był tym razem przygotowany na mentalny wybuch nienawiści... ale i tak odczuł go boleśnie. Strzelcy śmiali się i strzelali w radosnym uniesieniu, gdy wszystkie zwierzęta na wyspie natarły na statek. Mordowali całe ich tysiące, a wciąż nadciągały nowe.

- Musicie to robić? - pytał Jason. - To zwykłe morderstwo, rzeź, takie zabijanie zwierząt.

- Samoobrona - odparł Kerk. - Atakują nas, więc są zabijane. Cóż może być prostszego. A teraz zamknij się albo cię tam do nich rzuć.

Minęło pół godziny, nim ogień nieco osłabł. Zwierzęta wciąż nacierały, ale wyglądało na to, że zmasowane ataki ustały.

- Grupa szturmowa, wysiadać - rzucił Kerk do interkomu - tylko ostrożnie! Oni wiedzą, że tu jesteśmy, i postarają się, żeby nam nie poszło łatwo. Zabierzcie z sobą bombę i sprawdźcie głębokość jaskini. Możemy ich zbombardować z powietrza, ale to nic nie da, jeśli się wryli w litą skałę. Miejcie otwarty ekran, zostawcie bombę w jaskini i wycofajcie się natychmiast, kiedy wam powiem. A teraz naprzód!

Pyrrusanie zbiegli po drabinach i ustawili się w szyku bojowym. Niebawem zostali zaatakowani, ale zwierzęta padały trupem, zanim zdążyły się do nich zbliżyć. Wkrótce człowiek idący na czele znalazł się u wejścia do jaskini. Niósł na piersi kamerę i pozostali na statku mogli obserwować na ekranach postęp grupy szturmowej.

- Wielka jaskinia - mruknął Kerk. - Zakręca i biegnie w dół. Tego się właśnie obawiałem. Bomba zrzucona z góry zamknęłaby tylko jej wylot. Bez żadnej gwarancji, że to co zostałoby w niej zamknięte, nie mogłoby się wydostać jakoś inaczej. Będziemy musieli sprawdzić jej głębokość.

W jaskini było na tyle gorąco, by można było zastosować filtry podczerwieni. Skalne ściany rysowały się czernią i bielą

- Do tej pory żadnych oznak życia - meldował oficer. - U wejścia znaleźliśmy tylko ogryzione kości i odchody nietoperzy. Zupełnie jak w zwyczajnej jaskini... jak dotąd.

Krok za krokiem postępowali naprzód, tylko teraz trochę wolniej. Mimo odporności na napięcie psi, nawet Pyrrusanie zdawali sobie sprawę z kierowanych na nich nieustannie fal nienawiści. Jason, siedzący na statku, odczuwał ból głowy, który zamiast ustępować, stale się pogarszał.

- UWAGA! - krzyknął Kerk wpatrując się w ekran z przerażeniem.

Jaskinia wypełniła się od ściany do ściany bladymi, bezokimi zwierzętami. Nadciągały małymi bocznymi korytarzykami, zupełnie jakby wydostawały się spod ziemi. Ich pierwsze szeregi stopiły się w płomieniach, ale za nimi wciąż podążały dalsze. Obserwatorzy na statku ujrzeli na ekranach, jak jaskinia nagle zawirowała, gdy człowiek niosący na piersi kamerę upadł. Blade ciała zalały swą masą soczewki kamery.

- Szyk zwarty... miotacze płomieni i gaz! - ryknął do mikrofonu Kerk.

Ponad połowa Pyrrusan zginęła w tym pierwszym ataku. Pozostali przy życiu, osłaniani ogniem miotaczy płomieni zaczęli rzuć granaty gazowe. Ich samych chroniły szczelne kombinezony, kiedy część jaskini wypełniła się gazem. Ktoś wygrzebał spod zwałów martwych ciał kamerę.

- Zostawić bombę i wycofać się - rozkazał Kerk. - Mamy i tak dość strat.

Ponieważ oficer poległ, na ekranie ukazała się twarz innego Pyrrusanina.

- Tak jest - odparł - ale teraz, póki działa gaz, równie łatwo byłoby iść dalej, co wycofać się. Jesteśmy za blisko celu, żeby się wycofywać.

- To rozkaz! - krzyknął Kerk, ale Pyrrusanin już znikł z ekranu i grupa szturmowa ruszyła dalej.

Jason tak mocno ścisnął w zdenerwowaniu poręczę fotela, że aż rozboleły go palce. Musiał je sobie rozmasowywać. Na ekranie przesuwała się z wolna czarno-biała jaskinia. Mijała minuta za minutą. Gdy tylko zwierzęta zaczynały atakować, rzucano kilka granatów.

- Widzę przed sobą coś dziwnego - zaskrzeczał zdyszany głos z głośnika. Wąska jaskinia stopniowo rozszerzyła się w gigantyczną komorę, tak wielką, że jej sufit i ściany ginęły w dali.

- Co to takiego? - zapytał Kerk. - Skieruj reflektor trochę w prawo.

Obraz na ekranie był teraz jakby rozmazany i trudny do rozszyfrowania, poznaczony przecinającymi się warstwami skał. Trudno było rozpoznać szczegóły, ale najwyraźniej musiało to być coś niezwykłego.

- Jeszcze nigdy... nie widziałem czegoś podobnego - powiedział ktoś do mikrofonu. - Wygląda na jakieś wielkie rośliny, co najmniej na dziesięć metrów wysokie... ale one się poruszają! Te gałęzie, czułki czy co takiego, wciąż kierują się w naszą stronę i czuję się jakiś zamroczony.

- Trzaśnij w jedną z nich, zobaczymy, co się stanie - poradził Kerk.

Padł strzał i w tej samej chwili zintensyfikowana fala nienawiści przetoczyła się przez ludzi rzucając ich o ziemię. Tarzali się z bólu, zamroczeni i niezdolni do myślenia ani walki z podziemnymi stworami, które ponowiły atak.

Wysoko w górze, na statku, Jason razem z innymi odczuł ten wstrząs i dziwił się, jak tamci w dole mogli to przeżyć. Kerk walił pięścią w ramę ekranu i krzyczał do nie słyszających go ludzi w dole:

- Wycofać się! Wracać!...

Było za późno. Ludzie ledwie się ruszali, kiedy zwycięskie zwierzęta okryły ich chmurą, szarpiąc pazurami miejsca na złączeniach zbroi. Tylko jeden zdołał wstać i oganiał się przed stworami gołymi rękami. Zrobił kilka chwiejnych kroków i pochylił się nad skłębioną masą w dole. Potężnym szarpnięciem ramion wyciągnął z kłębowiska drugiego człowieka. Ten był martwy, ale do ramion miał wciąż przytroczony plecak. Skrwawione palce zaczęły gmerać przy plecaku, a potem obaj ludzie znikli pod falą śmierci.

- To była bomba! - krzyknął Kerk do Mety. - Jeżeli on nie zmienił ustawienia zapłonu, jest nadal nastawiona na dziesięciosekundowe opóźnienie. Uciekajmy!

Ledwie Jason zdążył paść na fotel, a już rakiety startowe zostały odpalone. Przyspieszenie wcisnęło go w fotel i ciągle rosło. Zrobiło mu się czarno przed oczyma, ale nie stracił

świadomości. Przerażliwe wycie powietrza nagle ustało - wyszli z atmosfery.

W momencie gdy Meta wyłączyła napęd, ekrany błysnęły oślepiającym światłem i natychmiast poczerniały. To spaliły się umieszczone na kadłubie obiektywy. Meta włączyła odpowiednie filtry, a potem nacisnęła guzik, który spowodował wymianę obiektywów na nowe.

Daleko w dole, we wrzącym morzu, rosnący grzyb płomieni wypełnił miejsce, gdzie jeszcze przed paroma sekundami była wyspa. Patrzyli na to wszyscy troje, milczący i nieporuszeni. Kerk ocknął się pierwszy.

- Lecimy do domu, Meto, i połącz mnie z Ośrodkiem Dowodzenia. Dwudziestu pięciu ludzi oddało życie, ale spełnili swoje zadanie. Wykończyli te bestie... czymkolwiek były... i położyli kres wojnie. Trudno znaleźć lepszą śmierć.

Meta ustaliła orbitę, następnie wezwała Ośrodek Dowodzenia. - Mam trudności z połączeniem - powiedziała - uzyskałam sygnał od robota, że mogę lądować, ale nikt się nie zgłasza na moje wezwanie.

Na pustym ekranie nagle pojawił się człowiek. Twarz miał zroszoną potem, oczy udrećzone.

- Kerk, to ty? - spytał. - Natychmiast wracajcie. Potrzebna nam siła ogniowa statku na obwodzie. Przed chwilą nastąpił generalny atak ze wszystkich stron, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem, jakby się przeciw nam sprzegły wszystkie moce!

- Co ty mówisz? - wyjąkał Kerk niedowierzająco. - Wojna się skończyła. Wyszliśmy ich w powietrze, zniszczyliśmy całkowicie ich kwaterę główną.

- Mamy tu taką wojnę, jakiej nigdy jeszcze nie było - odparł rozmówca Kerka. - Nie wiem, co tam zrobiliście, ale to rozpętało tutaj całe piekło. A teraz przestań gadać i natychmiast przyprowadź tu statek!

Kerk obrócił się wolno do Jasona z twarzą ściągniętą w wyraz nieokiełznanej zwierzęcej dzikości.

- To ty! Ty to zrobiłeś! Powinienem być cię zabić, gdy tylko cię ujrzałem. Chciałem to zrobić, a teraz wiem, że miałem słuszność. Odkąd przybyłeś, jesteś jak zaraza siejąca wszędzie śmierć. Wiedziałem, że nie miałeś racji, ale dałem się zwieść twojemu przewrotnemu językowi. I spójrz, co się stało. Najpierw zabiłeś Welfa. Potem zamordowałeś tych ludzi w jaskini. Teraz ten atak na obwód... wszyscy, którzy zginą, zginą przez ciebie!

Zbliżał się powoli do Jasona, krok za krokiem, z twarzą wykrzywioną nienawiścią. Jason wciąż się cofał, lecz w końcu dotknął palcami szafki z mapami i dalej już nie mógł się posuwać. Kerk wyciągnął rękę i smagnął go po twarzy - nie był to cios, jaki zadaje się w walce, lecz uderzenie otwartą dłonią. f chociaż Jason ugiął się, aby je osłabić, było tak silne, że runął na podłogę. Rękę miał przy szafce z mapami, palce na zapieczętowanych rurach z perforowanymi matrycami kursów międzyorbitalnych.

Jason chwycił jedną z ciężkich rur obiema rękami, wyciągnął i cisnął z całych sił w twarz Kerka. Rura przecięła skórę na czole i kości policzkowej olbrzymiego mężczyzny i twarz

załała się krwią. Ale nie powstrzymało go to ani na chwilę. W jego uśmiechu nie było ani krzty litości, gdy schylił się i dźwignął Jasona na nogi. - Broń się -- powiedział - tym większą będę miał przyjemność, gdy cię zabiję. - Uniósł granitową pięść, która zdolna była roztrzaskać Jasonowi głowę.

- Proszę - Jason przestał się szarpać - zabij mnie. Możesz to zrobić z łatwością. Tylko nie nazywaj tego sprawiedliwym czynem. Welf zginął, aby mnie ocalić. Ale ci ludzie na wyspie zginęli przez twoją głupotę. Ja chciałem pokoju, a ty wojny. Teraz ją masz. Zabij mnie, aby uciszyć swoje sumienie, bo prawda jest dla ciebie czymś, czemu nie potrafisz stawić czoła.

Z rykiem wściekłości Kerk opuścił pięść przypominającą kafar. W tej samej chwili Meta uczepliła się jego ramienia obiema rękami i odciągnęła je w bok, nim pięść zdołała sięgnąć celu. Padli na ziemię wszyscy troje, nieomal miażdżąc Jasona.

- Nie rób tego! - krzyczała Meta. - Jason nie chciał, żeby ci ludzie schodzili na ziemię. To był twój pomysł. Nie możesz go za to zabijać.

Kerk, szalejący z wściekłości, nie słyszał nic. Odwrócił się do niej i wyszarpnął ramię. Była kobietą i nie mogła się z nim równać. Ale była Pyrrusanką i dokonała tego, czego nikt spoza jej świata nie mógłby dokonać. Powstrzymała go na ułamek chwili, zahamowała furię jego ataku, póki nie wyszarpnął ramienia i nie odtrącił jej na bok. Te sekundy pozwoliły Jasonowi doskoczyć do drzwi.

Jason zatrzasnął za sobą drzwi słuzy i zasunął rygiel. W następnym momencie Kerk wyrzwał w drzwi całym ciężarem swego ciała. Metal zgrzytnął i wygiął się ustępując. Jeden zawias był wyrwany, drugi trzymał się na strzępie metalu. Przy następnym natarciu musiał ustąpić.

Uciekający nie czekał, aż to się stanie. Nie czekał, żeby zobaczyć, czy drzwi powstrzymają szalejącego Pyrrusanina. Żadne drzwi nie mogły go powstrzymać. Uciekał korytarzem, ile sił w nogach. Na statku nie było dla niego bezpiecznego miejsca, musiał się więc wydostać na zewnątrz. Pokład ratowniczy był tuż.

Odkąd je pierwszy raz zobaczył, dużo myślał o raketach ratowniczych. Chociaż oczywiście nie przewidywał obecnej sytuacji, wiedział, że może przyjść pora, gdy będzie potrzebował własnego środka lokomocji. Rakiety ratownicze nadawały się do tego celu najlepiej, tylko że według Mety nie posiadały paliwa. Co do jednego miała całkowitą słuszność - ta rakietka, z której prowadził zamiar promieniowania psi, miała puste baki, sprawdził to osobiście. Było jednak jeszcze pięć innych rakiet, których nie badał. Zastanawiał się nad celem istnienia takich bezużytecznych rakiet ratowniczych i doszedł do słusznego, jak się spodziewał, wniosku.

Ten statek kosmiczny był jedyny, jaki Pyrrusanie posiadali.

Kiedyś Meta powiedziała, że już dawno zaplanowali kupno drugiego, ale jeszcze tego nie zrobili. Zawsze wypływały jakieś ważniejsze potrzeby wojenne. Właściwie wystarczył im w zupełności jeden statek międzyplanetarny. Jediną trudność stanowiła konieczność stałego używania statku, bo w przeciwnym razie miasto Pyrrusan uległoby zagładzie. Bez dostaw z zewnątrz zostałyby starte z powierzchni planety w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Zatem załoga statku nie brała nawet pod uwagę ewentualności jego opuszczenia. Nie mogła go opuścić nawet w największych tarapatach. Gdyby zginął statek, zginąłby cały ich świat.

Przy takim założeniu nie było potrzeby zaopatrywać raket ratowniczych w paliwo. Przynajmniej wszystkich. Aczkolwiek wydawało się celowe, żeby chociaż jedna z nich posiadała paliwo na krótkie rejsy, na które nie warto było używać statku macierzystego. W tym punkcie logiczny łańcuch Jasona zaczął się rwać. Za wiele w nim było „jeżeli”. Jeżeli w ogóle używano raket ratowniczych, jedna z nich powinna być zaopatrywana w paliwo. Jeżeli bywała zaopatrywana, powinna być zaopatrzona teraz. A jeżeli jest zaopatrzona, to która z sześciu znajdujących się na statku? Jason nie miał czasu na sprawdzanie. Od razu musiał do niej trafić.

W końcu jego rozumowanie dostarczyło mu odpowiedzi. Jeżeli którakolwiek z raket ratowniczych miała paliwo, to z pewnością najbliższa kabiny sterowniczej. Ta, do której teraz biegł. Życie Jasona zależało od całego łańcucha domysłów. Za jego plecami drzwi rozwały się z trzaskiem. Kerk ryknął i skoczył. Jason wpadł do wnętrza rakiety, chwycił obiema rękami dźwignię rozrusznika i pociągnął.

Zabrzmiął sygnał alarmowy i drzwi zatrzasnęły się z hukiem, dosłownie tuż przed nosem Kerka. Tylko jego pyrryjski refleks sprawił, że go nie zmiażdżyły.

Ryknęły napędzane stałym paliwem dysze i rakietka oderwała się od macierzystego statku. Krótkotrwałe przyspieszenie rzuciło Jasona o podłogę, a potem nagle oderwało od niej, w wyniku swobodnego spadku rakiety. Główne dysze napędowe nie odpaliły.

Był to moment, w którym Jason poznał, co to znaczy stanąć oko w oko ze śmiercią. Bez paliwa rakietka musiała spaść jak kamień w dżunglę w dole i roztrzaskać się przy zetknięciu z ziemią. Nie było dla niego ratunku.

W następnej chwili ryknęły główne dysze napędowe i Jason znów znalazł się na podłodze z rozbitym nosem. Usiadł, roztarł nos i uśmiechnął się. A więc w końcu jest paliwo - opóźnienie rozruchu silników stanowiło część cyklu startowego, aby rakietka miała czas na oddzielenie się od statku. Teraz należało tylko ująć stery. Wsunął się na siedzenie pilota.

Wysokościomierz przekazywał informacje automatycznemu pilotowi, który wyrównał lot na równoległy do powierzchni ziemi. Urządzenia sterownicze, tak jak we wszystkich raketach ratunkowych, były dziecinnie proste, przeznaczone do użytku nowicjuszy w przypadkach awaryjnych. Pilot automatyczny nie mógł być wyłączony i korygował wszystkie zbyt ryzykowne manipulacje ręcznymi sterami. Jason gwałtownie skrzył sterownicę, chcąc zatoczyć ciasny krąg, zaś automatyczny pilot złagodził ten manewr do lekkiego łuku.

Jason zobaczył przez szybę, że statek macierzysty, zionąc ogniem z dysz, robi znacznie ostrzejszy skręt. Nie wiedział, kto go pilotuje i co ten ktoś zamierza uczynić - więc nie ryzykował. Pchnął sterownicę od siebie i zaklął, bo uzyskał tylko łagodne obniżenie lotu. Statek macierzysty nie miał takich ograniczeń w manewrowaniu. Zmienił nagle kurs i zapikował za nim. Przednia wieżyczka wystrzeliła pociski i wybuch przy rufie zachwiał rakietką. Spowodował wyłączenie automatycznego pilota lub zmusił go do uległości. Powolne obniżanie lotu przemieniło się w gwałtowny manewr nurkujący i nagle przed oczyma Jasona zafalowała dżungla.

Jeszcze tylko pociągnął gwałtownie sterownicę do siebie i zakrył twarz, nim nastąpiło zderzenie.

Łoskot wybuchu silników i trzask łamanych drzew zakończyły się ogromnym chlupnięciem.

Nastąpiła cisza i dym z wolna się rozwiął. Wysoko w górze statek międzyplanetarny krążył niepewnie. Najpierw obniżył trochę lot, jakby chcąc wylądować, potem wzbił się znowu, ponaglany rozpaczliwym wołaniem o pomoc z zagrożonego miasta. Lojalność wzięła górę nad ciekawością i statek ziejąc ogniem z dysz zawrócił ku domowi.

Gałęzie osłabiły upadek rakiety, przednie dysze spełniły swoją rolę powodując wytracenie pędu, a bagno zamortyzowało nieco uderzenie. Upadek jednak pozostał upadkiem. Pogruchootany cylinder rakiety zatapiał się wolno w stojącej wodzie i błotach bagniska. Dziób był już mocno zanurzony, nim Jason zdołał wyważyć luk awaryjny w połowie długości rakiety.

Nie wiedział, czy i kiedy rakietka zatonie, i nie był w stanie się nad tym zastanawiać. Skrwawiony i potłuczony, znalazł zaledwie dość siły, aby się z niej wydostać. Brnąc w błocie i coraz to padając, wydostał się na suchy ląd i usiadł na pierwszym z brzegu pniu.

Za jego plecami bagno zabulgotało i rakietka skryła się pod wodą. Jeszcze przez chwilę wypływały na powierzchnię bańki uwiecznionego w rakiecie powietrza, potem przestały. Woda uspokoiła się i jeśli nie liczyć powalonych drzew, nic nie wskazywało na to, że w ogóle lądował tu statek.

Nad bagnem brzęczały komary i jedynym dźwiękiem, który przerwał ciszę lasu, był krwiożerczy ryk zwierzęcia rzucającego się na upatrzoną na obiad ofiarę. Gdy echa tego ryku odpłynęły, znów zapanowała cisza.

Jason z wysiłkiem wyrwał się z transu. Czuł się, jakby go przepuszczono przez maszynkę do mięsa, i w głowie miał pustkę. Po kilku chwilach doszedł do wniosku, że najbardziej jest mu w tej chwili potrzebny medpakiet. Z ogromnym trudem odpiął zwykle łatwo puszczejący zatrzask, ale przycisk uruchamiający aparaturę nie działał. W końcu Jason musiał włożyć rękę pod otwór i przycisnąć całe urządzenie. Rozległo się pracowite buczenie i chociaż nie czuł ukłucia igieł, domyślił się, że urządzenie zadziało. Na chwilę pociemniało mu w oczach, potem słabość minęła. Środki uśmierzające zaczęły działać i z wolna ciemna chmura, która spowijała jego umysł od momentu zderzenia rakiety z ziemią, zaczęła się rozpraszać.

Powoli przychodził do siebie. Ogarnęło go poczucie samotności. Był bez jedzenia, bez przyjaciół, otoczony wrogimi siłami obcej planety. Starał się opanować ogarniające go uczucie paniki.

- Musisz myśleć, Jasonie, a nie kierować się emocjami. - Powiedział to głośno, aby się uspokoić, i zaraz tego pożałował, bo jego głos zabrzmiał słabiutko w tej pustce i podźwiewał histerię. Coś cisnęło go w krtani, więc odkaslnął i splunął krwią. Patrząc na czerwoną plamkę poczuł nagły gniew. Znienawidził tę planetę śmierci i niewiarygodną głupotę ludzi, którzy ją zamieszkiwali. Zaklął głośno i tym razem głos jego nie brzmiał już tak wątle, jak przedtem. W końcu rozwrzeszczał się i jał wygrażać pięścią nie wiedzieć komu i czemu, ale to pomogło. Gniew odegnał lęk i przywrócił poczucie rzeczywistości.

Siedzenie na ziemi sprawiało teraz przyjemność. Słońce przygrzewało, a kiedy oparł się o coś plecami, mógł niemal zapomnieć o nie kończącej się udreće podwójnej grawitacji. Gniew rozproszył lęk, odpoczynek usunął zmęczenie. Gdzieś z podświadomości wynurzył się stary frazes: „póki życia, póty nadziei”. Skrzywił się na banalność tych słów, zdając sobie jednocześnie sprawę z podstawowej prawdy, o której mówiły.

Rozpatrzył swoje aktywa. Jest potłuczony, ale żywy. Żadne stłuczenie nie wygląda poważnie i żadna kość nie jest złamana. Jego pistolet nadal funkcjonuje, chowa się i wysuwa z pochwy posłuszny impulsom myśli. Pyrrusanie umieją produkować solidne urządzenia. Medpakiet też działa. Jeśli więc zachowa rozsądek i potrafi utrzymać kierunek, to żywiąc się tym, co napotka po drodze, powinien zdołać dotrzeć do miast. Jakże mu tam zgotują przyjęcie, to już całkiem inna sprawa. Przekona się o tym na miejscu. Najpierw musi się tam dostać.

Po stronie pasywów stała planeta Pyrrus, wysysająca siły grawitacja, mordercza pogoda, krwiożercze zwierzęta. Czy zdoła przeżyć? Jakby dla uwypuklenia tych myśli niebo pociemniało i nadciągający deszcz zaszumiał w lesie. Jason zerwał się na nogi i obrał kierunek marszu, nim deszcz zaciemni pole widzenia. Na horyzoncie majaczył mgliście poszarpany łańcuch górski. Jason pamiętał, że przelatywali nad nim po wystartowaniu z miasta. Musi dotrzeć do tych gór. Potem będzie się martwił o dalszy etap podróży.

Podmuchy wiatru niosły kurz i liście, potem Jasona zmoczył deszcz. Przemokły, zamarznięty, już na początku marszu zmęczony, przeciwstawiał tej planecie śmierci chwiejną i niepewną siłę własnych nóg.

Nadszedł zmrok, a deszcz wciąż padał. Ciemność nie pozwalała na utrzymanie właściwego kierunku i nie było sensu iść dalej. Ponadto Jason był na skraju zupełnego wyczerpania. Noc zapowiadała się na dżdżystą. Drzewa były grube i śliskie i nie mógłby się wspiąć na żadne z nich nawet w jednogięowym świetle. Miejsca osłonięte, które spenetrował - pod zwalonymi pniami i w gęstwinie krzaków - były równie mokre jak reszta lasu. W końcu skulił się po zawietrznej stronie jakiegoś drzewa i zasnął dygocząc z zimna w strugach oblewającej go wody.

Deszcz ustał około północy i temperatura znacznie się obniżyła. Jasonowi śniło się, że zamarza, i kiedy się obudził, stwierdził, że sen o mało nie stał się rzeczywistością. Prószył drobny śnieżek, przysypując ziemię, a wiatr niósł go na Jasona. Mróz kąsał, a kichnięcie wywoływało ból w piersi. Obolałe i zdrętwiałe ciało pragnęło tylko spoczynku, ale ostatnia iskierka rozsądku zmusiła Jasona do powstania. Jeżeli będzie leżał, na pewno umrze. Opierając się jedną ręką o pień drzewa, aby nie upaść, zaczął dreptać wokół. Powłócząc nogami chodził tak wkoło drzewa, aż chłód nieco ustąpił. Znużenie spowiło go niby kłępujący ruchy szary koc. Chodził tak i chodził dookoła drzewa z zamkniętymi przez większość czasu oczyma, które otwierał tylko wtedy, gdy upadł i musiał z wysiłkiem dźwignąć się znów na nogi.

O świetle słońce wyprażyło śnieżne chmury. Jason oparł się plecami o pień i mrużąc powieki patrzył w niebo bolącymi oczyma. Gdzie spojrzeć, ziemia była biała, tylko wokół drzewa czerniała wydeptana przez niego błotnista ścieżka. Wsparty o gładki pień drzewa, Jason osunął się na ziemię, wystawiając ciało na działanie promieni słonecznych.

Z wyczerpania kręciło mu się w głowie i usta miał popękane z pragnienia. Nieustający kaszel szarpał mu płuca ognistymi pazurami. Chociaż słońce stało jeszcze nisko, jego promienie prażyły skórę, gorącą i suchą.

Nie było dobrze. Myśl ta nękała nieustannie jego umysł, póki wreszcie się z tym nie pogodził. Zastanawiał się i zastanawiał, czemu nie było dobrze? Że czuje się, jak czuje.

Zapalenie płuc. Miał wszystkie jego symptomy.

Wyschnięte wargi pękły, gdy się uśmiechnął, i krew je zwilżyła. Uniknął wszystkich niebezpieczeństw ze strony świata zwierzęcego na Pyrrusie, wszelkich drapieżników i trujących gadów, a uległ najmniejszej bestii. Ale ma na nią lekarstwo. Podwinąwszy rękaw drżącymi palcami, przyłożył medpakiet do obnażonego ramienia. Aparat pstryknął i zaczął buczeć, wiedział, że to coś oznacza, ale nie pamiętał co. Uniósł aparaturę do góry i zobaczył, że jedna ze strzykawek wystaje do połowy ze swojej oprawki. Jasna sprawa. W strzykawce nie ma antybiotyku, którego zażądał analizator. Wymagała ponownego napełnienia.

Jason zaklął i wyrzucił bezużyteczne urządzenie. Upadło w wodę i zatoneło. Koniec z lekami, koniec z medpakietem, koniec z Jasonem dinAlt. Samotnym bojownikiem walczącym z niebezpieczeństwami planety śmierci. Wystarczyło, że spędził zaledwie dzień, zdany na własne siły, a już miał podpisany na siebie wyrok śmierci.

Zdławiony ryk rozdarł ciszę za jego plecami. Jason obrócił się, padł na ziemię i strzelił jednym płynnym ruchem. Zanim do jego świadomości dotarło, co się stało, już było po wszystkim. Pyrryjski trening usytuował jego refleks na płaszczyźnie przedkorowej. Jason patrzył na ohydną bestię dogorywającą o krok od niego i zdał sobie sprawę, że nieźle go wyszkolono.

Pierwszą reakcją był żal, że zabił jednego z psów karczowników. Kicdy się jednak bliżej przypatrzył zwierzęciu, stwierdził, że ma ono nieco inne plamy na sierści, wielkość i usposobienie. Aczkolwiek miało cały przód wyrwany i krew z niego tryskała przedśmiertnymi bryzgami, mimo to starało się dopaść Jasona. Zanim mgła śmierci zasnuła oczy zwierzęcia, zdołało doczołgać się niemal do jego stóp.

Nie był to pies karczowników, chociaż istniała szansa, że stanowił jego dzikiego pobratymca. Pozostawał z nim w takim samym stosunku pokrewieństwa, co wilk z psem. Jason zastanawiał się, czy istnieje jeszcze jakieś podobieństwo tych zwierząt do wilków. Czy także polują stadami?

Na myśl o tym uniósł wzrok - i zrobił to w samą porę. Wśród drzew poruszały się ogromne cielska otaczające go kołem. Kiedy ustrzelił dwa z nich, pozostałe warcząc cofnęły się w las. Lecz nie odstępowały. Wcale nie wystraszone śmiercią towarzyszy, stały się jeszcze bardziej natarczywe.

Jason siedział oparty plecami o drzewo i czekał, aż któreś się zbliży, i wtedy strzelał. Za każdym strzałem i śmiertelnym rykiem, rozjuszone zwierzęta atakowały zajadłej. Niektóre rzucały się na siebie wzajem, dając upust rosnącej wściekłości. Jedno z nich stanęło na tylnych łapach i darło pazurami wielkie płyty kory z drzewa. Jason strzelił do niego, ale było za daleko, aby mógł trafić.

Zdał sobie sprawę, że gorączka, która go trawiła, miała swoje dobre strony. Wiedział, iż będzie żył tylko do zachodu słońca albo do chwili wyczerpania się amunicji. Jednakże nie trapił się tym faktem. Był zobojętniały na wszystko. Siedział całkowicie odprężony, podnosząc rękę tylko po to, aby oddać strzał. Co kilka minut musiał wstawać i zaglądać za pień drzewa, czy któreś ze zwierząt nie zachodzi go od tyłu. Pomyślał, że lepiej by było siedzieć za jakimś mniejszym drzewem, ale nie chciało mu się tracić sił na zmianę miejsca.

Gdzieś po południu wystrzelił ostatni nabój. Zabił nim zwierzę, któremu pozwolił podejść bardzo blisko. Zauważył przedtem, że na większą odległość chybia. Zwierzę ryknęło i padło bez życia, a inne zawyły i cofnęły się. I właśnie wtedy drugie zwierzę odsłoniło się i Jason

pociągnął za cyngiel.

Usłyszał tylko cichutkie pstryknięcie. Spróbował jeszcze raz, w nadziei, że to niewypał, ale znów usłyszał tylko pstryknięcie. Magazynek był pusty, tak samo zresztą jak ładownica z zapasowymi magazynkami u pasa. Przypomniawszy sobie mgliście, że je wymieniał, ale nie pamiętał, kiedy ani ile razy.

A więc nadszedł koniec. Mieli rację ci, którzy mówili, że Pyrrus go zmoże. Chociaż nie powinni byli tego mówić. Ich w końcu Pyrrus też zabije. Pyrrusanie nigdy nie marli w łózkach. Dawni Pyrrusanie nigdy nie umierali, byli po prostu zjadani.

Teraz, gdy już nie musiał mieć się na baczności i strzelać, gorączka wzięła nad nim górę. Chciał spać i wiedział, że będzie to długi sen. Spod na wpół przymkniętych oczu patrzył, jak krwiożercze zwierzęta powoli zacieśniają krąg. Jedno z nich znalazło się na odległość skoku - Jason widział jego prężące się mięśnie.

Skoczyło. Wywijając kozła w powietrzu i padając bezwładnie na ziemię. Krew ciekła mu z rozwartej paszczy, a z boku głowy wystawał krótki metalowy belt.

Z zarośli wyszli dwaj mężczyźni i stanęli patrząc na leżącego Jasona. Sama ich obecność wystarczyła, aby zwierzęta umknęły. Karczownicy. Jasonowi tak się spieszyło do miasta, że zapomniał o karczownikach. Był bardzo rad, że przyszli, że w ogóle istnieją. Nie mógł mówić, więc uśmiechnął się do nich z wdzięcznością. Sprawilo mu to ból i po chwili zapadł w sen.

Jason nie wiedział, co się z nim później działo. Pozostało mu tylko w pamięci mgliste wrażenie ruchu, otaczających go wielkich zwierząt, zarys ścian, zapach dymu drzewnego, szmer głosów. Czuł się zbyt zmęczony, aby to miało dla niego większe znaczenie. Było mu dużo łatwiej niczym się nie interesować.

- Najwyższy czas - rzekł Rhes. - Jeszcze parę dni takiego leżenia bez czucia, a bylibyśmy cię pogrzebali, mimo że wciąż oddychałeś.

Jason patrzył na niego mrugając powiekami i próbując skupić wzrok na rozmazanym zarysie twarzy nad sobą. W końcu poznał Rhesa i chciał mu odpowiedzieć, ale skończyło się tylko na ataku wyczerpującego kaszlu. Ktoś przyłożył mu kubek do warg i słodki płyn spłynął mu w gardło. Jason odpoczął i spróbował znowu:

- Od jak dawna tu jestem? - Głos był słaby i jakiś daleki. Jason ledwie go rozpoznał.

- Od ośmiu dni. Czemu nie słuchałeś tego, co ci mówiłem? - rzekł Rhes. - Powinieneś być zostać przy statku. Nie pamiętasz, co mówiłem o lądowaniu w jakimkolwiek miejscu na tym kontynencie? Nieważne, za późno, żeby się tym martwić. Na przyszłość słuchaj, co do ciebie mówię. Nasi ludzie działali szybko i byli na miejscu rozbicia statku przed zmrokiem. Znaleźli poobalane drzewa oraz miejsce zatopienia statku i początkowo sądzili, że ty też utonąłeś. Potem jeden z psów wytropił twój ślad, ale zgubił go w nocy na bagnach. Ludzie dobrze się namęczyli w tym błocie i śniegu, zanim znów natrafili na twój trop. Następnego popołudnia już chcieli słać po pomoc, ale usłyszeli twoje strzały. Z tego, co słyszę, przybyli w samą porę. Szczęście, że jeden z nich był mówcą i skłonił te dzikie psy do odejścia. W przeciwnym razie musieliby je wszystkie pozabijać, a to byłoby niezbyt pożądane.

- Dzięki za ocalenie - powiedział Jason. - Byłem naprawdę w nie lada opałach. Co się później stało? Byłem pewny, że już po mnie. Rozpoznałem u siebie wszystkie objawy zapalenia płuc. A to, w moich warunkach, przy braku leczenia, gwarantowało śmierć. Wygląda, że nie miałeś racji, twierdząc, iż wasze leki są na nic... w moim przypadku podziałały.

Umilkł widząc, że Rhes pokręcił głową przecząco, a na jego twarzy odmalowało się przygnębienie. Jason rozejrzał się i zobaczył Naxę i jeszcze jednego mężczyznę. Byli przygnębieni, podobnie jak Rhes.

- Co się stało? - spytał Jason, wietrząc jakieś nieszczęście. - Jeżeli wasze leki nie podziałały, to co mnie uleczyło? Nie medpakiet. Był przecież zużyty. Pamiętam, że go zgubiłem albo wyrzuciłem.

- Konalesz - zaczął wyjaśniać Rhes. - Nie mogliśmy cię wyleczyć. Tylko maszyna lecznicza śmieciarzy mogła to zrobić.

Wzięliśmy ją od kierowcy ciężarówki, która zabiera od nas żywność.

- Ale jak? - zapytał oszołomiony Jason. - Mówiłeś mi, że miasto wzbrania wam swoich leków. Kierowca nie mógł wam dać własnego medpakietu, chyba że...

Rhes kiwnął głową i dokończył:

- ... był martwy. Oczywiście, że był martwy. Sam go zabiłem. Zrobiłem to z ogromną przyjemnością.

Jason czuł się zdruzgotany. Opadł na poduszki myśląc, o tych wszystkich, którzy zginęli, odkąd przybył na Pyrrusa. O ludziach, którzy oddali życie, aby go ocalić, aby on mógł żyć, którzy oddali życie dla jego idei. Dźwigał na sobie ciężar winy, o którym nie mógł nawet myśleć. Czy skończy się na samym Krannonie... czy ludzie z miasta spróbują pomścić jego śmierć?

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, co to znaczy! - wydyszał z trudem. - Śmierć Krannona obróci miasto przeciwko wam. Nie będzie więcej dostaw. Zaczną was atakować, zabijając...

- Wiemy o tym doskonale! - Rhes pochylił się, głos jego stał się chrapliwy, pełen napięcia. - Nie była to łatwa decyzja. Zawsze prowadziliśmy handel wymienny ze śmieciarzami. Ciężarówki przewożące towary są nietykalne. To była nasza jedyna i ostatnia więź z galaktyką, a także nadzieja skontaktowania się z nią.

- A jednak zerwaliście ją, aby mnie ocalić... czemu?

- Tylko ty możesz nam dać pełną odpowiedź na to pytanie. Na miasto został przypuszczony potężny szturm, widzieliśmy, jak pękają jego mury. W jednym miejscu musiały nawet ulec przesunięciu. W tym samym czasie statek kosmiczny znajdował się nad oceanem i rzucał jakieś bomby... donoszono o wielkich rozbłyskach. Potem statek powrócił i ty z niego uciekłeś na mniejszym. Strzelali do ciebie, ale cię nie zabili. Mniejszy statek też nie uległ zniszczeniu. Podjęliśmy próbę wydobycia go z bagien. Co to wszystko znaczy? Nie mieliśmy pojęcia. Wiedzieliśmy tylko, że dzieje się coś ogromnie ważnego. Byłeś żywy, ale na pewno byś umarł, nim zdołałbyś nam to wytłumaczyć. Ten mały statek może się da naprawić. Może

to właśnie był twój plan i dlatego ukradłeś ten statek dla nas. Nie mogliśmy pozwolić ci umrzeć, choćby to miało nas kosztować otwartą wojnę z miastem. Przedstawiliśmy sytuację naszym ludziom, których zdołaliśmy osiągnąć przez komunikatory, i wszyscy byli za tym, żeby cię ocalić. Zabiłem więc śmieciarza dla leków, jakie miał przy sobie, a potem zajeździłem na śmierć dwa dorymy, aby zdążyć tu na czas. A teraz powiedz nam, co to wszystko znaczy. Jaki jest twój plan? W jakim stopniu nam pomoże?

Poczucie winy zaciążyło na Jasonie i odebrało mu mowę. Przyszła mu na myśl pradawna legenda o Jonie, który rozbił statek i wszyscy na nim zginęli, a on sam przeżył. Czyżby był jak ten Jona? Czy zniszczył świat? Jakżeby mógł przyznać się tym ludziom, że wziął raketę tylko po to, aby ocalić własną skórę?

Pyrrusanie pochylili się czekając na jego słowa. Jason zamknął oczy, aby nie widzieć ich twarzy. Cóż mógł im powiedzieć? Gdyby wyznał prawdę, zabiliby go z miejsca, uznając to za sprawiedliwe załatwienie sprawy. Wcale się nie bał śmierci, ale gdyby umarł, śmierć tamtych wszystkich byłaby daremna. A przecież nadal istniała możliwość położenia kresu tej wojnie planetarnej. Miał teraz w ręku potrzebne fakty, pozostało . tylko je zestawzić. Gdyby nie był tak zmęczony, dostrzegłby rozwiązanie. Było tuż, w jakimś zakamarku jego mózgu, czekało, aby je wywlec na światło dzienne.

Nagle zadudniły czyjeś ciężkie kroki przed chatą i zabrzmiał stłumiony krzyk. Nikt prócz Jasona nie zwrócił na to uwagi. Każdy czekał w napięciu na jego odpowiedź. Jason wyteżał umysł, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Cokolwiek zrobi, nie może teraz wyznać prawdy. Gdyby umarł, umarłaby wraz z nim wszelka ich nadzieja. Musi skłamać, by zyskać na czasie, a potem znajdzie właściwe rozwiązanie, które wydaje się tak złudnie bliskie. Był jednak zbyt zmęczony, by móc wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo.

Nagle ciszę pokoju rozerwał trzask otwieranych drzwi. Stał w nich krępy, sękaty mężczyzna z czerwoną z gniewu twarzą, którą okalała siwa broda.

- Pogłuchliście? - warknął. - Jadę całą noc i zdieram sobie krzykiem płuca, a wy siedzicie jak kwoki na jajach. Uciekać! Trzęsienie ziemi! Zbliża się wielkie trzęsienie ziemi!

Zerwali się na równe nogi zarzucając go bezładnymi pytaniami. Głos Rhesa przebił się przez wrzawę:

- Hananas! Ile mamy czasu?

- Ile czasu! Któż to może wiedzieć! - Siwobrody zaklął. - Uciekajcie, bo zginiecie, tyle tylko wiem.

Teraz nikt nie tracił czasu na gadanie. Zakotłowało się i w niecałą minutę Jason został przywiązany do lektyki na grzbiecie doryma.

- Co się dzieje? - zapytał człowieka, który go przywiązywał. - Zbliża się trzęsienie ziemi - odparł ów człowiek zaciskając węzły. - Hananas jest naszym najlepszym przeczuwaczem, zawsze czuje, kiedy ma nastąpić trzęsienie. Jeśli ludzie zostają w porę uprzedzeni, to uchodzą z życiem. Przeczuwacze mówią, że zawsze czują, kiedy ma przyjść trzęsienie ziemi. - Zacisnął ostatni węzeł i odszedł.

Zapadła noc, gdy wyruszali, i czerwieni zachodu towarzyszyła szkarłatna poświata na

północnym niebie. Zabrzmiał odległy łoskot, raczej wyczuwalny niż słyszalny, i ziemia zadrgała pod nogami zwierząt. Dorymy przeszły w posuwisty galop, mimo że nie były ponaglone. Przebiegły przez bagnisko rozbryzgując błoto, a wtedy Hananas zmienił nagle kierunek ucieczki. W chwilę później, gdy niebo na południu eksplodowało, Jason zrozumiał tę nagłą zmianę kierunku. Buchające w górę płomienie oświetliły krajobraz, na drzewa posypał się popiół i gorące odłamki skał. Leżąc na ziemi jeszcze parowały i gdyby nie deszcz, który spadł ubiegłej nocy, zapaliłby się las.

Równoległe do kierunku jazdy majaczyło coś wielkiego i kiedy wypadli .na otwartą przestrzeń, Jason przyjrzał się temu w odblasku ogni na niebie.

- Rhesie!... - krzyknął i głos uwiązał mu w krtani. Rhes, który jechał obok niego, spojrzał na ogromne zwierzę, kosmate cielsko i kręte rogi sięgające im niemal do ramion, i odwrócił głowę. Nie przstraszyło go ani nawet nie zaciekawilo. Wówczas Jason rozejrzał się i zaczął rozumieć.

Umykające zwierzęta nie wydawały żadnych dźwięków, dlatego nie zauważył ich wcześniej. Po obu stronach przemykały ciemne kształty. Niektóre z nich poznawał, większości nigdy nie widział. Przez kilka minut biegła obok zgraja dzikich psów, nawet mieszając się z udomowionymi. Nikt na to nie zważał. W powietrzu trzepotały skrzydła stworów latających. Wobec groźby ziejącej z wulkanów zapomniano o toczonych dotąd bojach. Życie respektowało życie. Stado tłustych, przypominających świnie zwierząt o zakrzywionych kłach przemykało się pomiędzy nimi. Dorymy zwolniły, uważając, aby nie potracić któregoś z nich. Mniejsze zwierzęta czepiały się czasami grzbietów większych, aby przejechać w ten sposób kawałek drogi, a potem zeskakiwały.

Podrzucany niemiłosiernie w lektyce Jason zapadł w lekki sen, pełen rojeń o pędzących bezgłośnie zwierzętach. Czy miał oczy zamknięte, czy otwarte, wciąż widział ten sam nie kończący się sznur zwierząt.

Wszystko to coś oznaczało i Jason zmarszczył brwi, starając się domyślić, co. Zwierzęta w biegu, pyrryjskie zwierzęta.

Nagle siadł prosto, całkiem oprzytomniały i spojrzał wokół w nagłym olśnieniu.

- O co chodzi? - spytał Rhes zbliżywszy się na swoim dorymie.

- Jedźmy - odparł Jason. - Wyciągnij nas z tego niebezpieczeństwa, a powiem ci, jak twoi ludzie mogą dostać, co chcą, zakończyć tę wojnę. Jest na to sposób i ja go znam.

Z tej nocnej jazdy pozostał Jasonowi w pamięci jedynie szereg nie powiązanych z sobą obrazów. Niektóre z nich były ostro zarysowane, na przykład widok wielkiej jak statek kosmiczny bryły rozżarzonego żużlu, która wpadła do jeziora koło nich, opryskując ich gorącymi kroplami wody. Ale głównie zachował wrażenie nie kończącej się jazdy, którą, będąc wciąż bardzo osłabiony, nie przejmował się zbyt. O brzasku obszar zagrożenia pozostał za nimi i tempo marszu znacznie osłabło. Zwierzęta znikły udając się własną drogą, wciąż w milczącym zawieszeniu broni.

Pokój spowodowany wspólnie zagrażającym niebezpieczeństwem wkrótce się jednak skończył. Jason przekonał się o tym na własnej skórze, kiedy zatrzymali się na odpoczynek. Chciał usiąść z Rhesem na miękkiej trawie nie opodal zwałonego drzewa. Uprzedził ich w

tym jednak dziki pies. Leżał pod pnem, mięśnie miał sprężone do skoku, a oczy połyskiwały mu czerwonym blaskiem. Rhes stał o parę kroków od zwierzęcia, całkiem znieruchomiały. Nie próbował sięgnąć po broń ani wołać o pomoc. Jason też stał nieruchomo, żywiąc w duchu nadzieję, że Pyrrusanin wie, co robi.

Nagle pies bez żadnego ostrzeżenia skoczył prosto na nich. Pchnięty ręką Rhesa Jason upadł na plecy. Pyrrusanin padł również - tylko że teraz miał w ręku długi nóż wyrwany błyskawicznym ruchem z pochwy przytroczonej do uda. Z niewiarygodną szybkością nóż został uniesiony w górę, a pies okręcił się w powietrzu chcąc chwycić nóż zębami. Długie ostrze zatonoło jednak w ciele tuż za przednimi nogami i sam ciężar bestii spowodował, że ostrze rozpruło jej cały brzuch. Pies żył jeszcze, gdy opadł na ziemię, ale w tej samej chwili Rhes siadł na nim okrakiem i poderżnął mu gardło.

Pyrrusanin obtarł nóż o sierść zwierzęcia i schował do pochwy. - Zwykle nie mamy z nimi kłopotów - powiedział spokojnie - ale ten był podniecony. Zapewne reszta jego stada zginęła podczas trzęsienia ziemi. - Jego postępowanie było całkowitym przeciwieństwem postępowania miejskich Pyrrusan. Rhes nie szukał zwady i nie rozpoczynał walki. Unikał jej tak długo, jak mógł. Ale gdy zwierzę zaatakowało, zostało szybko i skutecznie pozbawione życia. Teraz, zamiast pysznić się swoim zwycięstwem, Rhes wydawał się zmartwiony tą niepotrzebną śmiercią.

To miało swój sens. Nic na Pyrrusie nie było bezsensowne. Teraz Jason już wiedział, jak rozpoczęła się ta śmiertelna walka planetarna - i wiedział, jak można ją zakończyć. Te wszystkie śmierci nie były daremne. Każda z nich na swój sposób pomogła mu w osiągnięciu ostatecznego celu. Pozostała już tylko jedna rzecz do zrobienia.

Rhes przyjrzał mu się i odgadł, że myślą o tym samym.

- Powiedz wreszcie - rzekł. - Co miałeś na myśli, mówiąc, że możemy teraz zniszczyć śmieciarzy i zdobyć wolność?

Jason nawet się nie troszczył, żeby go poprawić. Lepiej niech sobie myślą, że jest po ich stronie.

- Zwołaj tu wszystkich, to powiem. Chciałbym zwłaszcza zobaczyć tu Naxę i innych mówców.

Na wieść o tym natychmiast wszyscy się zebrali. Wiedzieli, że zabito jednego ze śmieciarzy, aby ocalić tego człowieka z za świata, od którego zależało ich ocalenie. Jason patrzył na tłum twarzy zwróconych ku niemu i szukał odpowiednich słów, żeby im powiedzieć, co należy zrobić. Sytuację pogarszała świadomość, że dla osiągnięcia celu wielu z nich miało postradać życie.

- Wszyscy chcemy zobaczyć wreszcie koniec tej wojny na Pyrrusie. Jest sposób, aby ją zakończyć, lecz wielu z was może przy tym stracić życie. Sądzę, że warto zapłacić tę cenę, bo zwycięstwo da wam to wszystko, czego od dawna pragniecie. - Spojrzał wokół po twarzach pełnych oczekiwania. - Zdobędziemy miasto. Przebijemy się przez umocnienia obwodu. Wiem, jak można to zrobić...

Tłum zaszemrał. Jedni wydawali się szczęśliwi, że będą mogli zacząć zabijać odwiecznych wrogów, inni patrzyli na Jasona jak na wariata. Jeszcze inni wydawali się oszołomieni myślą,

że oto wreszcie dobiorą się do twierdzy uzbrojonego po zęby wroga. Uspokoił się, gdy Jason uniósł dłoń.

- Wiem, że to wydaje się niemożliwe - rzekł. - Ale pozwólcie, że wytłumaczę. Coś trzeba zrobić... i teraz właśnie jest na to pora. Odtąd wasze położenie może się tylko pogorszyć. Miejscy Pyrr... śmieciarze potrafią żyć bez waszej żywności, ich koncentraty są ohydne, ale wystarczą dla utrzymania się przy życiu. Będą was prześladowali, jak tylko potrafią. Przeszczą dawać wam metale na narzędzia i części zamienne do urządzeń elektronicznych. Drażąca ich nienawiść sprawi, że zaczną niszczyć wasze gospodarstwa bronią umieszczoną na statku kosmicznym. Nie będzie to bardzo przyjemne... a przyjdą jeszcze gorsze rzeczy. Oni, tam w mieście, przegrywają wojnę przeciwko planecie. Z każdym rokiem jest ich coraz mniej i któregoś dnia wszyscy zginą. Znając ich jestem pewien, że zanim to się stanie, zniszczą statek, a może nawet całą planetę, o ile to jest możliwe.

- Jak ich możemy powstrzymać? - zapytał ktoś z tłumu.

- Przez natarcie na nich t e r a z - odparł Jason. - Znam całe miasto i jego system obronny. Ich obwód jest przeznaczony do obrony przed światem zwierzęcym, ale zdołamy się przez ten obwód przedrzeć, jeśli naprawdę zechcemy.

- Jaka z tego korzyść? - warknął Rhes. - Przebijemy się przez obwód i oni się wycofają... a potem przystąpią do kontrataku. Jak zdołamy się im oprzeć?

- Nie będziemy musieli. Ich kosmodrom przylega do obwodu i wiem dokładnie, gdzie stoi statek. Tam się właśnie przebijemy. Na statku nie ma żadnej straży i tylko kilku ludzi znajduje się na tym obszarze. Zdobędziemy statek. Nieważne, czy potrafimy go uruchomić, czy nie. Kto włada statkiem, włada Pyrrusem. Znalazłszy się na pokładzie, zagrozimy, że zniszczymy statek, jeśli śmieciarze nie zgodzą się na nasze żądania. Będą mieli do wyboru zbiorowe samobójstwo albo współpracę z nami. Mam nadzieję, że okażą się na tyle rozsądni, by wybrać współpracę.

Przez chwilę milczeli wstrząśnięci jego słowami, potem w tłumie zawrzało. Byli podnieceni, ale niejednomyślni w swej opinii i j Rhes musiał ich przywołać do porządku.

- Cisz! - krzyknął. - Czekajcie, aż Jason skończy, a dopiero wtedy zadecydujecie. Jeszcze nam nie powiedział, jak ta inwazja ma być przeprowadzona.

- Powodzenie mego planu zależy od mówców - kontynuował Jason. - Czy jest tutaj Naxa? - zacheł, aż przydziany w skóry człowiek wysunie się naprzód. - Chcę wiedzieć coś więcej o mówcach, Naxo. Wiem, że potraficie przemawiać do psów i dorymów, ale czy potraficie również podporządkować swej woli dzikie zwierzęta? Czy potraficie je zmusić, aby robiły, co zechcecie?

- Są zwierzętami, więc oczywiście potrafimy do nich zagadać. Więcej mówców, większa siła. Zmusimy, żeby robiły, co zechcemy.

- Więc atak się powiedzie - rzekł Jason podniecony. - Możesz zgromadzić mówców z jednej strony miasta... przeciwnej do tej, w której znajduje się kosmodrom... i rozjątrzyć zwierzęta? Spowodować, aby zaatakowały miasto?

- Pewnie, że tak! - zawołał Naxa porwany tą myślą. - Ściągniemy zwierzęta z całej planety i

przypuścimy szturm, jakiego żaden ze śmieciarzy jeszcze nie widział!

- To bardzo dobrze! Twoi mówcy spowodują atak z przeciwnej strony obwodu. Jeśli będziecie siedzieli w ukryciu, śmieciarze pomyślą, że jest to zwykły zwierzęcy atak. Widziałem, jak postępują w takich wypadkach. W miarę nasilania się ataku ściągają posiłki z miasta, a potem ludzi strzegących inne części obwodu. I właśnie w takiej chwili poprowadzę grupę, która przedrze się i przez linię obwodu i opanuje statek. Taki jest mój plan i plan ten musi się udać.

Jason usiadł, wyczerpany. Odpoczywając słuchał debaty Pyrrusan, którą kierował Rhes. Wysuwano i eliminowano różne przeszkody. Nikt nie mógł zarzucić planowi żadnego poważniejszego błędu. Miał on mnóstwo drobnych usterek, mogły zaistnieć różne nieprzewidziane przeciwności, ale Jason o tym nie wspominał. Ci ludzie chcieli, żeby jego plan się powiódł, i z pewnością sprawią, że się powiedzie.

Wreszcie debata została zakończona i ludzie się rozeszli. Rhes podszedł do Jasona.

- Załatwiliśmy podstawowe sprawy - rzekł. - Wszyscy zebrani wyrazili zgodę. W tej chwili wysyłają posłańców po resztę mówców. Oni stanowią główną siłę naszego ataku, więc im więcej ich będzie, tym lepiej. Boimy się używać komunikatorów do ich zwołania, bo istnieje szansa, że śmieciarze przejmą wiadomość. Upłynie pięć dni, zanim będziemy gotowi.

- To bardzo dobrze. Teraz musimy odpocząć, jeżeli mamy się do czegoś przydać - odparł Jason.

To dziwne uczucie - powiedział Jason. - Jeszcze nigdy nie widziałem obwodu obronnego z tej strony. Jedno, co mogę powiedzieć, to to, że mi się nie podoba.

Leżał na brzuchu obok Rhesa i patrzył zza osłony z liści w dół zbocza, gdzie przebiegała linia obronna obwodu. Mimo południowego skwaru byli okutani w ciężkie futra, na nogach mieli grube sztylpy, na rękach zaś skórzane rękawice. Skwar i podwójna grawitacja przyprawiały Jasona o zawroty głowy, ale starał się na to nie zważać.

Po drugiej stronie pasa wypalanej roślinności widniał wysoki, nierówny, sklecony z najrozmaitszych materiałów mur. Nie sposób było stwierdzić, z czego pierwotnie go zbudowano. Całe pokolenia napastników kruszyły go, burzyły i podkopywały. Reperacje przeprowadzano w pośpiechu, zalatywano byle jak otwory. Prymitywna murarka wykruszała się i ustępowała miejsca konstrukcji z bali. Konstrukcja ta zachodziła na poznaczony wżerami metal - wielkie płyty łączone nitami. Nawet ten metal był miejscami przeżarty i w powstałych stąd otworach o nierównych, poszarpanych krawędziach widniały worki z piaskiem. Na powierzchni muru wisiały splątane druty detektorów i kable pod napięciem. Automatyczne miotacze płomieni wysuwały co jakiś czas nad parapet swoje dysze i ziały ogniem, niszcząc wszelkie żywe istoty, które śmiały przybliżyć się do podstawy muru.

- Możemy mieć kłopot z tymi miotaczami - rzekł Rhes. Ten tutaj obejmuje cały odcinek, przez który chcesz się przedostać. - To żaden problem - uspokoił go Jason. - Ich działanie wydaje się nieregularne, ale w rzeczywistości jest inaczej. Są zaprogramowane, aby zwieść zwierzę, ale nie mogą powstrzymać ludzi. Przyjrzyj się sam. Ten tutaj działa w regularnych dwu-cztero-trzy i jednonumitowych odstępach.

Odczołgali się z powrotem w kotlinkę, w której czekał na nich Naxa wraz z innymi. Grupa

składała się zaledwie z trzydziestu ludzi. Zadanie musiało być wykonane szybko i niewielką siłą. Ich główną bronią było zaskoczenie. Gdyby nie zaskoczenie, nie mieliby żadnych szans wobec broni miejskich Pyrrusan. Wszystkim było niewygodnie w futrach i skórzanych osłonach, więc niektórzy je porzypinali, aby się ochłodzić.

- Pozapinać się - rozkazał Jason. - Żaden z was nigdy nie był tak blisko obwodu, więc nie zdajecie sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Naxa trzyma większe zwierzęta na odległość, a wy wszyscy radzicie sobie świetnie z mniejszymi. One nam nie grożą.

Ale tu każdy cień jest zatruty i nawet źdźbła trawy mają śmiertcionośne kolce. Uważajcie na wszelkie insekty, a jak wyruszymy, oddychajcie przez zwilżone tampony.

- Dobrze gada - burknął Naxa. - Nawet ja nie byłem nigdy tak blisko. Śmierć, śmierć czyha przy tym murze. Róbcie, jak on każe.

Odtąd mogli już tylko czekać, wecując na kamieniach już i tak ostre jak igła groty strzał do kusz i popatrując na wolno przesuwające się po niebie słońce. Tylko Naxa nie podzielał ich niepokoju. Siedział z zamglonymi oczyma i wsłuchiwał się całym sobą w ruch zwierząt w otaczającej ich dżungli.

- Już są w drodze - rzekł. - Takiego czegoś jeszcze nigdy nie słyzałem. Nie ma takiego zwierzaka stąd aż po góry, co by teraz nie gnał, ile tchu w piersi, ku miastu.

Jason też to częściowo odczuwał. Jakies napięcie w powietrzu i zintensyfikowany gniew, i nienawiść. Wiedział, że może się udać, jeśli tylko zdołają ograniczyć atak do niewielkiego obszaru.

Mówcy twierdzili, że to łatwa sprawa. Wyruszyli z samego ranka - gromadka obdartych ludzi, którzy podążali gęsiego, wzniecając falę prądów mentalnych, zdolnych pobudzić cały świat zwierzęcy Pyrrusa do ataku na miasto.

- Uderzyły! - powiedział nagle Naxa.

Ludzie zerwali się na nogi patrząc w kierunku miasta. Jason poczuł ściśnięcie w dołku, gdy atak się rozpoczął, i poznał, że nareszcie zaczęło się. Z oddali przyplęnęły odgłosy wystrzałów i potężny ryk. Nad drzewami zaczęły wykwiatać strużki dymu.

- Idziemy na pozycje - zakomenderował Rhes.

Otoczająca ich dżungla aż huczała od nienawiści. Na wpół. odczuwające rośliny skręcały się i powietrze było gęste od drobnych stworzeń skrzydlatych. Naxa pocił się i mamrotał odpierając ataki nacierających zwierząt. Nim doszli do ostatniego pasa zarośli przed obszarem wypalonym, stracili czterech ludzi. Jeden został ukąszony przez jakiegoś owada i nawet po zastosowaniu medpakiętu miejskich Pyrrusan czuł się tak źle, że musiał się wycofać. Trzej pozostali doznali różnych ukąszeń i zadrapań i kuracja nastąpiła zbyt późno, aby mogli być uratowani. Ich opuchłe, poskręcane ciała zostały w miejscu, gdzie padli.

- Od tych zwierzaków rozbolała mnie głowa - utyskiwał Naxa. - Kiedy atakujemy?

- Jeszcze nie teraz - odparł Rhes. - Czekamy na sygnał. Jeden z ludzi uniósł radio. Postawił je ostrożnie na ziemi, zarzucił na gałąź antenę. Odbiornik był ekranizowany, więc żadne

promieniowanie nie mogło ich zdradzić. Po włączeniu aparatury z głośnika dał się słyszeć jedynie szum.

- Mogliśmy zsynchronizować... - rzekł Rhes.

- Nie mogliśmy - odparł Jason. - A w każdym razie nie ściśle. Chcemy się wdrzeć podczas największego nasilenia ataku, kiedy są największe szanse. Jeśli nawet oni tam, wewnątrz, usłyszą nasz sygnał, nie będą wiedzieli, o co chodzi. A kilka minut później będzie to już bez znaczenia.

Nagle z głośnika padło jedno krótkie zdanie: „Dajcie mi trzy baryłki mąki”, po czym radio umilkło.

- Naprzód - rozkazał Rhes i ruszył pierwszy.

- Czekaj - powstrzymał go Jason chwytając za rękę. Ustalam czas działania miotacza. Za chwilę powinien... j e s t ! - Pióropusz ognia omiółł ziemię i zgasł. - Mamy cztery minuty czasu, trafiliśmy na najdłuższą przerwę!

Pobiegli grzęznąc w miękkim popiele, potykając się o zwęglone kości i przeżarty rdzą metal. Dwaj ludzie schwycili Jasona pod ręce i niemal przenieśli pod mur. Nie było to zaplanowane, ale zaoszczędziło bezcenne sekundy. Oparli go o mur, a wtedy on wydobyl przygotowane bomby. Sporządził je z ładunków pistoletu Krannona i zaopatrzył w zapalnik przewodowy. Cała akcja była dobrze uprzednio przećwiczona i teraz wszystko szło gładko.

Jason wybrał metalową część muru jako najdogodniejsze miejsce do przebicia się. Żelazo stanowiło najlepszą zaporę dla świata zwierzęcego, istniała więc szansa, że nie jest wzmocnione workami z piaskiem albo gruzem, tak jak inne części muru. Gdyby okazało się inaczej, wszyscy by zginęli.

Przyklejono bryłki zakrzepłej lepkiej żywicy do metalowej płyty. Jason wcisnął w nie ładunki, które przywarły do płyty, tworząc prostokąt o wymiarach niewielkich drzwi. Kiedy to zrobił, rozwinęto przewody detonatora i wszyscy skryli się w załomach muru. Jason pobiegł do detonatora i padając nacisnął guzik.

Buchnął czerwony płomień i murem wstrząsnął potężny huk. Rhes pierwszy rzucił się w stronę miejsca wybuchu i rękami w rękawiczkach zaczął szarpać poskręcany i dymiący metal. Inni rzucili się z pomocą i odgięli rozpruty metal. Otwór był wypełniony dymem, spoza którego nic nie było widać. Jason skoczył do wnętrza, stoczył się z kupy gruzów i uderzył o coś głową. Otarłszy załzawione od dymu oczy rozejrzał się.

Był wewnątrz miasta.

Inni wpadli za nim chwytając go w biegu, aby nie został zdeptany. Ktoś dostrzegł statek kosmiczny, więc pobiegli w jego kierunku.

Zza rogu wypadł jakiś człowiek, biegnąc w ich stronę. Jego pyrryjski refleks pozwolił mu jednak skoczyć za osłonę drzwi, gdy tylko ujrzał najeźdźców. Lecz oni też byli Pyrrusanami. Nieszczęśnik wolno osunął się na bruk z trzema metalowymi grotami w ciele. Nie zatrzymując się popędzili dalej pomiędzy magazynami. Przed nimi stał statek.

Ktoś ich jednak uprzedził. Widzieli, jak zewnętrzny luk śluzy wolno się zamyka. Grad wypuszczonych strzał, które sypnęły się na luk, nie wywarł żadnego skutku.

- Biegnijcie dalej! - krzyknął Jason. - Musimy się schronić przy kadłubie, zanim zdąży zacząć strzelać.

Tym razem stracili trzech ludzi. Reszta znalazła bezpieczne schronienie pod kadłubem statku, gdy wszystkie działa wystrzeliły naraz: Pociski padały z dala od statku, lecz ich wycie i wyładowania elektryczne były ogłuszające. Ci trzej, którzy nie zdążyli się schronić, zostali stopieni w ogniu. Człowiek znajdujący się na statku wypalił ze wszystkich dział, chcąc zarazem odeprzeć napastników i wszcząć alarm. Zapewne już był na ekranie i wzywał pomocy. Czas zaczął się kurczyć.

Jason wyciągnął rękę i spróbował otworzyć luk, był on jednak zamknięty od wewnątrz. Jeden z Pyrrusan odepchnął go i szarpnął za uchwyt. Uchwyt oderwał się, ale luk pozostał zamknięty.

Działka przestały strzelać i mogli się teraz wzajem słyszeć.

- Czy ktoś zabrał pistolet zabitemu? - spytał Jason. - Moglibyśmy spróbować odstrzelić zamek.

- Nie - rzekł Rhes. - Nawet się nie zatrzymaliśmy.

Nim jego słowa przebrzmiały, dwóch ludzi rzuciło się biegnąc zakosami w stronę budynku, przy którym leżał zabity. Działka statku znów zahuczały i seria pocisków powaliła jednego z nich. Drugi zdołał skryć się wśród zabudowań, zanim dosięgły go kule.

Wkrótce ukazał się znowu i wyskakując na otwartą przestrzeń cisnął pistolet w stronę Jasona. Nie zdążył dobiec i padł trafiony pociskiem ze statku.

Jason chwycił pistolet, który przytoczył mu się prawie pod nogi. Usłyszeli ryk turbin wielkich ciężarówek, które mknęły ku nim ze zgrzytem gąsienic. Jason odstrzelił zamek i luk otworzył się. Zanim ukazała się pierwsza ciężarówka, byli już po drugiej stronie śluzy. Naxa został z pistoletem przy luku, aby go przytrzymać, póki nie znajdą się w kabinie sterowniczej.

Jason pokazał im drogę i wszyscy wspięli się tam wcześniej od niego, toteż gdy wreszcie dotarł na miejsce, walka się skończyła. Miejski Pyrrusanin był naszpikowany grotami jak poduszeczka do igieł. Jeden z techników znalazł aparaturę kierującą ogniem działek i grzał po ciężarówkach, które musiały się wycofać przed taką nawałą pocisków.

- Niech ktoś da mówcom sygnał przez radio, by odwołał atak - rozkazał Jason. Znalazł ekran komunikatora i włączył go. Z ekranu wyjrzała na niego twarz Kerka z rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

- Ty! - padło z jego ust jedno jedyne słowo brzmiące jak przekleństwo. - Tak, ja - odparł Jason. Mówił nie podnosząc wzroku i cały czas trzymając ręce na dźwigniach deski sterowniczej. Kerk, słuchaj mnie... i wiedz, że wszystko, co powiem, to nie żart. Może nie potrafię uruchomić tego statku, ale na pewno zdołam wysadzić go w powietrze. Słyszysz ten dźwięk? - Pstryknął przełącznik i rozległ się odległy skowyt pompy. - To jest główna pompa paliwowa. Gdybym pozwolił jej odpowiednio długo popracować... czego akurat teraz nie

zrobię... szybko napełniłaby komorę napędu. Następnie paliwo przelałoby się do dysz sterowych. Jak sądzisz, co by się stało z waszym jedynym statkiem planetarnym, gdybym wówczas włączył przycisk zapłonu? Nie pytam, co by się stało ze mną, wiem, że nie dbasz o to, ale ten statek to dla was sprawa życia i śmierci.

W kabinie panowała całkowita cisza. Zdobywcy statku patrzyli na Jasona. Głos Kerka rozległ się zgrzytem w pomieszczeniu:

- Czego chcesz, Jasonie? Co usiłujesz zrobić? Po coś przyprowadził tutaj te zwierzęta? - Głos załamał się i uwiązł mu w gardle, zdławiony gniewem.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł go Jason. - Ci ludzie, o których mówisz, są jedynymi posiadaczami statku na Pyrrusie. Jeżeli chcesz móc wespół z nimi z niego korzystać, musisz nauczyć się trochę uprzejmości. A teraz chodź tutaj... i przyprowadź ze sobą Metę i Brucca. - Popatrzył na czerwoną i nabrzmiałą twarz Kerka i zrobiło mu się go żal. - Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, to jeszcze nie koniec świata. Wręcz przeciwnie, może nawet początek. I jeszcze jedno, nie przerywaj łączności. Spowoduj przełączenie na kanał, na którym rozmawiamy, wszystkich ekranów w mieście. Niech wszyscy widzą, co tu się dzieje. Postaraj się też utrwalić to na taśmie magnetycznej, aby móc odtwarzać.

Kerk chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Znikł z ekranu, który pozostał włączony, umożliwiając całemu miastu oglądanie obrazu kabiny sterowniczej.

Walka była skończona. Skończyła się tak szybko, że jeszcze nie zdążyli sobie w pełni zdać sprawy z tego faktu. Rhes potarł dłoń o lśniący metal pulpitu sterowniczego, by się przekonać, że nie śni. Inni kręcili się po kabinie wyglądając przez ekrany na zewnątrz lub chłonąc mechaniczną obcość otoczenia.

Jason był fizycznie wyczerpany, lecz nie mógł tego po sobie pokazać. Otworzył apteczkę pilota i poszukał środków dopingowych. Trzy małe złote pigułki pozbawiły go uczucia zmęczenia i mógł znów myśleć jasno.

- Słuchajcie! - krzyknął. - Walka się jeszcze nie skończyła. Oni będą próbowali na wszelkie sposoby zabrać nam statek, musimy więc być w pogotowiu. Niech jeden z techników przejrzy te konsolety i znajdzie przełączniki sterujące zamkami. Upewnijcie się, czy luki i śluzy są zamknięte. W razie potrzeby wyślijcie ludzi, aby sprawdzili. Włączcie wszystkie ekrany i miejcie na oku cały obszar dookoła statku, aby nikt nie mógł się do niego podkraść. Trzeba postawić wartę w maszynowni, bo gdyby tam wtargnęli, mogliby uniemożliwić mi wysadzenie statku. I przeszukajcie dokładnie cały statek, czy przypadkiem któryś z nich nie jest tu zamknięty razem z nami.

Ludzie odczuli ulgę, bo nareszcie mieli coś do roboty. Rhes podzielił ich na grupki i wyznaczył zadania. Jason pozostał przy pulpicie sterowniczym, z ręką na dźwigni pompy. Walka nie była jeszcze skończona.

- Zbliży się ciężarówka! - zawołał Rhes. - Jedzie wolno. - Ostrzelać ją? - zapytał człowiek obsługujący działka.

- Zaczekaj - powstrzymał go Jason. - Zobaczmy najpierw, kto to. Jeśli to ludzie, których wezwałem, przepuść ich. Strzelec nie spuszczał jadącej wolno ciężarówka z celownika.

Był w niej kierowca i trzech pasażerów. Jason zaczekał, póki się nie upewnił, kim są.

- To oni - powiedział. - Zatrzymaj ich przy służbie, Rhesie. Każ wchodzić pojedynczo. Zabierz im broń, a potem cały ekwipunek. U nich każda rzecz może być utajoną bronią. Specjalnie zwróć uwagę na Brucca... to ten chudy z twarzą jak siekiera... zrewiduj go dobrze. To ich specjalista od broni i samoobrony. I sprowadź tu kierowcę. Lepiej niech nie ma możliwości powiadomienia współtowarzyszy o odstrzelonym zamku luku i stanie naszego uzbrojenia.

Trudne było to oczekiwanie. Jason trzymał rękę na dźwigni pompy, choć wiedział, że nigdy jej nie uruchomi. Wystarczy, by tamci myśleli inaczej.

W korytarzu zadudniły kroki, zabrzmiały stłumione przekleństwa. Do kabiny sterowniczej wpełnięto więźniów. Rzuciwszy okiem na ich wściekłe twarze i zaciśnięte pięści, Jason powiedział do Rhesa:

- Postaw ich pod ścianą i nie spuszczaaj z oka. Niech ludzie trzymają kusze w pogotowiu. - Patrzył na tych, którzy niegdyś byli jego przyjaciółmi, a teraz ziali ku niemu nienawiścią. Meta, Kerk, Brucco. Kierowcą był Skop, którego Kerk wyznaczył kiedyś na jego osobistego strażnika. Teraz, gdy role zmieniły się, Skop wrzał gniewem.

- Słuchajcie uważnie - zaczął Jason - bo chodzi o wasze życie. Stójcie przy ścianie i nie próbujcie się do mnie zbliżyć nawet o krok. Jeśli ktokolwiek z was to uczyni, zostanie zabity. Gdybyśmy byli sami, moglibyście mnie obezwładnić, nim zdążyłbym włączyć pompę. Ale nie jesteśmy sami. Macie pyrryjski refleks i pyrryjskie mięśnie... ale to samo mają ci ludzie z kuszami. Nie ryzykujcie. Bo to nie byłoby nawet ryzyko. To byłoby samobójstwo. Mówię o tym dla waszego dobra. Abyśmy mogli spokojnie porozmawiać bez obawy, że ktoś z was straci nagle panowanie nad sobą i zostanie zastrzelony. NIE MACIE innego wyjścia. Musicie wysłuchać wszystkiego, co wam powiem. Nie możecie uciec ani mnie zabić. Wojna jest skończona.

- I my ją przegraliśmy... a wszystko dlatego, że ty okazałeś się zdrajcą! - warknął Meta.

- Mylisz się, i to podwójnie - rzekł Jason bynajmniej nie urażony. - Nie mogę być zdrajcą, bo winien jestem wierność wszystkim ludziom na tej planecie, zarówno tym wewnątrz obwodu, jak i spoza niego. Nigdy nie twierdziłem inaczej. I wcale nie przegraliście tej wojny. Wręcz przeciwnie. Wygraliście wojnę z tą planetą, co zaraz zrozumiecie, jak mnie wysłuchacie. - Teraz zwrócił się do Rhesa, który zmarszczył czoło w gniewnym zaskoczeniu. - Oczywiście twoi ludzie też wygrali. Nie będziecie już w stanie wojny z miastem, otrzymacie leki, możliwość kontaktu z innymi planetami, wszystko, czego pragniecie...

- Daruj mi mój cynizm - przerwał mu Rhes. - Ale obu stronom obiecujesz wszystko, co najlepsze w świecie. To będzie trochę trudne do urzeczywistnienia wobec sprzeczności naszych interesów.

- Trafiłeś w samo sedno - odparł Jason. - Dziękuję ci za to. Cały ten rozgardiasz uda się uporządkować przez dopilnowanie, aby interesy obu stron nie były sprzeczne. Aby zapanował pokój pomiędzy miastem a wsią przez położenie kresu tej bezsensownej walce, którą prowadzicie. Pokój pomiędzy ludzkością a formami życia tej planety, ponieważ ta właśnie wojna leży u podstaw wszystkich waszych problemów.

- Ten człowiek oszalał - wtrącił się Kerk.

- Być może. Wydasz o tym sąd, kiedy wysłuchasz mnie do końca. Opowiem wam dzieje tej planety, ponieważ właśnie w nich zawiera się przyczyna i rozwiązanie waszych kłopotów.

Trzysta lat temu, gdy osadnicy wylądowali na Pyrrusie, przeoczyli jedną ważną rzecz dotyczącą tej planety, czynnik, który czyni ją odmienną od jakiegokolwiek innej w galaktyce. Nie można ich winić za to przeoczenie, bo mieli i tak za wiele kłopotów. Tutejsza grawitacja była chyba jedyną rzeczą, jaką znali z industrialnego świata o sterowanym klimacie, który opuścili. Pozostałe warunki naturalne stanowiły dla nich przykre zaskoczenie. Burze, zjawiska wulkaniczne, powodzie, trzęsienia ziemi wystarczyły, aby się poczuli bliscy utraty zmysłów, i jestem pewien, że wielu je postradało. Zwierzęta i owady - jakże różne od tych kilku nieszkodliwych chronionych gatunków, jakie dotychczas znali - stale im dokuczały. Jestem przekonany, iż nie zdawali sobie sprawy, że formy życia na Pyrrusie są wrażliwe na telepatię...

- Znowu to samo - obruszył się Brucco. - Jeżeli to nawet prawda, to i tak nie ma znaczenia. Byłem nawet gotów przyjąć tę twoją teorię sterowanego ataku psionicznego, ale śmiertelne w skutkach fiasko twojej akcji dowiodło, że teoria jest błędna.

- Zgadzam się - odparł Jason - iż byłem całkowicie w błędzie sądząc, że jakiś czynnik zewnętrzny kieruje atakiem na miasto przez zastosowanie prądów psionicznych. Teoria ta wydawała mi się wówczas zupełnie logiczna i wszystko na to wskazywało. Ta ekspedycja na wyspę była istotnie śmiertelnym w skutkach fiaskiem. Nie zapominaj jednak, że przypuszczony na nią atak był całkowitym przeciwieństwem tego, co chciałem uczynić. Gdybym sam zszedł do tej jaskini, z całą pewnością nie byłoby tych niepotrzebnych śmierci. Odkrylibyśmy wówczas, że owe stwory roślinne są niczym innym jak tylko wyższymi formami życia, które posiadają niezwykłą wrażliwość psi. One po prostu silnie reagowały na psioniczny atak na miasto. Sądziłem, że to one wszczęły wojnę, a było wręcz przeciwnie. Nigdy jednak nie będziemy znali całej prawdy, bowiem zostały zniszczone. Ale ich śmierć sprawiła jedno: ukazała nam, gdzie szukać prawdziwych winowajców, istot, które prowadzą, kierują i inspirują tę wojnę przeciwko miastu.

- K t o to jest? - wyrwało się z ust Kerka.

- W y s a m i, oczywiście - odrzekł Jason. - Nie wy tutaj, ale wy wszyscy, mieszkańcy miasta. Może ta wojna wam się nie podoba, ale to właśnie wy jesteście za nią odpowiedzialni i wy ją podtrzymujecie.

Jason musiał powściągnąć uśmiech widząc ich osłupienie. Musiał również szybko udowodnić swoją tezę, zanim nawet jego sprzymierzeńcy zaczęną go uważać za wariata.

- Oto, jak sprawa wygląda. Jak powiedziałem, formy życia na Pyrrusie mają zmysł telepatyczny... wszelkie formy życia. Każdy owad, każda roślina, każde zwierzę. W pewnym momencie gwałtownych dziejów tej planety okazało się, że te psioniczne odmiany są najtrwalsze. Istniały nadal, gdy inne gatunki ginęły, a w końcu jestem pewien, że same zgodnie przyczyniły się do unicestwienia ostatnich pozostałości tych gatunków. Słowo „zgodnie” odgrywa tu kluczową rolę. Bo chociaż nadal współzawodniczyły z sobą w normalnych warunkach, to jednak współdziałały przeciwko wszystkiemu, co zagrażało im jako całości. Kiedy groził im wybuch wulkanu albo powódź, uciekały przed tą groźbą w harmonii. Znacznie łagodniejszą formę tego samego modelu postępowania obserwujemy na

wszystkich planetach, na których występują pożary lasów. Ale tu, ze względu na niezwykle surowość warunków, została ona doprowadzona do skrajności. Zapewne niektóre z form życia rozwinęły nawet zdolność antycypowania wydarzeń, jak ludzie, którzy są zdolni przewidzieć trzęsienie ziemi. Będąc w porę ostrzeżone, zwierzęta uciekały. Wiem, że to prawda, ponieważ sam to widziałem na własne oczy, kiedy uciekaliśmy przed trzęsieniem ziemi.

- Zgadzam się, zgadzam się całkowicie! - krzyknął Brucco. - Ale co to ma wspólnego z nami? Wszystkie zwierzęta uciekają razem, ale co to ma wspólnego z wojną

- One nie tylko razem uciekają - powiedział Jason. - One współdziałają przeciwko każdej klęsce żywiołowej, jaka im zagraża. Jestem przekonany, że kiedyś ekolodzy będą piali z zachwyty nad tymi wszystkimi złożonymi sposobami dostosowania się, które zachodzą tutaj w czasie nadciągania zadymek, powodzi, pożarów i innych klęsk żywiołowych. Nas teraz jednak obchodzi tylko jedna reakcja. Reakcja wszystkich form życia tej planety na ludzi z miasta. Czyż nie zdajecie sobie sprawy, że one was traktują jak jeszcze jedną klęskę żywiołową? Nigdy się nie dowiemy, jak do tego doszło, chociaż istnieje o tym wzmianka w dzienniku pokładowym, który znalazłem, a który dotyczy pierwszych dni pobytu ludzi na tej planecie. Jest tam napisane, że pożar lasu przyznał jakoby nowe gatunki zwierząt ku osadnikom. Nie były to wcale nowe zwierzęta... tylko stare, lecz o odmiennym nastawieniu do osadników. Wyobrażacie sobie, jak osadnicy zachowali się podczas pożaru lasu? Oczywiście wpadli w popłoch. A jeśli znajdowali się na linii ognia, owe zwierzęta musiały ratować się ucieczką biegnąc przez ich obóz. Otóż osadnicy niewątpliwie zaczęli strzelać do umykających stworów. Czyniąc tak spowodowali klęskę żywiołową. Klęski przybierają różne kształty. Zbrojne dwunogi mogły być z łatwością włączone do tej kategorii. Zwierzęta pyrryjskie zaczęły atakować, gdy do nich strzelano, i tak zaczęła się wojna. Te, które ocalały, walczyły dalej i informowały inne, o co idzie walka. Radioaktywność planety musi powodować ogromną ilość mutacji - najkorzystniejszą zaś. mutacją ~w obliczu konieczności zachowania się przy życiu była ta, która dąży do unicestwienia człowieka. Zaryzykuję nawet przypuszczenie, że działanie sił psi prowokuje owe zmiany, ponieważ niektóre z bardziej śmiertelnych typów są zbyt jednostronnie rozwinięte, aby podobny rozwój mógł nastąpić w sposób naturalny w ciągu tak krótkiego okresu, jakim jest trzysta lat.

Osadnicy oczywiście nie pozostali w tej walce bierni, i to sprawiło, że wojna rozgorzała na dobre. W ciągu wieków udoskonaliли metody zabijania, co nic im nie dało, jak sami doskonale wiecie. Wy ludzie miejście, ich potomkowie, jesteście spadkobiercami ich dziedzictwa nienawiści. Walczycie nadal i z wolna doznajecie klęski. Bo jakże możecie zwyciężyć mając przeciwko sobie biologiczne rezerwy planety, które potrafią się odradzać dla odparcia nowego ataku?

Po tych słowach Jasona w sterowni statku zapadła cisza. Kerk i Meta stali bladzi jak ściana, uświadomiwszy sobie sens tego odkrycia. Brucco mamrotał coś pod nosem i odliczał na palcach punkty wyводу Jasona, szukając jego słabych miejsc. Czwarty z miejskich Pyrrusan, Skop, zignorował wszystkie te, jego zdaniem, bzdurne słowa, których nie mógł pojąć, lub nie chciał rozumieć, i byłby najchętniej zabił Jasona, gdyby miał po temu chociażby najmniejszą szansę.

Milczenie przerwał w końcu Rhes. Jego bystry umysł szybko rozważył wszystkie czynniki.

- W jednym się mylisz - rzekł. - Co w takim razie powiesz o nas? Przecież żyjemy na Pyrrusie bez żadnych obwodów obronnych i środków śmiertelnych? Czemu zwierzęta nie atakują nas? Przecież jesteśmy ludźmi, potomkami tych samych osadników, co śmieciarze.

- Nie atakują was - odparł Jason - ponieważ nie utożsamiacie się z klęską żywiołową. Zwierzęta potrafią żyć na zboczach wulkanu walcząc i ginąc w naturalnym współzawodnictwie. Jednakże z chwilą wybuchu tego wulkanu uciekają wszystkie razem. To właśnie ten wybuch przemienia górę w klęskę żywiołową. W przypadku istot ludzkich czynnikiem, który je kwalifikuje jako formę życia lub klęskę żywiołową, są ich własne myśli. Góra czy wulkan. W. mieście ze wszystkich ludzi promieniuje podejrzliwość i śmierć. Zabijanie sprawia im radość. Oni wciąż myślą o zabijaniu i obmyślają nowe środki zabijania. To jest też forma selekcji naturalnej. Są to w mieście najskuteczniejsze cechy zachowawcze. Poza miastem ludzie myślą inaczej. Jeśli im coś zagraża indywidualnie, wówczas walczą, tak jak walczy każda żywa istot . Przy jakimś powszechniejszym zagrożeniu współdziałają zgodnie z obowiązującymi zasadami powszechnego ratowania skóry, które to zasady ludzie z miasta łamią.

- W jaki sposób powstał ten podział na dwie grupy? - spytał Rhes.

- Zapewne nigdy się nie dowiemy - odparł Jason. - Myślę, że twoi ludzie byli pierwotnie rolnikami, wrażliwymi na prądy psioniczne, i znajdowali się gdzie indziej podczas owej klęski żywiołowej. Zachowali się zgodnie z pyrryjskimi standardami i dlatego przetrwali. Musiała powstać różnica zdań pomiędzy nimi a ludźmi z miasta, -którzy uznawali zabijanie za jedyne rozwiązanie. Beż względu na to, jakie były tego przyczyny, w początkach dziejów osadnictwa tej planety powstały dwie odrębne społeczności, które łączył jedynie bardzo ograniczony a korzystny dla obu tych grup handel wymienny.

- Wciąż trudno mi w to uwierzyć - mruknął Kerk. - To byłoby zbyt straszne i nie mogę się z tym pogodzić. M u s i być jakieś inne wyjaśnienie.

Jason pokręcił wolno głową.

- Nie ma. Tylko takie jest możliwe. Wyeliminowaliśmy wszystkie inne; pamiętasz? Wcale się nie dziwię, że trudno ci się z nim pogodzić, skoro stoi w całkowitej sprzeczności ze wszystkim, co uważałeś do tej pory za prawdziwe. To tak, jakby się usiłowało zmienić prawo naturalne. Jakbym ci udowadniał, że grawitacja nie istnieje, albo że jest ona siłą całkowicie różną od tej niezmiennej, którą znamy, siłą, którą moglibyśmy odwrócić, gdybyśmy wiedzieli jak. Pragnąłbyś raczej dowodów niż słów. Chciałbyś zobaczyć kogoś spacerującego sobie w powietrzu... Co wcale nie jest takim , złym pomysłem - dodał zwracając się do Naxy. - Słyszysz teraz jakieś zwierzęta koło statku? Nie te, do których przywykłeś, ale te mutujące, śmiertcionośne, które żyją tylko po to, aby atakować miasto?

- Tu się aż roi od nich - rzekł mówca. - Pałają żądzą mordy. - Czy mógłbyś schwytać któreś z nich? - spytał Jason. - Nie dając się przy tym zabić?

Naxa prychnął pogardliwie, kierując się ku wyjściu.

- Jeszcze się takie bydlę nie narodziło, co by mi mogło zrobić krzywdę.

Stali w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach, czekając na powrót Naxy. Jason nie miał nic więcej do powiedzenia. Zrobi jeszcze tylko to jedno, aby ich przekonać, niech sobie później sami wyciągają z tego wnioski.

Mówca powrócił szybko z żądłopiorem przywiązany za nogę kawałkiem rzemienia.

Żądłopiór bił skrzydłami i skrzeczał, gdy Naxa go ciągnął.

- Stań pośrodku pokoju, z dala od wszystkich - kazał mu Jason. - Czy to zwierzę może sięgnąć na czymś i nie rzucać się na wszystkie strony?

- Na przykład na mojej ręce? - spytał Naxa i szarpnął stwora sprawiając, że usiadł mu na wierzchu rękawicy. - Właśnie w ten sposób go pochwyliłem.

- Czy ktokolwiek wątpi, że jest to prawdziwy żądłopiór? - spytał Jason. - Chcę się upewnić, czy nie podejrzewacie, że kryje się w tym jakieś oszustwo.

- To prawdziwy żądłopiór - powiedział Brucco. - Nawet z tego miejsca czuję woń trucizny jego żądeł umieszczonych na skrzydłach. - Wskazał ciemne plamki na skrzydłach, z których sączył się trujący płyn. - Jeśli ta trucizna przeżre skórę rękawicy, ten człowiek padnie trupem.

- A więc zgadzamy się, że jest prawdziwy - rzekł Jason. Prawdziwy i śmiertelny, a moja teoria stanie się dopiero wtedy w pełni potwierdzona, jeśli wy, ludzie z miasta, potraficie zrobić z tym stworzeniem to samo, co Naxa.

Cofnęli się odruchowo na te słowa. Ponieważ dla nich żądłopiór był synonimem śmierci. Przeszłej, teraźniejszej i przyszłej. Prawa natury są niezmiennie. W końcu Meta powiedziała za nich wszystkim:

- My... nie możemy. Ten człowiek mieszka w dżungli, sam jak zwierzę. Jakoś nauczył się z nimi współżyć. Ale nie możesz oczekiwać tego od nas.

Nim mówca zdołał zareagować na tę obrazę, Jason powiedział szybko:

- Wręcz przeciwnie, właśnie tego od was oczekuję. W tym cała rzecz. Jeśli przestaniecie nienawidzić to zwierzę i bać się, że was zaatakuje... wówczas tego nie uczyni. Starajcie się myśleć o nim, jak o stworze z innej planety, czymś nieszkodliwym.

- Nie mogę - odparła. - To żądłopiór!

Podczas ich rozmowy Brucco wystąpił naprzód ze wzrokiem utkwionym w siedzącym na rękawicy stworze. Jason dał znak łucznikom, by mu nie bronili. Brucco zatrzymał się w bezpiecznej odległości, nie odwracając oczu od żądłopióra. Stwór nastroszył pióra i zaczął syczeć. Na koniuszkach wielkich żądeł na jego skrzydłach ukazały się kropelki jadu. W kabinie sterowniczej zapanowała śmiertelna cisza.

Brucco powoli uniósł dłoń. Przesunął ją nad zwierzęciem, opuścił lekko, pogłaskał żądłopióra po głowie i cofnął się. Zwierzę nie uczyniło nic, tylko poruszyło się lekko pod tym dotknięciem.

Z ust obecnych wydobyło się westchnienie, jakby ci, którzy nieświadomie wstrzymywali oddech, teraz znów zaczęli oddychać. - Jak tyś to zrobił? - spytała Meta przyciszonym głosem.

- Hm, co? - odezwał się Brucco, jakby się ocknąwszy. Ach, jak dotknąłem tego stworu? To było proste, naprawdę... wyobraziłem sobie, że jest to jedna z pomocy szkoleniowych, którymi się posługuję, realistyczny i nieszkodliwy eksponat. Starłem się o niczym innym nie

myśleć i... poskutkowało. - Popatrzył na swoją rękę i znów na żądłopióra. Głos jego zabrzmiał tym razem ciszej, jakby z oddalenia: - Ale on nie jest pomocą szkoleniową, jak wiesz. Jest prawdziwy. Śmiercionośny. Człowiek z za świata ma rację. Ma rację we wszystkim, co mówi.

Idąc śladami Brucca, do zwierzęcia podszedł Kerk. Szedł sztywno, jak na egzekucję, i miał twarz zlaną strużkami potu. Ale ponieważ wierzył i starał się nie myśleć o żądłopiórze, mógł dotknąć go bezkarnie.

Meta też spróbowała, ale nie potrafiła przełamać przerażenia, które ją ogarnęło, gdy się zbliżyła.

- Staram się - powiedziała - i wierzę ci teraz... ale nie mogę...

Skop wrzasnął, kiedy wszyscy na niego spojrzeli, zaczął krzyczeć, że to jakiś podstęp, i musiano go obezwładnić, gdy rzucił się na łuczników.

Zrozumienie zstąpiło na Pyrrusa.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Meta. W jej głosie było zatroskanie i niepewność co do dalszych losów. Pytaniem tym wyraziła myśli wszystkich Pyrrusan zebranych w kabinie sterowniczej, a także tych tysięcy innych, którzy obserwowali tę scenę na ekranach.

- Co zrobimy? - zwrócili się do Jasona, czekając na odpowiedź. Na chwilę zapomnieli o swoich waśniach. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco, zarówno ludzie z miasta, jak i ci ze wsi, którzy stali teraz z opuszczonymi kuszami. Ten przybysz zburzył i zmienił ów stary świat, który znali, i przedstawił im nowy i obcy, z nie znanymi dotychczas problemami.

- Hola - powiedział Jason unosząc rękę. - Ja nie jestem lekarzem społecznych niedomagań. Nie zamierzam próbować leczyć tej planety pełnej umięśnionych strzelców wyborowych. Ledwie sam dotrwałem do tej pory i według wszelkich wyliczeń powinienem być już dziesięć razy martwy.

- Jeżeli nawet wszystko to jest prawdą - rzekła Meta - i tak pozostajesz nadal jedyną osobą, która nam może pomóc. Jaka będzie nasza przyszłość?

Czując nagle znużenie, Jason opadł na fotel pilota. Spojrzał na krąg otaczających go ludzi. Wydawali się szczerzy. Żaden z nich nawet nie zwrócił uwagi na to, że on już nie trzyma ręki na dźwigni pompy. Na tę jedną przynajmniej chwilę wojna pomiędzy miastem a wsią została zapomniana.

- Powiem wam, jakie są moje wnioski - rzekł kręcąc się w fotelu, aby znaleźć wygodną pozycję dla obolałych kości. - Ostatnio dużo myślałem szukając odpowiedzi. Pierwsze, z czego zdałem sobie sprawę, to to, że nie zdołałem znaleźć doskonałego i logicznego rozwiązania. Obawiam się, że odwieczny ideał lwa spoczywającego obok jagnięcia jest nie do zrealizowania. Próba zastosowania go w praktyce dałaby tylko łatwą ucztę lwu. Stan idealny, kiedy już zdajecie sobie sprawę z prawdziwej przyczyny swych kłopotów, byłby wtedy, gdyby obwód obronny został zburzony i ludzie z miasta i lasu zaczęli żyć zgodnie, powodowani braterską miłością. Byłby to równie piękny obrazek, jak widok lwa żyjącego w zgodzie z jagnięciem. I skończyłby się niewątpliwie tak samo. Ktoś w pewnej chwili przypomniałby sobie, jacy brudni są karczownicy albo jak głupi potrafią być śmieciarze, i znów zaczęłaby się

wojna, która następnie się rozprzestrzeni i zwycięzcy zostaną zjedzeni przez dzikie zwierzęta, które wtargną przez nie broniony obwód. Nie, rozwiązanie nie jest łatwe.

Słuchając jego słów Pyrrusanie zdali sobie sprawę, gdzie się znajdują i zaczęli spoglądać na siebie niespokojnie. Strażnicy znów unieśli kusze, a jeńcy cofnęli się pod ścianę przybierając groźne miny.

- Widzicie teraz, o co mi chodzi? - spytał Jason. - Prawda, jak szybko do tego doszło? - Poczuli się zakłopotani faktem, że są zdolni do tak bezmyślnych reakcji.

- Jeżeli mamy opracować jakiś sensowny plan na przyszłość, nie możemy zapominać o zjawisku inercji. Po pierwsze, inercji umysłowej. Jeżeli wiemy, że coś jest prawdziwe w teorii, to wcale nie znaczy, że jest również prawdziwe w rzeczywistości. Religie barbarzyńców nie zawierają ani zalążka faktów naukowych, aczkolwiek utrzymują, że wyjaśniają wszystko. Jednakże gdyby jednemu z owych dzikusów odebrać wszelkie podstawy jego wierzenia, wcale nie przestanie wierzyć. Nazwie wówczas wszystkie swoje fałszywe przekonania „wiarą”, ponieważ są one według niego słuszne. A są słuszne dlatego, iż wierzy w ich słuszność. Jest to nienaruszalny krąg fałszywej logiki, którego nie da się rozerwać. W rzeczywistości jest to najzwyczajniejsza inercja umysłowa. Myślenie, że „co zawsze było, zawsze będzie”. I niechęć do rozstawiania się z dawnymi wzorcami myślenia. Sama inercja umysłowa nie jest jeszcze powodem kłopotów... istnieje również inercja kulturowa. Niektórzy z was tutaj wierzą w to, co powiedziałem, i pragną zmiany. Ale czy wszyscy wasi ludzie jej pragną? Co z tymi, którzy nie myślą, kierują się nawykiem, nauczeni działać odruchowo, którzy w i e d z a, że co jest teraz, będzie zawsze? Będą udaremniaли wszelkie wasze plany, wszelkie wysiłki, jakie uczynicie dla wykorzystania tej nowej wiedzy, którą posiadacie.

- Więc to daremne, więc nie ma już dla nas nadziei? - spytał Rhes.

- Ja tego nie powiedziałem - odparł Jason. - Idzie mi po prostu o to, że wasze kłopoty nie skończą się przez pociągnięcie jakiejś mentalnej dźwigni. Widzę dla was na przyszłość trzy drogi, którymi musicie podążać równocześnie. Pierwszą i najlepszą będzie połączenie miejskich i wiejskich Pyrrusan w jedną społeczność ludzką, jaką pierwotnie tworzyli. Obie grupy są w tej chwili niekompletne i każda z nich ma coś, czego druga potrzebuje. Wy w mieście, posiadacie wiedzę i kontakty z galaktyką. Macie też morderczą wojnę. Wasi najbliżsi krewni z dżungli żyją w pokoju ze światem, lecz brak im lekarstw i innych dobrodziejstw naukowych, a także jakichkolwiek kontaktów kulturowych z resztą ludzkości. Musicie się połączyć ku obopólnej korzyści. Jednocześnie musicie się wyzbyć przesądnej nienawiści, jaką dla siebie żywicie. To da się wykonać jedynie poza miastem, z dala od pola walk. Każdy z was winien udać się tam dobrowolnie niosąc wiedzę, którą należy się podzielić. Nie stanie się wam żadna krzywda, jeśli będziecie postępować w dobrej wierze. I wtedy poznacie, co znaczy żyć w harmonii z planetą, a nie w wojnie. Z czasem powstaną cywilizowane społeczności, które nie będą społecznościami karczowników ani śmieciarzy. Będą społecznościami Pyrrusan.

- A co się stanie z naszym miastem? - spytał Kerk.

- Zostanie, gdzie jest... i prawdopodobnie nie zmieni się ani na jotę. Początkowo będziecie musieli zachować swój obwód obronny, aby móc utrzymać się przy życiu, gdy ludzie będą powoli opuszczali miasto. A potem będzie nadal istniało w takiej samej formie, ponieważ nie wszystkich zdołacie przekonać. Ludzie ci pozostaną i będą nadal walczyli, aż zginą. Może uda wam się lepiej wychować ich dzieci. Ale jaki będzie ostateczny koniec miasta, trudno

przewidzieć.

Milczeli myśląc o przyszłości. Leżący na podłodze Skop jęczał, ale się nie ruszał.

- To dwie możliwości - powiedziała Meta. - A jaka jest trzecia?

- Trzecia to mój wymarzony plan. - Jason uśmiechnął się. - I mam nadzieję, że znajdzie się dość ochotników, którzy go poprą. Wezmę swoje pieniądze i wydam je na zakup najlepszego i możliwie najnowocześniejszego statku międzyplanetarnego, który uzbroję i wyposażę w urządzenia naukowe, jakie tylko można. Potem poproszę Pyrrusan, aby się ze mną zabrali, jeżeli mają ochotę.

- A po co? - obruszyła się Meta.

- Nie dlatego, że się nad nimi lituję. Uważam, że moja inwestycja nie tylko się zwróci, ale że na niej nieźle zarobię. Po kilku miesiącach, które wśród was spędziłem, nie mogę już wrócić do mego dawnego zawodu. Mam dosyć pieniędzy, więc byłaby to tylko strata czasu. Poza tym nudziłoby mnie to śmiertelnie. Człowieka, który mieszkał na Pyrrusie, o ile przeżył, muszą nudzić spokojniejsze światy. Chciałbym więc wziąć statek, o którym powiedziałem, i zająć się odkrywaniem nowych światów. Istnieją całe tysiące planet, na których ludzie chcieliby się osiedlić, tylko że pierwsze kroki na nich są za trudne dla zwykłych osadników. Otóż uważam, że nie ma takiej planety, na której Pyrrusanie nie daliby sobie rady po treningu, jaki przeszli tutaj. Czy to nie byłaby dla was frajda? Ale idzie nie tylko o frajdę. W tym mieście jesteście cały czas nastawieni na walkę na śmierć i życie. Teraz macie do wyboru: względnie spokojną przyszłość lub pozostanie w mieście i prowadzenie tej niepotrzebnej i niemądrej wojny. Ja zaś proponuję wam wykorzystanie waszych najlepszych cech w celach jak najbardziej konstruktywnych. Takie oto macie możliwości. Teraz już tylko od każdego z was zależy, na co się zdecydujecie. Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, ból ścisnął Jasona zagardło żelaznymi kleszczami. To Skop, który odzyskał przytomność, zerwał się z podłogi i jednym ruchem ściągnął Jasona z fotela pilota, chwytając go za szyję i dusząc. Łucznicy próbowali strzelać, ale nie mogli, ponieważ bali się zranić Jasona.

- Kerku! Meto! - krzyknął Skop chrapliwie. - Chwycicie za broń! Otwórzcie śluzy... nasi zaraz tu przylecą i pozabijają tych cholernych karczowników...

Jason mocował się z palcami, które go dławiły, ale z takim samym skutkiem, jakby to były stalowe sztaby. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, krew łomotała mu w uszach, tracił przytomność. To już koniec: przegrał. Wyrzną się teraz wszyscy na tym statku i Pyrrus pozostanie nadal planetą śmierci, póki nie zginie ostatni człowiek.

Nagle Meta skoczyła jak sprężyna. Jednocześnie brzęknęły cięciwy. Jedna strzała trafiła ją w nogę, druga przeszła ramię. Ugodziły ją jednak w ruchu i siła bezwładności przeniosła ją przez pomieszczenie w miejsce, gdzie był Skop i umierający człowiek z za świata.

Dziewczyna uniosła zdrową rękę i uderzyła kantem dłoni.

Cios ugodził Skopa w biceps i ramię podskoczyło spazmatycznie, a dłoń puściła krtań Jasona.

- Co ty robisz?! - wrzasnął w przerażeniu Pyrrusanin do rannej dziewczyny, która oparła się o niego całym ciężarem ciała. Odepchnął ją od siebie, jednocześnie dusząc Jasona drugą ręką.

Meta nie odpowiedziała. Natomiast uderzyła drugi raz, mocno, z całej siły, trafiając Skopa w krtań i miażdżąc ją. Pyrrusanin padł na ziemię, chwytając ustami powietrze jak ryba.

Jason przyglądał się temu wszystkiemu jak przez mgłę, na wpół przytomny.

Skop dźwignął się na nogi i zwrócił pełen bólu wzrok na przyjaciół.

- Jesteś w błędzie - ostrzegł go Kerk. - Nie rób tego! Dźwięk, który się wydobył z gardła Skopa, był na wpół ludzki, na wpół zwierzęcy. Gdy Pyrrusanin skoczył ku leżącej w odległym kącie broni, cięciwy jęknęły jak struny harfy śmierci. Dopadł pistoletów i strącił je ręką na podłogę, już martwy.

Kiedy Brucco podszedł, aby opatrzyć rany Mety, nikt mu nie przeszkadzał. Jason łapał ustami powietrze jak powracające życie. Baczne oko kamery przekazywało całą tę scenę wszystkim mieszkańcom miasta.

- Dzięki ci, Meto... że zrozumiałaś... i uratowałaś mnie... - wydyszał z trudem Jason.

- Skop był w błędzie, a ty miałaś rację, Jasonie - powiedziała. Jej głos drgnął nieco, gdy Brucco ułamał pierzasty koniec strzały i wyjął grot z jej ramienia. - Nie mogę pozostać w mieście. Tylko ludzie, którzy czują tak samo jak Skop, będą mogli tu zostać. Obawiam się, że też nie zdobędę się na zamieszkanie w lesie... sam widziałeś, ile miałam szczęścia z żądłopiorem. Jeśli pozwolisz, pojedę z tobą. Bardzo bym chciała z tobą pojechać.

Ból nie pozwolił Jasonowi odpowiedzieć, więc tylko się uśmiechnął, ale Mecie to wystarczyło.

Kerk patrzył z żalem na ciało zabitego.

- Był w błędzie - rzekł - ale wiem, co czuł. Nie mogę opuścić miasta... na razie. Ktoś musi to wszystko trzymać w garści, gdy będą następowały zmiany. Ten pomysł ze statkiem jest świetny, Jasonie. Nie będziesz narzekał na brak ochotników. Wątpię jednak, czy wśród nich znajdzie się Brucco.

- Na pewno nie - odparł Brucco nie podnosząc wzroku znad opatrunku uciskowego, który zakładał Mecie. - Znajdę dla siebie dość pracy tutaj, na Pyrrusie. Życie zwierzęce tej planety wymaga nie lada badań. Niedługo zjadą się tu wszyscy ekolodzy z całej galaktyki. Ale ja będę pierwszy.

Kerk podszedł powoli do ekranu ukazującego panoramę miasta. Nikt nie próbował go zatrzymać. Pyrrusanin patrzył na budynki, dymy unoszące się znad linii obwodu i bezkresną zieloność dżungli w dali.

- Zmieniłeś to wszystko, Jasonie - rzekł. - Jeszcze tego nie widać, lecz Pyrrus już nigdy nie będzie taki jak przed twoim przybyciem. Na lepsze czy gorsze.

- Na lepsze, na pewno na lepsze - zaskrzeczał Jason i potarł bolącą krtań: - A teraz weźcie się do roboty i skończcie tę wojnę, żeby ludzie mogli w to uwierzyć.

Rhes odwrócił się i po krótkim wahaniu wyciągnął dłoń do Kerka. Siwowłosy Pyrrusanin musiał pokonać podobną niechęć - do karczownika, wywołaną wiekową odrazą.

Ale uścisnęli sobie dłonie, ponieważ byli to mocni ludzie.

K O N I E C